Poul Anderson

Garstka gwiazd

(The Handful of Stars)

Amazing Science Fiction Stories, June 1959
Rozszerzona (nieznacznie) wersja książkowa ukazywała się pod tytułami „We Claim These Stars!” oraz „Hunters of the Sky Cave”.
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Polskie tłumaczenia utworów z cyklu **Technic History** Poula Andersona. Kolejność na podstawie „Chronology of Technic Civilization” Sandry Miesel.

The Saturn Game, mikropowieść
    Psychodrama, tłum. Wiktor Bukato, Iskry 1987, „Najdłuższa podróż” Solaris 2008
Margin of Profit, opowiadanie (van Rijn)
    Margines zysku, tłum. S.M.G.
The Man Who Counts (War of the Wing-Men), powieść, (van Rijn)
    Wojna skrzydlatych, tłum. Wiktor Bukato, Alfa 1985
Hiding Place, mikropowieść, (van Rijn)
    Kryjówka, tłum. Wiktor Bukato
    Kryjówka, tłum. J.M.
Territory, mikropowieść (van Rijn)
    Terytorium, tłum. Wiktor Bukato
Lodestar, opowiadanie, (van Rijn i Falkayn)
    Gwiazda przewodnia, tłum. Wiktor Bukato
The Star Plunderer, opowiadanie
    Założyciele, tłum. S.M.G.
Sargasso of Lost Starships, mikropowieść
    Sargassy zaginionych statków, tłum. Witold Bartkiewicz
    Bermudy zaginionych statków, tłum. Ewa Chani Skalec, „Gwiezdny statek” Stalker Books 2022
The Day of Their Return, powieść, (Aycharaych ale nie Flandry)
    Dzień ich powrotu, tłum. nieznany
Tiger by the Tail, opowiadanie, (Flandry)
    Tygrysa za ogon, tłum. Witold Bartkiewicz
Honorable Enemies, opowiadanie, (Flandry)
    Godni wrogowie, tłum. Witold Bartkiewicz
A Message in Secret (Mayday Orbit), mikropowieść, (Flandry)
    Wiadomość, tłum. Waldemar Król
A Handful of Stars (We Claim These Stars!, Hunters of the Sky Cave), powieść, (Flandry i Aycharaych)
    Garstka gwiazd, tłum. Witold Bartkiewicz
The Night Face (Let the Spacemen Beware!), powieść
    Oblicze nocy, tłum. nieznany, wyd. klubowe
The Sharing of Flesh, opowiadanie
    Pod postacią ciała, tłum. Wiktor Bukato, „Księżyc łowcy”, Iskry 1987, „Najdłuższa podróż” Solaris 2008.

I

Ruethenowi z Długiej Ręki, wydanie w Kryształowym Księżycu uczty i balu dla swoich wrogów, sprawiło prawdziwą przyjemność. Wiedział, że będą musieli się pojawić. Duma rasowa już dawno zniknęła z Terry, natomiast potrzeba aby wyglądać na człowieka dobrze wychowanego i wyrafinowanego, odpowiednio wzrosła. Fakt, że statki kosmiczne obu stron czaiły się na siebie i walczyły pięćdziesiąt lat świetlnych za Antaresem, sprawiał, że odrzucenie zaproszenia od merseiańskiego przedstawiciela było tym bardziej niemożliwe. Poza tym, można było dzięki temu poczuć rozkoszny powiew niegodziwości i delikatny dreszczyk niebezpieczeństwa.

Kapitan[1] sir Dominic Flandry z Korpusu Wywiadu Imperialnej Marynarki Wojennej, pozwolił sobie na drobną skargę.

— Nie chodzi o to, żebym jakiejkolwiek istocie miał odmówić kapki alkoholu — oznajmił, — a Ruethen, do przyrządzania posiłków dla ludzi, ma kucharza, który wart byłby wojny. Ale wydawało mi się, że jestem na urlopie.

— I oto znalazłeś się tutaj — stwierdziła Diana Vinogradoff, Wielce Szlachetna Dama, Strażniczka Mare Crisium. — Tyle, że ja wypatrzyłam cię jako pierwsza.

Flandry uśmiechnął się i objął ją ramieniem. Był pewien, że wygra zakład z Ivarem del Bruno. Odprężyli się na wygodnej kanapie, a on zgasił światło.

Ten pożyczony jacht był śmiesznie delikatny i przeładowany zdobieniami; lecz salon, który stanowił pojedynczą bańkę z przezroczystego plastiku, ach! Teraz, w nagłej ciemności, otoczył ich kosmos, krystaliczna czerń i lodowaty blask gwiazd. Poznaczona pasami tarcza Jowisza rozrastała się im w oczach, zalewając statek miękkim bursztynowym blaskiem. Lady Diana wyglądała jak jakaś postać z mitu, nieskończenie piękna; klejnoty na jej długiej sukni i wysoko upiętych włosach lśniły jak krople deszczu. Flandry pogłaskał swoje zadbane wąsy. „Przypuszczam, że ja sam również nie wyglądam jakoś odpychająco” — pomyślał z zadowoleniem i ruszył do ataku.

— Nie… proszę… nie teraz.

Lady Diana odepchnęła go, lecz w dosyć obiecujący sposób. Flandry ponownie wygodnie się wyciągnął. Nie śpieszył się. Bankiet i tańce zajmą

[1] Imperialna Marynarka Wojenna stosuje hierarchię rang odziedziczoną po marynarce Stanów Zjednoczonych, w której stopień kapitana odpowiada stopniowi komandora w Polsce lub pułkownika w siłach lądowych (przyp. tłum.).

wiele godzin. Później, gdy jacht wyruszy w spokojną drogę powrotną ku Terrze, a bąbelki szampana zaszumią im w głowach…

— Dlaczego wspomniałeś, że miałeś być właśnie na urlopie? — spytała, wygładzając smukłymi palcami swoją fryzurę. Świetlisty lakier na jej paznokciach tańczył w półmroku niczym latające płomyki świec.

Flandry wyciągnął papierosa ze swej mieniącej się kurtki i rozpalił go, głębokim pociągnięciem. Poświata wydobyła z ciemności jego twarz, długą, wąską, z wysokimi kośćmi policzkowymi, szarymi oczyma, brązowymi włosami i prostym nosem. Czasami myślał, że jego ostatni biorzeźbiarz uczynił go zbyt przystojnym i powinien go ponownie zmienić. Ale co tam, nie bywał na Terrze na tyle często, by dziewczyny znudziły się jego wyglądem. Poza tym jego garderoba, którą starał się utrzymywać w zgodzie z modą, była na tyle kosztowna, że wykluczała wiele innych łaskoczących próżność zachcianek.

— Ta sprawa z Nyanzą była trochę męcząca — odparł, przypominając jej o kolejnym swoim bohaterskim wyczynie, na kolejnej z egzotycznych planet. — Wróciłem do domu, żeby odpocząć. A Merseianie, to cholernie wyczerpujące stworzenia. Męczy mnie samo patrzenie na nich, a co dopiero nawet sparing z nimi.

— Dzisiaj nie musisz tego robić, sir Dominicu — uśmiechnęła się. — Nie możesz chociaż na krótką chwilę odłożyć na bok tych wszystkich waśni, i zaprzyjaźnić się z nimi? Przecież wszyscy jesteśmy istotami inteligentnymi, pomimo tej głupiej rywalizacji.

— Chciałbym się zrelaksować w ich towarzystwie, moja pani. Ale widzisz, oni nigdy tego nie robią.

— Och, daj spokój! Często z nimi rozmawiałam i…

— Potrafią okazać tyle męskiego uroku, ile potrzeba — przerwał jej Flandry. Przez chwilę jego lekki ton brzmiał odrobinę kwaśno. — Ale zniszczenie Imperium Terrańskiego to robota na pełny etat.

Potem szybko przypomniał sobie, gdzie był, i powrócił do swego zwykłego stylu dowcipnego przekomarzania się. Nie musiał być agentem wywiadu przez cały czas. A może jednak? Nawet kiedy w grę wchodził zakład z przyjacielem o tysiąc kredytów? Ivar del Bruno upierał się, że lady Diana Vinogradoff nigdy nie obdarzy swymi względami żadnego mężczyzny o randze poniżej hrabiego. Wyzwanie było trudne do odrzucenia, gdy cel był tak kuszący, a Flandry miał powody do wiary we własne siły. Była to jednak ciężka kampania, a spełnienie jej kaprysu i zgoda na wzięcie udziału w wydawanym przez Merseian przyjęciu, było tylko niewielkim ułamkiem tego, do czego by się posunął.

Teraz jednak Flandry zdecydował, że jeśli jeszcze przez parę godzin będzie dobrze rozgrywał karty, cel zostanie osiągnięty. A potem za tysiąc kredytów kupi naprawdę dobrą orgię dla dwojga w Everest House.

Chives, połączenie lokaja, pilota i prywatnego pistoletu, sprawnie posadził jacht na lądowisku Kryształowego Księżyca. Nie poczuli nawet drgnięcia spowodowanego zmianą ciężaru, chociaż hamowanie było szybkie, a wewnętrzne pole siłowe trudne w kompensacji. Flandry wstał, przekrzywił beret pod starannie dobranym kątem, zarzucił szkarłatną

peleryną i podał ramię Lady Dianie. Przeszli przez śluzę powietrzną i przezroczystą rurą dotarli do pałacu.

Kobieta aż sapnęła z zachwytu.

— Nigdy nie widziałam go z tak bliska — wyszeptała. — Kto go w ogóle zrobił?

Sztuczny satelita prezentował się na tle Jowisza, Drogi Mlecznej i ogromnych zimnych konstelacji. Przezroczyste jak szkło ściany strzelały w nieskończoność kosmosu, zakrzywiały się i spływały jak woda. Planarne pola grawitacyjne utrzymywały szlifowane syntetyczne klejnoty: rubiny, szmaragdy, diamenty, topazy, o masie kilku ton każdy, na orbicie wokół centralnej wieżyczki. Jedna z wystających na zewnątrz baniek, znajdowała się na poziomie zero gie, tworząc oranżerię, w której zmutowane paprocie i orchidee falowały na rytmicznie pojawiających się powiewach wiatru.

— Z tego co wiem, został on zbudowany dla Lorda Tsung-Tse około sto lat temu — wyjaśnił Flandry. — Jego syn musiał go sprzedać za długi karciane, a ówczesny merseiański ambasador nabył go i kazał umieścić na orbicie wokół Jowisza. Symboliczne, co?

Uniosła pytająco brwi, ale on myślał o czymś innym niż dalsze wyjaśnienia. Przez głowę galopowały mu myśli: „Ech, pewnie, że tak. Przypuszczam, że to jest nieuniknione i tak dalej. Terra już za długo była zbyt bogata: zestarzeliśmy się i obrośliśmy w samozadowolenie, niebezpieczeństwa nie są już dla nas wyzwaniem. Podczas gdy Imperium Merseiańskie jest świeże, energiczne, zdyscyplinowane, oddane sprawie i tak dalej. Osobiście raczej lubię dekadencję, ale za mojego życia ktoś musi powstrzymać Długą Noc i wygląda na to, że to ja zostałem do tego wybrany."

Po chwili zbliżyli się do portalu, gdzie srebrna, cienka jak sieć pajęcza, brama stała otworem. Sam Ruethen powitał ich u wejścia na opalizującą rampę ślizgową. Taki był merseiański zwyczaj. Ukłonił się jednak po terrańsku i dotknął rogowymi wargami dłoni lady Diany.

— Rzadka przyjemność, jestem pewien. — Basowy głos nadawał jego płynnej angielszczyźnie niemożliwy do opisania nieludzki akcent.

Przyjrzała się mu. Merseianin był prawdziwym ssakiem, lecz miał więcej śladów gadziego pochodzenia niż rasa ludzka: bladozieloną skórę, pozbawioną włosów i poznaczoną drobnymi łuskami; niski kolczasty grzbiet od głowy, wzdłuż kręgosłupa, aż do końca długiego, grubego ogona. Był szerszy niż człowiek i mierzyłby pełne dwa metry, gdyby nie chodził odrobinę pochylony do przodu. Poza łysiną i brakiem zewnętrznych uszu, twarz miał raczej humanoidalną, a nawet przystojną, w twardym, szorstkim stylu. Lecz oczy pod wystającymi łukami brwiowymi wyglądały jak dwa niewielkie kawałki węgla. Ruethen nosił surowy mundur swojej klasy, dopasowany, czarny ze srebrnymi wyłogami. Na biodrze miał przypięty blaster.

Idealnie wykrojone usta lady Diany wygięły się w uśmiechu.

— Czy tak właściwie, to my się znamy, mój panie? — mruknęła.

— Szczerze mówiąc, nie. — Barbarzyńska szczerość. Każdy szlachcic z Terry potrafiłby zręcznie ukryć swoją ignorancję. — Ale póki ta kłoda

płonie na kamieniach ołtarza, niech będzie między nami święty pokój. Jak mawia moje plemię w Zimnych Dolinach.

— Oczywiście, z pewnością jest pan starym przyjacielem mojego towarzysza — zażartowała.

Ruethen puścił oko do Flandry'ego. I nagle człowiek wyczuł napięcie w tej masywnej sylwetce. Tylko przez chwilę, potem całe ciało Ruethena zmieniło się w maskę.

— Spotykaliśmy się od czasu do czasu — stwierdził sucho Merseianin. — Witaj, sir Dominicu. Szatniarz wyposaży pana w ekran umysłowy.

— Co? — Flandry drgnął wbrew sobie.

— Jeśli pan zechce. — Ruethen wyszczerzył potężne zęby do Lady Diany. — Czy moja nieznana przyjaciółka oferuje mi później taniec?

Na sekundę straciła swój chłód, po czym łaskawie skinęła głową.

— To byłoby… wyjątkowe doświadczenie, mój panie — odparła.

I tak by było. Flandry poprowadził ją do sali balowej. Jego umysł był zajęty propozycją Ruethena, jak pies kością. Po co?

Potem pośród tęczowych Terran dostrzegł chudy, czarny kształt i już wiedział, po co. Przeszedł go zimny dreszcz.

II

Nie tracił czasu na wymówki, tylko niemal pobiegł do szatni. Jego stopy szurały po kryształowej posadzce, pod którą setki lat świetlnych w dole błyszczał Orion.

— Ekran umysłowy — rzucił ostro.

Niewolnica była ładną dziewczyną. Merseianie czerpali przyjemność z kupowania ludzi do prostych prac.

— Mam tylko kilka, proszę pana — powiedziała. — Jego lordowska mość kazał mi je zatrzymać dla…

— Mnie!

Flandry wyrwał z jej niezdecydowanych palców czapkę z przewodami, tranzystorami i ogniwami zasilającymi. Dopiero gdy znalazła się na jego głowie, rozluźnił się. Następnie wyjął świeżego papierosa i skierował się w stronę baru. Bardzo potrzebował drinka.

Aycharaych z Chereionu stał pod wysokimi szklanymi filarami. Nikt z nim nie rozmawiał. Tańczyli głównie ludzie, a nieludzie z różnych ras słuchali muzyki. Jeden z wykonawców z Lulluan rozłożył na małej scenie błękitne pióra, lecz niewiele osób przyglądało się temu rzadkiemu widokowi. Flandry minął łokieć Merseianina, który właśnie opróżniał dwulitrowy kufel.

— Szkocka — powiedział. — Czysta, podwójna i szybka.

Lady Diana podeszła do niego. Nie była pewna, czy powinna być oburzona, czy też zaintrygowana.

— Teraz już wiem, co ludzie mają na myśli, mówiąc o bezczelnym traktowaniu. — Wskazała na jego głowę. — Co to jest?

Flandry odstawił drinka. Whisky paliła go w gardle i poczuł, że nerwy mu puszczają.

— Mówiono mi, że to moja twarz — odparł.

— Nie, nie! Przestań się wygłupiać! Chodzi mi o te okropne przewody.

— Ekran umysłowy. — Wyciągnął szklaneczkę po dolewkę. — Heterodynuje promieniowanie energetyczne kory mózgowej w losowy sposób. Uniemożliwia odczytanie tego, co myślę.

— Ale myślałam, że to i tak niemożliwe — powiedziała zdumiona. — To znaczy, chyba że byś należał do gatunku naturalnie telepatycznego.

— Którym człowiek nie jest — zgodził się, — z wyjątkiem rzadkich przypadków. Nie-telepata rozwija swój własny „język”, który jest bełkotem dla każdego, kto nie studiował go przez długi czas jako wyodrębnionej osoby. Ergo, telepatia nigdy nie była uważana za szczególne zagrożenie w mojej pracy i prawdopodobnie nigdy nie słyszałaś o ekranie umysłowym.

Został on opracowany zaledwie parę lat temu. A powód jego opracowania stoi dokładnie tam.

Podążyła za jego spojrzeniem.

— Kto? Ta wysoka istota w czarnym płaszczu?

— Dokładnie on. Miałem już z nim do czynienia i odkryłem, ku mojemu… hmm… rozczarowaniu, powiedzmy? że ma on wyjątkowy dar. Nie potrafię powiedzieć, czy cała jego rasa go posiada. Lecz w promieniu kilkuset metrów Aycharaych z Chereionu potrafi czytać w myślach każdego osobnika dowolnego gatunku, bez względu na to, czy kiedykolwiek wcześniej spotkał swoją ofiarę, czy nie.

— Ale… jak… przecież wtedy…

— Dokładnie. Oczywiście, jest on persona non grata na całym naszym terytorium i należy go na miejscu zastrzelić. Ale jak wiesz, moja pani — dodał Flandry ponurym tonem — nie jesteśmy teraz na terytorium Imperium Terrańskiego. Jowisz należy do Rozproszenia Ymira.

— Och! — wykrztusiła lady Diana. Pokręciła głową. — Telepata!

Flandry uśmiechnął się do niej krzywo.

— Aycharaych jest czymś w rodzaju dżentelmena — powiedział. — Nie zdradziłby cię. Ale lepiej pójdę z nim porozmawiać. — Ukłonił się. — Z pewnością nie braknie ci towarzystwa. Widzę, że zebrało się tu już z tuzin ludzi.

— I niech sobie będą. — Uśmiechnęła się. — Ale myślę, że Aycharaych, jak to się wymawia, to gardłowe „ch” mnie zawsze konfunduje, będzie o wiele bardziej intrygujący. — Chwyciła go za ramię.

Flandry odsunął ją na bok. Opierała się. Zacisnął dłoń na jej nadgarstku i ścisnął go bez wysiłku. Może twarz miał fałszywą, powtarzał sobie od czasu do czasu, ale przynajmniej jego ciało należało do niego, a ponure godziny żmudnych ćwiczeń, do czegoś się przydawały.

— Wybacz, moja pani — oznajmił — ale mam zamiar porozmawiać z nim o interesach, a ty nie jesteś wtajemniczona w drugi z najstarszych zawodów świata. Baw się dobrze.

Jej oczy rozbłysły urażoną dumą. Odwróciła się i powitała księcia Marsa z dużo większym entuzjazmem, niż ten głupi młodzieniec na to zasługiwał. Flandry westchnął. „Zdaje się, że jestem ci winien tysiąc kredytów, Ivar.” Odchylił papierosa pod wyzywającym kątem i przeszedł wzdłuż sali balowej.

Aycharaych uśmiechnął się. Jego twarz również była zbliżona do humanoidalnej, chociaż miała kościsty, wielkonosy wygląd; kąciki ust i szczęki powiększone były do wielkich liter „V”. Mogła być to niemal twarz jakiegoś bizantyjskiego świętego. Lecz jego skóra miała odcień czystego złota, brwi tworzyły łuki z drobnych niebieskich piór, łysa czaszka miała piórowy grzebień i spiczaste uszy. Szeroka klatka piersiowa, talia osy, długie chude nogi skrywane były przez płaszcz. Stopy, z czterema szponiastymi palcami i ostrogami na kostkach, były gołe.

Flandry był przekonany, że inteligentne życie na Chereionie wyewoluowało z ptaków i że planeta ta musi być sucha, o cienkiej, zimnej atmosferze. Miał wskazówki, że jej rodzima cywilizacja była niewiarygodnie stara i powody, by wierzyć, że nie była ona zwykłym

poddanym Mersei. Ale poza tym, skrawki jego wiedzy nikły w mroku. Nie wiedział nawet, gdzie w merseiańskiej strefie znajduje się słońce Chereionu.

Aycharaych wyciągnął do niego swą sześciopalczastą dłoń. Flandry uścisnął ją. Kostki wokół których zamknęły się jego palce, były bardzo delikatne. Przez jedną brutalną chwilę pomyślał o mocnym ściśnięciu, zmiażdżeniu delikatnej dłoni. Aycharaych był nieco wyższy od niego, lecz Flandry był dosyć potężnym mężczyzną, znacznie szerszym w barach i masywniejszym.

— Miło mi znowu pana spotkać, sir Dominicu — oznajmił Aycharaych. Miał niski głos, którego słuchało się z prawdziwą przyjemnością. Flandry popatrzył w rdzawoczerwone oczy o ciepłym, metalicznym połysku i puścił dłoń swego rozmówcy.

— Nasze spotkanie nie należy chyba do nieoczekiwanych — odparł. — To znaczy, dla pana.

— Tak wiele pan podróżuje — stwierdził Aycharaych. — Byłem pewien, że paru ludzi z pańskiego korpusu pojawi się tu dziś wieczorem, ale nie mogłem mieć pewności co do pańskiego miejsca pobytu.

— Szkoda, że ja nie zawsze mogłem być pewien pańskiego — powiedział Flandry z żalem.

— Gratuluję załatwienia sprawy Nyanzy. Będzie nam brakowało A'u po naszej stronie. Miał w sobie pewien odrobię rozwodniony geniusz.

Flandry powstrzymał się przed okazaniem zaskoczenia.

— Myślałem, że ten aspekt sprawy został wyciszony — stwierdził. — Ale ściany wydają się mieć wielkie uszy. Jak długo jest pan w Układzie Słonecznym?

— Od kilku tygodni — odpowiedział Aycharaych. — Przede wszystkim to podróż dla przyjemności. — Przekrzywił głowę. — Ach, orkiestra rozpoczęła walca Straussa. Bardzo dobrze. Choć oczywiście Johanna nie można porównywać z Richardem, który zawsze będzie największym ze Straussów.

— Tak? — Zainteresowanie Flandry'ego muzyką starożytną było tylko odrobinę większe niż jego zainteresowanie popełnieniem samobójstwa. — — Nie miałem o tym pojęcia.

— Powinien pan, mój przyjacielu. Nie wyłączając nawet Xingu, Strauss jest najbardziej niezrozumianym kompozytorem w historii galaktyki. Gdybym miał zostać uwięziony na całe życie z tylko jedną taśmą, wybrałbym jego Śmierć i Przemienienie i byłbym naprawdę zadowolony.

— Z ochotą to zaaranżuję — zaoferował natychmiast Flandry.

Aycharaych zachichotał i objął człowieka ramieniem.

— Chodźmy, znajdźmy spokojniejsze miejsce. Ale błagam pana, niech pan nie marnuje dla mnie tak wspaniałego wydarzenia. Przyznaję, że odwiedziłem Terrę potajemnie, ale stało się to wyłącznie w celu zaspokojenia mojej osobistej ciekawości. Nie miałem zamiaru włamywać się do żadnych imperialnych biur…

— Które i tak są wyposażone w alarmy anty-Aycharaychowe.

— Detektory telepatyczne? Tak, tak też bym zakładał. Jestem trochę za stary i za sztywny, a wasza grawitacja jest dla mnie odrobinę zbyt

przytłaczająca, abym mógł pozwalać sobie na osobiste włamania. Nie mam też tej swoistej zabójczo przystojnej urody, niezbędnej, jak twierdzą wszystkie produkcje telewizyjne, do pracy w dziedzinie płaszcza i szpady. Nie, po prostu chciałem zobaczyć planetę, która wydała taką rasę jak wasza. Przeszedłem się po paru lasach, obejrzałem sobie kilka obrazów, odwiedziłem parę wybranych grobowców i wróciłem tutaj. Skąd, nawiasem mówiąc, zamierzam odlecieć. Nie musi pan podrywać Imperium do wywarcia nacisku na Ymirytów, aby mnie wydalili; mój statek kurierski odlatuje za dwadzieścia godzin.

— Dokąd? — spytał Flandry.

— Tu i tam — odparł lekko Aycharaych.

Flandry poczuł, jak tężeją mu mięśnie brzucha.

— Syrax? — wyjąkał.

Zatrzymali się przy wejściu do oranżerii zero-gie. W samym jej sercu balansowała jak srebro pojedyncza wielka kula wody, wokół której paprociowa dżungla i tysiące purpurowo-szkarłatnych kwiatów tworzyły otoczkę, z wyglądającymi spoza niej gwiazdami i potężnym Jowiszem. Później, bez wątpienia, co młodsi i co bardziej pijani ludzie zedrą z siebie ubrania i pójdą popływać w tej spokojnej kuli. Ale w tej chwili gościła tu tylko muzyka. Aycharaych odbił się i przeleciał przez próg. Jego płaszcz powiewał niczym czarne skrzydła, gdy śmigał przez kopułę bańki. Flandry podążał za nim, ubrany w ogniste i błyszczące szaty. Potrzebował chwili, zanim przyzwyczaił się do stanu nieważkości. Aycharaych, którego przodkowie przemykali niegdyś ze świstem po niebie Chereionu, zdawał się nie mieć takich problemów.

Nie-człowiek wyhamował swój lot, chwytając za liść paproci. Popatrzył na fioletową plamę orchidei, a jego długa jastrzębia głowa pochyliła się.

— Czerń na tle srebrzystej wodnej kuli — rozmyślał na głos; — a poza nimi czarny i zimny wszechświat. Piękna sceneria, z nutą grozy niezbędną w najwyższej sztuce.

— Czerń? — Flandry popatrzył zaskoczony na fioletowe kwiaty. Potem zamknął usta.

Ale Aycharaych zdążył już zrozumieć myśl człowieka. Uśmiechnął się.

— Touché. Nie powinienem był wspominać, że nie widzę kolorów w zakresie fal niebieskich.

— Ale widzi pan dalej w czerwieni niż ja — zauważył Flandry.

— Tak. Przyznaję, bo i tak by pan to wywnioskował, że moje rodzime słońce jest chłodniejsze i bardziej czerwone niż pańskie. Jeśli uważa pan, że pomoże to panu zidentyfikować je wśród milionów gwiazd w sferze merseiańskiej, proszę przyjąć tę informację z moimi pozdrowieniami.

— Gromada Syrax to środek pierwszej populacji — powiedział Flandry. — Niezbyt odpowiednia dla pańskich oczu.

Aycharaych wpatrywał się w wodę. W środku kuli widoczne były tropikalne ryby, śmigające niczym maleńkie, wielokolorowe rakiety.

— Z tego nie wynika, że lecę na Syrax — powiedział bezbarwnym tonem. — Z pewnością, osobiście, nie mam na to specjalnej ochoty. Zbyt wiele pojazdów wojskowych, zbyt wielu profesjonalnych oficerów. Nie

podoba mi się ich mentalność. — Wykonał możliwy do zrobienia w stanie nieważkości skłon. — Oczywiście nie mówię tu o pańskiej.

— Oczywiście — zgodził się Flandry. — Mimo to, gdyby mógł pan zrobić cokolwiek, by przełamać impas na korzyść Merseii…

— Pochlebia mi pan — odparł Aycharaych. — Obawiam się jednak, że nie wyrósł pan jeszcze z romantycznego spojrzenia na politykę militarną. Faktem jest, że żadna ze stron nie chce podjąć pełnego wysiłku, aby kontrolować gwiazdy Syrax. Merseia mogłaby wykorzystać je jako cenną bazę, oskrzydlającą Antares, a tym samym grot włóczni wymierzony w cały sektor waszego imperium. Terra chce je kontrolować tylko po to, by odmówić nam dostępu do tej gromady. Ponieważ żaden z rządów nie chce obecnie naruszyć nominalnego stanu pokoju, manewrują tam, gromadzą zmasowane siły floty, szpiegują, węszą i toczą bitwy… ale gra o przejęcie kontroli nie jest warta świeczki w postaci wojny.

— Lecz gdyby był pan w stanie osobiście przechylić szale na waszą stronę, tak że nasi ludzie przegraliby na Syrax — zauważył Flandry, — nie moglibyśmy przeprowadzić kontrataku na waszą sferę imperialną. Wie pan o tym. To umożliwiłoby wam do kontr-kontratak na nas. Mój Boże, sama Terra mogłaby zostać zbombardowana! Jesteśmy zbyt wygodni, aby zaryzykować takie rozwiązanie. — Zreflektował się. Po co ujawniać swoje rozgoryczenie i być może narazić się na aresztowanie na Terrze za buntownicze nastroje?

— Gdybyśmy weszli w posiadanie Syrax — zgodził się Aycharaych — z 71-procentowym prawdopodobieństwem przyspieszyłoby to upadek hegemonii terrańskiej o sto lat, plus minus dziesięć. Taki jest werdykt naszych komputerów wojskowych - choć ja sam uważam, że wiara, jaką pokłada w nie nasze naczelne dowództwo, jest dosyć naiwna i raczej wzruszająca. Tym niemniej przewidywana data upadku Terry wciąż wynosiłby 150 lat. Zastanawiam się więc, dlaczego wasz rząd się tym przejmuje.

Flandry wzruszył ramionami.

— Paru z nas ma wciąż sentyment do naszej planety — odpowiedział ze smutkiem. — No i oczywiście my sami nie będziemy stali tam na linii strzału.

— To znowu ludzka mentalność — stwierdził Aycharaych. — Wasze instynkty mają taki charakter, że nigdy nie akceptujecie śmierci. Czy pan osobiście, w głębi duszy, nie czuje, że śmierć jest nieco wulgarna, nie do końca dżentelmeńska?

— Być może. Jak pan by ją nazwał?

— Dopełnieniem.

Ich rozmowa zeszła na bezosobowe tematy. Flandry nigdy nie znalazł nikogo innego, z kim mógłby tak porozmawiać. Aycharaych kiedy chciał potrafił być mądry, uczony i nienagannie uprzejmy, albo też mógł rzucić ostrym dowcipem w napuszone oblicze imperium. Rozmowa z nim, dotykająca od czasu do czasu odwiecznych pytań, była niemal jak wizyta w konfesjonale - nie był człowiekiem i nie oceniał ludzkich czynów, a jednak zdawał się rozumieć pragnienia leżące u ich korzeni.

W końcu Flandry niechętnie wymówił się, by odejść. No, powiedział sobie, biznes to biznes. Ponieważ lady Diana skrzętnie go ignorowała, zwabił do pokoju na uboczu jakąś rudowłosą ślicznotkę, powiedział jej, że wróci za dziesięć minut i wymknął się tylnym korytarzem. Być może każdy Merseianin, który zobaczyłby, jak znika, nie będzie się spodziewał jego powrotu przez godzinę lub dwie; mógłby też nie rozpoznać dziewczyny, kiedy znudzi się ona czekaniem i ponownie znajdzie drogę do sali balowej. Dla niewprawnego nie-ludzkiego oka jeden człowiek wyglądał podobnie do drugiego, a gości było już co najmniej tysiąc.

Był to słaby kamuflaż dla opuszczenia przez niego balu, ale najlepszy, jaki był w stanie wymyślić.

Flandry wrócił na jacht i obudził Chivesa.

— Do domu — polecił. — Pełne przyspieszenie. Albo napęd nadświetlny, jeśli uważasz, że poradzisz sobie w Układzie z tym niezdarnym, pozłacanym pudłem.

— Tak jest, sir. Dam radę.

Przy prędkości nadświetlnej dotarłby na Terrę w ciągu paru minut, a nie godzin. Doskonale! Być może uda się zaaranżować Aycharaychowi jego dopełnienie.

Ponad połowa Flandry’ego miała nadzieję, że próba ta się nie powiedzie.

III

Nad Ameryką Północną, gdzie wiceadmirał Fenross miał swoje biura, był właśnie dzień. Nie, żeby miało to jakieś większe znaczenie; w Wywiadzie zazwyczaj pracowało się na okrągło, w przeciwnym razie Flandry musiałby wyciągnąć swojego przełożonego z łóżka. Prawdę mówiąc, wolałby żeby tak się stało.

Jak się jednak okazało, wywołał całkiem niezłe zamieszanie. Zaoszczędził godzinę, każąc Chivesowi nielegalnie przelecieć jachtem przez wszystkie pasy ruchu nad Centrum Admiralicji. W narzuconym na swój strój imprezowy kombinezonie mundurowym, wyskoczył ze śluzy powietrznej i zjechał repulsorem grawitacyjnym na 40-ty poziom wieży wywiadu. W czasie gdy jacht był zatrzymywany przez monitor kosmiczny, Flandry wykłócał się już ze stojącym na warcie marine. Popatrzył z góry na lufę blastera i powiedział:

— Zna mnie pan, sierżancie. Proszę mnie przepuścić. Pilne.

— Chyba znam pańską twarz, sir — odpowiedział marine. — Ale twarze można zmieniać, a nikt nie przejdzie obok mnie bez przepustki. Po prostu proszę pozostać na miejscu, a ja wezwę patrol.

Flandry rozważał już zaatakowanie go. Ale imperialni marines znali wszystkie chwyty judo, jakie znał on. Do diabła, godzina zmarnowana na identyfikację! Chwila. Pamięć zaskoczyła na swoje miejsce.

— Nazywa się pan Mohandas Parkinson — powiedział Flandry. — Ma pan czwórkę kochanych dzieci, pańska żona jest nierozsądnie monogamiczna, a w zeszłym miesiącu grał pan w go u Madame Cepheid.

Broń sierżanta Parkinsona zakołysała się.

— Co? — rzucił. A potem głośno. — Nie wiem, o czym pan mówi!

— Plansza do gry w go u Madame Cepheid ma dwadzieścia metrów kwadratowych — mówił dalej Flandry — a pionkami są żywe dziewczynki. W czasie gry… Czy to coś panu przypomina, sierżancie? Ja też tam byłem, widziałem to i jestem pewien, że pańska żona byłaby zachwycona, słysząc, że wciąż jest pan zdolny do takich prawdziwie epickich…

— Idź już, ty… szantażysto! — wykrztusił Parkinson. Przełknął ślinę i dodał: — Sir.

Kapitan Flandry uśmiechnął się, poklepał go po hełmie, schował broń i szybko wszedł do środka.

W przeciwieństwie do większości admirałów, Fenross nie miał w swoim sekretariacie pięknej recepcjonistki. Głos robota zapytał przybysza, kim jest.

— Bohaterem — odpowiedział beznamiętnie. Robot powiedział, że admirał Fenross jest zajęty bardzo niepokojącymi nowymi sprawami. Flandry powiedział, że też jest zajęty i został wpuszczony.

Zdenerwowany Fenross, z zapadniętymi policzkami, popatrzył na niego przez biurko. Jego oczy nie były aż tak bardzo przekrwione, aby nie było w nich widać nienawiści.

— Och — przywitał go. — To pan. No cóż, panie kapitanie, co przerwało pańskie małe tete-a-tete z naszymi merseiańskimi przyjaciółmi?

Flandry usiadł i wyciągnął papierosa. Nie zdziwił się, że Fenross zaczął go szpiegować, ale fakt ten był irytujący. „Jak do diabła zaczęła się ta waśń?” — zastanawiał się. — „Czy chodzi o to, że zabrałem mu tę dziewczynę… jak ona miała na imię? Marjorie? Margaret? … Czy to wszystko tylko dlatego, że kiedyś mu ją zabrałem, kiedy jeszcze byliśmy razem kadetami? Zrobiłem to dla żartu. Nie była specjalnie ładna, pomimo wszystkiego, co potrafią zrobić biorzeźbiarze.”

— Mam zbyt gorące wieści na jakikolwiek obwód komunikacyjny — powiedział. — Właśnie przed chwilą…

— Jest pan na urlopie — warknął Fenross. — Nie ma pan tu nic do roboty.

— Co? Ale proszę posłuchać, to był Aycharaych! Osobiście! W Kryształowym Księżycu!

Fenrossowi drgnął mięsień na policzku.

— Nie wolno mi przyjmować nieoficjalnych raportów — oznajmił. — Wszystko poza Aldebaranem właśnie eksploduje. Jeśli uważa pan, że zrobił coś genialnego, proszę złożyć raport normalnymi kanałami.

— Ale na miłość boską! — Flandry poderwał się na nogi. — Admirale Fenross, sir, czy jakkolwiek mam się do pana zwracać, on opuści Układ Słoneczny w ciągu kilku godzin. Statkiem kurierskim. Nie możemy go dopaść w przestrzeni Ymirytów, lecz jeśli zaskoczymy go podczas ucieczki… On jest cholernie podstępny, zasadzka może się nie udać, ale na Boga, gdyby udało nam się dopaść Aycharaycha, byłby to większy sukces niż zniszczenie merseiańskiej floty!

Fenross wyciągnął rękę, która bardzo lekko drżała, wziął małe pudełko z pigułkami i wytrząsnął z niego jedną tabletkę.

— Nie spałem od czterdziestu godzin — mruknął. — A pan ma wynieść się stąd z tym jachtem… Nie mogę przyjąć tej informacji, panie kapitanie. Nie w tych okolicznościach. — Ponownie uniósł wzrok. W jego oczach zabłysła przebiegłość. — Oczywiście — dodał — gdyby chciał pan odwołać swój urlop…

Flandry stał przez chwilę sztywno wyprostowany, wpatrując się w siedzącego za biurkiem człowieka, który go nienawidził. Wspomnienia wróciły w pełni: Po tym, jak z nią zerwałem, owszem, dziewczyna trochę zaczęła szaleć. Zginęła w wypadku na Wenus, to prawda… jakaś pijacka impreza lecąca nad Saw… tak, zdaje się, że coś o tym słyszałem. A Fenross nigdy już nie spojrzał na inną kobietę.

Westchnął.

— Sir, zgłaszam swój powrót do czynnej służby.

Fenross skinął głową.

— Proszę przekazać to robotowi, kiedy będzie pan wychodził. Teraz mam dla pana robotę.

— Ale Aycharaych…

— Zajmiemy się nim. Mam na myśli bardziej odpowiednie zadanie. — Fenross uśmiechnął się, wrzucił do ust tabletkę i popił ją kubkiem wody z dystrybutora na biurku. — W końcu błyskotliwy agent terenowy powinien mieć okazję do zabłyśnięcia, nie sądzi pan?

„Czy to może dlatego, że on zyskał wyższą rangę, ale ja miałem lepszą zabawę?” — zastanawiał się Flandry. — „Kto to wie? A może chodzi o niego samego?” Usiadł ponownie, nie okazując prawdziwego wyrazu twarzy.

Fenross zabębnił palcami w blat biurka i wpatrywał się w pustą ścianę. Jego mundur był tak surowy, jak tylko pozwalały na to przepisy - stylistyka munduru Flandry'ego szła w przeciwnym kierunku - lecz wciąż stanowił on niepotrzebnie piękną podstawę dla jego udręczonej rudej głowy.

— To jest ściśle tajne — zaczął szybkim, pozbawionym tonu głosem. — Nie mam pojęcia, jak długo uda nam się ukryć tę wiadomość. Jedna z naszych kolonii została oblężona. Głęboko w imperialnej sferze.

Flandry zmuszony był zagwizdać.

— Gdzie? Kto?

— Słyszał pan kiedyś o Vixen? Cóż, ja też nigdy wcześniej nie słyszałem. To zasiedlona przez ludzi planeta gwiazdy F6, około stu lat świetlnych od Sol, nieco na północ i zgodnie z ruchem wskazówek zegara od Aldebarana. Dziwna planeta, lecz średnio udana, jeśli chodzi o przydatność do kolonizacji. Wiadomo, że region ten jest ubogi w układy interesujące dla ludzi i bardzo słabo zbadany. W efekcie tego wszystkiego, Vixen leży pośrodku pustyni. A może jednak nie? Zdziwi się pan, kiedy powiem panu, że kilka tygodni temu pojawiła się tam flota kosmiczna i zażądała poddania się planety i przyjęcia sił okupacyjnych. Statki były egzotycznego rodzaju, a rasy ich załóg nie sposób zidentyfikować. Ale przynajmniej niektórzy z nich mówili całkiem dobrze w anglicu.

Flandry siedział bez ruchu. Jego umysł przywoływał fakty, tak znajome, że aż śmieszne, a jednak musiał je teraz ponownie rozważyć. To, co się wydarzyło, nie miało precedensu.

Międzygwiezdna domena nie może mieć wyraźnie wytyczonych granic; gwiazdy są zbytnio rozproszone, a rozmaite ich typy za bardzo wymieszane. I jest ich zbyt wiele. W dużym przybliżeniu Imperium Terrańskie było kulą o średnicy około 400 lat świetlnych, skupioną wokół Sol i zawierającą około czterech milionów gwiazd. Jednak tylko mniej niż połowa w ogóle została odwiedzona. Zaledwie 100 000 z nich było bezpośrednio związanych z Imperium, a kilka razy więcej mogło mieć z nim niejasne kontakty i teoretycznie zachowywać lojalność. Rozważmy pojedynczą planetę; uświadommy sobie, że jest to cały świat, równie duży, zróżnicowany i dziwny, jak Terra, z równie wielką liczbą skonfliktowanych elementów rasowych, językowych i kulturalnych między jej mieszkańcami; oszacujmy, ile nakładów na rządzenie wymaga nawet jedna planeta i widzimy wtedy, jak szybko nakłady związane z

panowaniem nad wieloma planetami stają się niewyobrażalnie ogromne. Weźmy również pod uwagę, jak niewielki procent gwiazd jest przydatny dla danego gatunku (zbyt gorące, zbyt zimne, zbyt burzliwe, zbyt wiele składników), a spośród nich, jak niewiele będzie miało choćby jedną planetę, na której gatunek ten będzie w miarę bezpieczny. Imperium staje się naprawdę rozrzedzone. A jego niewyobrażalna przestrzeń to wciąż zaledwie plamka w jednej odległej części jednego ramienia spiralnego jednej z galaktyk; ze stu miliardów lub więcej wielkich słońc, te znane każdemu pojedynczemu światu są najsamotniejszą, najdrobniejszą garstką.

Jednakże… atak tak głęboko w obrębie sfery? Nie! Pojedyncze statki mogły z łatwością przekraść się między gwiazdami. Lecz flota wojenna nie byłaby w stanie przedostać się sto lat świetlnych poza najdalsze bazy imperialne. Chwilowe „wzbudzenie" zakłóconej czasoprzestrzeni, wypływające z tak wielu statków, z pewnością, zostałoby wykryte gdzieś po drodze. Dlatego…

— Te statki zbudowano w naszej sferze — stwierdził powoli Flandry. — I to w odległości niezbyt wielu parseków od Vixen.

Fenross zadrwił.

— Pański geniusz mnie olśniewa. Chociaż, prawdę mówiąc, mogłyby one jednak przemknąć się dalej niż zwykle, niezauważone, ponieważ większość okrętów Marynarki Wojennej przebywa obecnie w Syrax. Nasze wewnętrzne posterunki są odarte z zasobów, niektóre z nich całkowicie opuszczone. Zgadzam się, że wrogowie muszą mieć bazę w odległości paru parseków od Vixen. To jednak nie znaczy, że tam żyją. Ich bazą może być stacja kosmiczna, zbuntowana planeta lub coś innego, czego nigdy nie znajdziemy; mogli wysyłać tam swoją flotę, statek po statku, przez okres wielu miesięcy.

Flandry pokręcił głową.

— Linie zaopatrzeniowe. Po zajęciu Vixen będą musieli utrzymywać tam swój garnizon, dopóki nie stanie się samowystarczalny. Nie, ich dom położony jest gdzieś w sferze imperialnej, z pewnością w tym samym kwadrancie. Który to kwadrant obejmuje jedynie około miliona gwiazd! Powiedzmy z grubsza 100 000 możliwych lokalizacji, niektóre z nich nawet nigdy nie skatalogowane. Ile lat i ile statków potrzebne by było do sprawdzenia 100 000 układów?

— Taa. A co się będzie działo w międzyczasie?

— A co miałoby się dziać?

— Vixenici podjęli walkę. Na ich planecie znajduje się niewielka baza morska, obecnie bezzałogowa, ale wystarczająco duża liczba cywilnych mieszkańców wiedziała, jak wykorzystać jej arsenał. Oczywiście rozesłali kurierów, a stacja Aldebaran posłała im taką pomoc, jaką tylko mogła. Kiedy ostatnio słyszeliśmy, Vixen był oblężony. Wysyłamy tam zespół okrętów, lecz dotarcie na miejsce zajmie im trochę czasu. Ta nieszczęsna sprawa z Syraxem wiąże nam ręce. Raporty wskazują, że obcy nie mają jakiejś przytłaczającej siły; moglibyśmy wysłać wystarczającą liczbę statków, aby przerobić ich na mezony. Ale gdybyśmy wycofali tak wielkie siły z Syrax, po powrocie znalazłyby one Merseię okopaną w Gromadzie.

— Te wydarzenia są powiązanie? — zastanawiał się Flandry.

— Kto wie? Mam jednak pewien pomysł, a pańskim zadaniem będzie go zbadać. — Fenross nachylił się ponad biurkiem. Jego zapadnięte oczy wpatrywały się w Flandry'ego. — Zbyt chętnie jesteśmy gotowi myśleć o Mersei, kiedy coś idzie nie tak — ponuro stwierdził. — A przecież oni żyją bardzo daleko stąd. Natomiast tuż pod naszym nosem znajduje się inna obca potęga… i jest ona tak samo mocno powiązana z Merseią, jak i z nami.

— Ma pan na myśli Ymira? — Flandry prychnął. — No, drogi szefie, pozwala pan, żeby ksenofobia tryskała panu z uszu.

— Niech pan się zastanowi — powiedział Fenross. — Ktoś lub coś pomogło tym obcym w Vixen zbudować nowoczesną flotę wojenną. Nie mogliby tego zrobić sami: gdyby zaczęli badać przestrzeń międzygwiezdną, wiedzielibyśmy o tym, a wiedza musi poprzedzać podbój. Ktoś, bardzo dobrze znający naszą sytuację, poinformował obcych o naszym języku, broni, układzie terytorialnym – o wszystkim. Jestem pewien, że ktoś im powiedział, że mają zaatakować właśnie teraz, kiedy prawie całe nasze siły zgromadzone są w Syraxie. Kto? Jest tu pewien element. Obcy używają systemu zasilania helowo-ciśnieniowego, podobnie jak Ymiryci. Nie ma wątpliwości, wynika to z detektorów. Zasilanie helowo-ciśnieniowe jest w porządku, ale nie jest tak wygodne jak oparte na cyklu atomów ciężkiego wodoru; nie, jeśli ktoś żyje w ziemskich warunkach, a obcy z całą pewnością tak żyją. Statki, mam na myśli ich kształt, również wykazują subtelne podobieństwo do ymiryckich. Pokażę panu zdjęcia, które przyszły wraz z raportami. Te statki wyglądają, jakby zostały zaprojektowane przez inżyniera przyzwyczajonego bardziej do pracy z hydrolitem niż ze stalą.

— Chce pan powiedzieć, że to Ymiryci stoją za obcymi? Ale…

— Ale nic. W układzie Vixen znajduje się także planeta Ymirytów. Kto wie, ile gwiazd skolonizowały te pełzacze… gwiazd, o których nawet nie słyszeliśmy? Kto wie, nad iloma rasami klienckimi mogą panować? I beztrosko podróżują tam i z powrotem, przez naszą sferę i Merseię, a… Załóżmy, że potajemnie są w zmowie z Merseią. Czy jest lepszy sposób na przemycenie agentów Merseian do naszych układów? Nie zatrzymujemy statków Ymirytów. Nie jesteśmy w stanie tego zrobić! A każdy z nich może przenosić w sobie bańkę pola siłowego z ziemskimi warunkami… Przez całe lata uważałem, że zbytni dziecinnie zaufaliśmy Ymirowi. Najwyższy czas to szczegółowo zbadać. Może być już za późno!

Flandry zgasił papierosa.

— Ale jaki oni mogliby mieć w tym wszystkim interes? — spytał łagodnie. — Co jakakolwiek tlenodyszna rasa mogłaby posiadać, czego by potrzebowali - lub czym mogłaby ich przekupić?

— Tego nie wiem — przyznał Fenross. — Mogę się mylić. Ale chcę, żeby to zostało zbadane. Wraca pan na Jowisza, panie kapitanie. Natychmiast.

— Co?

— Na tym nieszczęsnym adoptowanym synu naszej służby, chronicznie brakuje nam personelu — powiedział Fenross. — Obecnie jest gorzej niż

kiedykolwiek. Będzie pan musiał polecieć sam. Proszę wywęszyć tak dużo, jak tylko pan zdoła. Proszę też poświęcić tyle czasu, ile będzie pan potrzebował. Ale ma pan nie wracać bez raportu, który da nam jakieś wskazówki – w ten czy inny sposób!

„Albo wrócić martwy” — pomyślał sobie Flandry. Spojrzał na wykrzywioną twarz po drugiej stronie biurka i wiedział, że tego właśnie pragnąłby Fenross.

IV

Wyciągnął Chivesa z aresztu i zastanawiał się, czy nie wkraść się z powrotem na imprezę Ruethena. Wciąż jeszcze trwała. Jednak, nie. Aycharaych nie wspomniałby o swoim wyjeździe, nie zakładając, że Flandry nie powiadomi o nim centrali. Może to był jakiś jego pomysł na żart - mogło to być także zwykłe wyzwanie, bo Aycharaych był człowiekiem, którego cieszyło wymykanie się z zasadzek - najprawdopodobniej jednak wszystko to było zamierzone, w jakimś mrocznym celu. W każdym razie jeden lub dwóch młodszych oficerów wywiadu lepiej będzie pilnować Chereionitę niż Flandry, który był znaną postacią. Po poczynieniu odpowiednich przygotowań, kapitan zabrał Chivesa do swojego prywatnego flittera.

Hooligan, choć w środku wyglądał jakby miał służyć dla przyjemności, był statkiem bojowym, wyposażonym w działka i odpowiednio szybkim. Nawet na podstawowym, podświetlnym napędzie, był w stanie dotrzeć do Jowisza w tak krótkim czasie, że Flandry miałby go niewiele na zastanowienie się, co zrobić. Ustawił autopilota i kazał Chivesovi przynieść drinka.

— Mocnego — dorzucił.

— Tak jest, proszę pana. Czy życzy pan sobie białą koszulę, czy woli pan strój roboczy?

Flandry zastanowił się nad swoją elegancją i westchnął. Chives spędził godzinę ubierając go - niepotrzebnie.

— Zwykłe szare ubranie na suwak — powiedział. — A także wór pokutny i popiół.

— Bardzo dobrze, proszę pana.

Lokaj podał mu whisky z lodem. Pochodził z Shalmu, był w pełni humanoidalny, z wyjątkiem łysej, szmaragdowej skóry, chwytnego ogona, metra wzrostu oraz szczegółów budowy ucha, dłoni i stopy. Flandry kupił go kilka lat temu, nazwał Chivesem i nauczył wielu przydatnych rzeczy. Ostatnio istota grzecznie odmówiła wyzwolenia. („Jeśli mogę to tak śmiało wyrazić, panie, obawiam się, że moje zwyczaje plemienne obecnie byłyby mniej dla mnie interesujące niż ich godny pożałowania brak przyzwoitości”).

Flandry przez chwilę dumał nad swoim drinkiem.

— Co wiesz o Ymirze? — spytał.

— Ymir to arbitralna, ludzka nazwa głównej planety domeny - jeśli mogę użyć tego słowa w tym kontekście - która pokrywa się z Imperium Ziemskim, Merseiańskim i bez wątpienia znaczną częścią galaktyki.

— Nie bądź tak diabelnie dosłowny — powiedział Flandry. — Zwłaszcza, kiedy pytam retorycznie. Chodzi mi o to, co wiesz o ich sposobie życia, myślenia, wiary, nadziei? Co uważają za piękne, a co za zbyt okropne, aby to tolerować? Dobrzy galopujący bogowie, jakiego rozwiązania oni w ogóle używają jako rządu? Nazywają siebie Rozproszeniem, gdy mówią w anglicu - ale czy to jest tłumaczenie, czy po prostu określenie? Jak moglibyśmy to stwierdzić? Co ty i ja mamy wspólnego z istotami, które żyją w temperaturze stu stopni poniżej zera, oddychają wodorem pod tak ogromnym ciśnieniem, że sprawia ono, iż dna naszych oceanów wydają się być niemalże próżnią, piją ciekły metan i używają do produkcji swoich narzędzi alotropowego lodu?

— Byliśmy raczej gotowi, oddać im Jowisza; oraz inne planety typu jowiszowego w całej naszej domenie. W zamian za to mieli do zaoferowania planety typu ziemskiego. Ta wymiana podwoiła objętość naszej sfery. Wymieniliśmy z nimi pewną ilość informacji naukowych: wiedzę o fizyce wysokiego ciśnienia na fizykę niskiego ciśnienia, o metabolizmie tlenowym na metabolizm wodorowy… ale było tego rozczarowująco niewiele, jeśli się nad tym zastanowić. Są w przestrzeni międzygwiezdnej dłużej niż my. (A jak nauczyli się atomistyki przy ymirytańskim ciśnieniu atmosferycznym? Nie pytaj mnie o to!) Obserwowali już formy życia naszego rodzaju w… jak dużej części galaktyki? Nie mogliśmy im zaoferować niczego ważnego, poza prawem do spokojnego skolonizowania paru planet. Nigdy nie wykazywali równie wielkiego zainteresowania naszymi wojnami - wojnami tlenowców na pigmejskich planetach - co ty i ja walką między dwiema armiami mrówek. Dlaczego miałoby ich to obchodzić? Można by zrzucić Terrę lub Merseię na Jowisza, a i tak nie spowodowałyby one nawet poważniejszego rozbryzgu. Od stu lat Ymiryci nie odezwali się do nas ani słowem. Ani do Merseii, jak wszystko na to wskazuje. Aż do teraz.

— A jednak tuż przed naszym odlotem Ziemi, rzuciłem okiem na zdjęcia zrobione w pobliżu Vixen. I Fenross, oby się smażył w piekle, ma rację. Te tęponose statki zostały zbudowane na planecie podobnej do Terry, lecz mają ymiryckie linie… tak samo jak pierwsze terrańskie samochody miały silniki z przodu, bo tam wcześniej był koń… To może być przypadek, jak mi się wydaje. Albo jakaś zmyłka. Albo… nie wiem co. Jak mam się tego dowiedzieć, jeden człowiek na planecie o promieniu dziesięciokrotnie większym od Terry? Niech to Judasz!

Opróżnił kieliszek i ponownie podstawił go do napełnienia.

Chives nalał do pełna, po czym wrócił do szafki z ubraniami.

— Biała szarfa czy niebieska? — zastanawiał się. — Hm, tak, sądzę, że biała, proszę pana.

Flitter ruszył dalej. Zanim Flandry wylądował na Ganimedesie, potrzebował już zastrzyku otrzeźwiającego.

Istniała ustalona procedura takiej wizyty. Nie stosowano jej od dziesięcioleci, Flandry musiał ją sprawdzić, ale zrobotyzowana stacja wciąż cierpliwie czekała między surowymi górami. Przedstawił swoje dane uwierzytelniające, nawiązano kontakt radiowy z główną planetą, nieznane wiadomości przemieściły się na jej powierzchni. Odpowiedź nadeszła

szybko: tak, panie kapitanie, gubernator może pana przyjąć. Statek kosmiczny jest już w drodze i będzie do pańskiej dyspozycji.

Flandry wyglądał na kamieniste pustkowie Ganimedesa. Nie minęło wiele czasu, kiedy przysadzisty, połyskujący kształt zszedł na powierzchnię na wiązce grawitacyjnej. Z jego śluzy wysunęła się rura, która połączyła się z flitterem. Flandry westchnął.

— Chodźmy — powiedział i ruszył na drugą stronę. Chives pognał za nim obładowany bronią, narzędziami i przyrządami, z czego nic najprawdopodobniej nie mogło im się przydać. Nastąpiło kilka trudnych chwil w naturalnej grawitacji Ganimedesa, po czym weszli do bańki, w której panowały warunki terrańskie.

Wyglądała ona jak zwykła kabina pasażerska trzeciej klasy, z wyjątkiem niemodnego już umeblowania i zestawu dużych ekranów. Trudno było uwierzyć, że była to tylko wewnętrzna materialna powłoka scalającego pola siłowego, że wyłącznie energia, podobna do tej, która utrzymywała w całości jądro atomowe, była czynnikiem powstrzymującym to pomieszczenie przed implozją pod niesamowitym ciśnieniem. Albo raczej, w chwili obecnej, powstrzymywała pozostałe części statku kosmicznego, przed eksplozją na zewnątrz. Większą część konstrukcji pojazdu stanowił stop wody, litu i metalicznego wodoru, stabilny wyłącznie w warunkach panujących na powierzchni Jowisza.

Flandry zostawił Chivesowi zamknięcie śluzy, a sam włączył ekrany. Dawały one pełny widok na zewnątrz. Jeden pozostał pusty - komunikator, drugi zaś pokazywał kabinę pilota.

Sztuczny głos, absurdalnie słodki, w stylu sprzed wieku, oznajmił:

— Witaj, Terraninie. Moje imię, tak jak to można najbardziej precyzyjnie oddać w odpowiednikach dźwiękowych, brzmi Horx. Jestem twoim przewodnikiem i tłumaczem w czasie pobytu na Jowiszu.

Flandry popatrzył na ekran. Ymiryta nie do końca rejestrował się w jego umyśle. Jego oczy nie były przyzwyczajone do tego rodzaju kształtów i proporcji, widzianych w dziwnie zmieniającym się czerwono-niebiesko-mosiężnym świetle. (Które nawet nie było prawdziwe, ponieważ było jedynie elektronicznym przekładem. Człowiek patrzący prosto w gęstą jowiszową atmosferę widziałby tylko ciemność).

— Witaj, Horx — powiedział do wielkiego, czarnego, wielonogiego kształtu, o kilku osobliwych, obrośniętych wypustkami głowach. Zwilżył wargi, które zdawały się trochę suche. — Spodziewam się, że nigdy wcześniej w życiu nie miałeś takiego zadania.

— Kilka razy, mniej więcej sto lat temu — odparł Horx. Wydawało się, że nie rusza się, nie dotyka żadnych elementów sterujących, ale Ganimedes zniknął już z ekranów i pojawiła się ba nich pusta przestrzeń kosmiczna. — Od tego czasu wykonuję inną pracę. — Zawahanie. Czy aby na pewno? W końcu: — Ostatnio jednak znowu oprowadzałem po naszej powierzchni kilka misji.

— Co? — wykrztusił Flandry.

— Merseianie — wyjaśnił Horx. — Możesz zapytać gubernatora, jeśli chcesz.

Przez całą podróż więcej się nie odezwał.

Jowisz, już wcześniej stanowiący duży obiekt na ekranie, obecnie pokrył połowę nieba. Flandry oglądał plamy na jego świecącej, wielobarwnej tarczy, ciemne miejsca, wskazujące na burze mogące pochłonąć całą Terrę. Potem obraz zniknął; przelatywali przez atmosferę. Wciąż jednak ekrany lojalnie próbowały coś pokazać: widział długie na tysiąc kilometrów chmury kryształów amoniaku, poznaczone smugami dziwnych błękitów i zieleni wolnych rodników; widział błyskawice przeskakujące po fioletowym niebie i odległe żółte rozbłyski eksplozji sodu. Podczas lotu w dół mógł nawet poczuć, bardzo słabo, drżenie statku pod wpływem potężnych wichrów i usłyszeć stłumione wycie i grzmot powietrza.

Okrążyli nocną stronę, wciąż obniżając lot, a Flandry ujrzał metanowy ocean, pomarszczony falami spłaszczonymi przez ciśnienie i grawitację, na tle klifu z czarnego alotropowego lodu, który kruszył się i był wynoszony z powrotem w górę, nawet wtedy gdy na to patrzył. Zobaczył niekończącą się równinę, na której istoty wyglądające na w połowie drzewa, a w połowie zwierzęta - tyle że nie były one ani jednym, ani drugim w żadnym ziemskim sensie tych słów - rozpościerały wężowate liście we wstęgi o długości setek metrów. Widział bąbelki przepływające obok nich strumieniem na czerwonym wietrze, piękne wyglądające w swych niezliczonych kolorach i śpiewające cienkimi kryształowymi głosami, jakimś sposobem przenikającymi kadłub statku. Lecz przy takim ciśnieniu nie mogły to być prawdziwe bąbelki. A może jednak?

Tuż za linią świtu pojawiło się miasto. Jeśli to było miasto. Była to co najmniej jedna budowla o ogromnej powierzchni, pokryta zawiłymi grotami i arabeskami. Miała ona niewielką wysokość, lecz jakimś sposobem była wdzięczna i pełna gracji. Na ekranie Flandry'ego miała kolor wypolerowanego błękitu. Gdzieniegdzie błyskały iskry i nitki białej energii. Raziły one go w oczy. Wokół kręciło się wielu Ymirytów, latających na własnych skrzydłach lub w szybowcach o kształcie muszli. Człowiek nigdy by nie pomyślał o Jowiszu jako o planecie, na której cokolwiek mogłoby latać, dopóki nie przypomniałby sobie o gęstości powietrza; wtedy też zdałby sobie sprawę, że mówimy tu raczej o pływaniu.

Statek kosmiczny zatrzymał się, zawisając na polu repulsorowym. Horx oznajmił:

— Gubernator Thua.

Inny Ymiryta pojawił się nagle na zewnętrznym ekranie komunikacyjnym. Trzymał jakąś rzecz, która dymiła i migotała, zmieniając bez przerwy kształt. Bezosobowy, melodyjny roboci głos powiedział do niego, przebijając się przez wycie odwiecznego wichru, który bez trudu zdmuchnąłby wszystko, co byliby w stanie zbudować ludzie:

— Witaj. Czego od nas pragniesz?

Dawne zapiski mówiły Flandry'emu, że może spodziewać się szorstkiego traktowania. Nie była to nieuprzejmość; o czym mieliby rozmawiać człowiek i Ymiryta? Kapitan zaciągnął się nerwowo papierosem i oznajmił:

— Jestem tu z misją śledczą dla mojego rządu.

Te istoty albo były, albo nie były, już wcześniej świadome sytuacji na Vixen; jeśli nie, to nie były również sojusznikami Merseii i przypuszczalnie nie będą chciały o tym rozmawiać. A jeśli były, to co za różnica? Flandry wyjaśnił więc sytuację.

Thua odparł natychmiast:

— Wygląda na to, że macie bardzo słabe podstawy, aby nas podejrzewać. Zwykłe podobieństwo wyglądu statków i technologii nuklearnej, jest logicznie rzecz biorąc niewystarczające.

— Wiem — zgodził się Flandry. — To może być fałszerstwo.

— Możemy mieć nawet do czynienia z sytuacją, że jeden lub kilku Ymirytów udzieliło rady podmiotom, które zainicjowały ten atak — powiedział Thua. Nie dało się tego ocenić po pseudogłosie, lecz nie wydawał się on okazywać ani urazy, ani sympatii: po prostu wyrażał kompletny brak zainteresowania. — Rozproszenie od wielu cykli nie stymuluje jednostek. Nie potrafię sobie jednak wyobrazić, jaki motyw mógłby mieć Ymiryta, aby angażować się w jakikolwiek sposób, na rzecz istot oddychających tlenem. Takie działania nie przynoszą żadnych korzyści, a już na pewno nie materialnych.

— Jakiś osobnik odbiegający od normy? — zasugerował Flandry z niewielką nadzieją. — Jak człowiek niszczący mrowisko - to takie siedlisko pomniejszych zwierząt - jedynie dla zabicia czasu?

— Ymiryci nie odbiegają od normy w taki sposób — oznajmił sztywno Thua.

— Rozumiem, że niedawno odwiedzili was tutaj Merseianie.

— Właśnie miałem o tym wspomnieć. Robię wszystko, co w mojej mocy, aby zapewnić oba imperia o ścisłej neutralności Ymiru. Byłoby kłopotliwe, gdyby któreś z nich zaatakowało nas i zmusiło nas do eksterminacji jego gatunków.

„Co było największą przechwałką od czasów wędkarza, który złapał na wędkę wieloryba” — pomyślał Flandry, — „albo trzeźwą prawdą.” Na głos powiedział, uważnie dobierając, jedno po drugim, słowa: — Co więc tutaj robili Merseianie?

— Chcieli przeprowadzić jakieś naukowe obserwacje powierzchni Jowisza — odparła Thua. — Ich przewodnikiem był Horx, podobnie jak twoim. Niech opisze ich działania.

Pilot poruszył się w swojej komorze, rozkładając czarne skrzydła.

— Po prostu przelecieliśmy się parę razy. Mieli ze sobą przyrządy optyczne i dokonywali różnych odczytów spektroskopowych. Mówili, że prowadzą badania w dziedzinie fizyki ciała stałego.

— Coraz ciekawiej — stwierdził Flandry. Pogłaskał swoje wąsy. — Mają tyle samo planet jowiszowych w swojej sferze, co i my. Szczegółowy raport na temat warunków panujących na Jowiszach, który pierwsi osadnicy Ymirytów złożyli na Terrze, w ramach traktatu, nigdy nie był tajny. Nie, po prostu nie wierzę w te badania.

— Wydawało się to wątpliwe — zgodził się Thua, — lecz nie mam zamiaru udawać, że rozumiem wszelkie kaprysy umysłu obcych. Łatwiej było zyskać u nich dług wdzięczności, niż się o to spierać.

Chives odchrząknął i niespodziewanie spytał:

— Jeśli mogę pozwolić sobie na pytanie, proszę pana, czy wszyscy ci niedawni goście byli z gatunku Merseian?

Obrzydzenie Thua trudno było pomylić z czymkolwiek innym:

— Oczekujesz, że będę rejestrować jakieś nieistotne różnice między jedną rasą a drugą?

Flandry westchnął.

— Wygląda na to, że mamy impas, nieprawdaż? — powiedział.

— Poza moim słowem, nie przychodzi mi do głowy żaden inny sposób, byś mógł uzyskać pewność, że Ymir nie jest w to zamieszany — oznajmił Thua. — Jeśli jednak chcesz, możesz udać się na swobodną wycieczkę po tej planecie i sprawdzić, czy nie dostrzeżesz czegoś niezwykłego. — Jego ekran zgasł.

— Co za szansa! — mruknął Flandry. — Chives, daj mi drinka.

— Czy przyjmie pan propozycję gubernatora? — zapytał Horx.

— Chyba tak. — Flandry opadł na krzesło. — Zorganizuje nam standardową wycieczkę z przewodnikiem. Nigdy nie byłem na Jowiszu i przynajmniej będę miał coś do pokazania, na dowód, że nie traciłem czasu.

Miasto pozostawało w tyle, zadziwiająco szybko. Flandry popijał whisky wyciągniętą przez Chivesa z zapasów, które zabrali ze sobą, i niezbyt uważnie obserwował niesamowity krajobraz. Szkoda, że czuł się tak bardzo skwaszony; to naprawdę było doświadczenie, które było dane przeżyć jedynie niewielu ludziom. Zmarnował jednak wiele godzin na misję, z jaką poradziłby sobie każdy kadet drugiego roku… podczas gdy wokół Syrax gromadzono armaty, a Vixen stała samotnie przeciwko całemu piekłu… a nawet Lady Diana tańczyła z innymi mężczyznami, zaś Ivar del Bruno czekał z uśmiechem, aby odebrać swoją wygraną w zakładzie. Flandry rzucił niezbyt stosownym słowem.

— Cóż to za wspaniała kupa błota dla Fenrossa, aby mnie z nim zmieszać — dodał. — Ten człowiek ma do tego prawdziwy geniusz.

Wypił drinka i zawołał o kolejnego.

— Wznosimy się, sir — powiedział Chives, znacznie później.

Flandry obejrzał już góry, które drżały i dudniły, błękitne mgły, które wirowały wokół ich metalicznych szczytów, a potem jowiszowa powierzchnia pogrążyła się w ciemności. Niebo zaczęło przybierać krwisty kolor.

— Dokąd teraz zmierzamy? — zapytał. Sprawdził mapę. — A tak, już wiem.

— Ośmielę się zasugerować pilotowi, że nasza prędkość może być nieco zbyt duża — powiedział Chives.

Flandry usłyszał, jak siła wiatru na zewnątrz rośnie do poziomu wycia, z poddźwiękowymi tonami, które drżały mu w szpiku kości. Jego oczom ukazała się czerwona mgła. Poza nią dostrzegł karmazynowe chmury wysokości ziemskich gór, z przeskakującymi w ich trzewiach błyskawicami. Światło z ekranów wlewało się do kabiny niczym matowy ogień.

— Tak — mruknął. — Zwolnij, Horx. Za chwilę pojawi się kolejny, jak głosi opowieść…

I wtedy zobaczył, że pilot wstaje w swojej komorze, otwiera drzwi i odlatuje. Chwilę później Flandry dostrzegł jeszcze, jak Horx uderza skrzydłami we wściekłym prądzie powietrza wywoływanym przez statek kosmiczny, po czym Ymiryta zniknął z pola widzenia. A następnie Chives zauważył coś, co wisiało przed nimi na niebie, i krzyknął. Zarzucił ogon na talię Flandry'ego, podczas gdy ten trzymał się rękami i nogami poręczy koi.

A potem świat eksplodował z grzmotem, zmieniając się w noc.

V

Flandry obudził się. Następnie spędził stulecia żałując, że to zrobił. W końcu jakiś niewyraźny zielony kształt oznajmił:

— Pańska aneuryna, proszę pana.

— Idź sobie — wymamrotał Flandry. — Co ja piłem?

— Proszę mi wybaczyć, że na to sobie pozwalam, proszę pana — powiedział Chives. Spętał nadgarstki człowieka ogonem, jedną ręką przytrzymał nos Flandry'ego, a drugą wlał mu narkotyk do ust. — Teraz czujemy się znacznie lepiej, nieprawdaż?

— Przypomnij mi, żebym cię zastrzelił, powoli. — Flandry zamknął się na chwilę. Lekarstwo zaczęło działać i wstał. Jego myśli rozjaśniły się i popatrzył na zestaw ekranów.

Tylko jeden z nich wciąż działał. Pokazywał gęstą, dryfującą czerwień, przeplataną błękitem i czernią. Stały, szorstki warkot, przypominający pękanie polarnego paku lodowego, przebijał się przez sztywne ściany bańki siłowej - Boże, jaki hałas musiał panować na zewnątrz? Kabina była przechylona. Flandry, rozpłaszczony w jej dolnym rogu, znowu zaczął ześlizgiwać się po podłodze; statek nieustannie się przetaczał. Wewnętrzne pole grawitacyjne uratowało im życie, łagodząc najgorsze wstrząsy, ale potem przestało działać. Czuł na sobie naturalne przyciąganie Jowisza, a każda komórka jego ciała była zmęczona swym własnym ciężarem.

Skupił się na skręconej ramie koi.

— Czy ja zrobiłem to swoją własną małą główką?

— Uderzyliśmy z wielką siłą, proszę pana — potwierdził Chives. — Pozwoliłem sobie zabandażować panu głowę. Lecz zastrzyk hormonu wzrostu wyleczy ranę w ciągu paru godzin, proszę pana, jeśli uda nam się uniknąć obecnego dylematu.

Flandry pozbierał się na nogi. Wszystkie kości zdawały się ciągnąć go z powrotem w dół. Czuł drżenie ścian kabiny i słyszał ich jęk. Bańka siłowa wytrzymała, co oznaczało, że generator i główna siłownia przetrwały katastrofę. Nic dziwnego; taki statek zbudowany był na zasadzie zapewnienia bezpieczeństwa w razie awarii. Lecz z tej kabiny do pomieszczenia pilota nie było żadnego dostępu - chyba że ktoś był Ymirytą. Nie miało więc znaczenia, czy statek nadal nadawał się do lotu, czy nie. Człowiek i shalmuanin utknęli tu, dopóki nie umrą z głodu. Albo, co bardziej prawdopodobne, dopóki siłownia atomowa nie przestanie działać, pod wpływem tego czy innego szturchnięcia, jakie otrzymywał ten statek.

No cóż, kiedy pole siłowe się załamie, a jowiszowe ciśnienie powietrza zmiażdży kabinę, przynajmniej będzie to miłosierna śmierć.

— Do diabła z tym hałasem — warknął Flandry. — Nie chcę umrzeć tak szybko, by tego nie poczuć. Chcę widzieć nadchodzącą śmierć i sprawić, by to głupie bydlę walczyło ze mną o każdy centymetr mojego ciała.

Chives wpatrywał się w złowrogi karmazyn wypełniający ostatnie działające elektroniczne okno. Jego drobna sylwetka przygarbiła się, cały drżał w kolanach; był jeszcze mniej przystosowany do jowiszowego ciężaru niż Flandry.

— Gdzie jesteśmy, proszę pana? — wyszeptał. — Tuż przed kolizją zastanawiałem się przede wszystkim nad tym, co przygotować na lunch…

— To obszar Czerwonej Plamy — poinformował go Flandry. — A raczej jego obrzeża. Musimy znajdować się na jakimś odległym bergu, czy jak się to tutaj nazywa.

— Wygląda na to, że nasz przewodnik nas opuścił.

— Do diabła, to on wpakował nas w ten bałagan. Celowo! Wiem już na pewno, że przynajmniej jeden Ymiryta pracuje dla wroga - kimkolwiek on by nie był. Ale te informacje nie na wiele się zdadzą, jeśli zmienimy się w parę tłustych plam.

Statek zadrżał i ponownie się przechylił. Flandry chwycił się podpory, położył na pryczy i powiedział bardzo szybko, bo wokół niego huczało zniszczenie:

— Widziałeś Czerwoną Plamę z kosmosu, Chives. Od dawna wiadomo było, nawet jeszcze przed czasami podróży kosmicznych, że jest to… masa atmosferycznego paku lodowego. Boże, co za fantastyczne miejsce na śmierć! Utworzyła się dlatego, że na pewnej wysokości w atmosferze Jowisza ciśnienie pozwala na powstanie czerwonej krystalicznej formy lodu - nie tego białego, na który wylewamy whisky, ani czarnego jego alotropu na powierzchni Jowisza, czy też super gęstej odmiany w płaszczu wokół jądra tej planety. Tutaj ciśnienie jest odpowiednie dla powstawania czerwonego lodu, a ponieważ ma on identyczną gęstość co powietrze, więc unosi się w nim. Początkowa formacja lodu stworzyła korzystne warunki do nawarstwiania się kolejnych… więc zgromadził się on w tym jednym regionie, podobnie jak na bardziej przytulnych planetach gromadzi się w czapach polarnych. W niektórych latach wiele z niego topnieje - zmienia fazę - Czerwona Plama wygląda wtedy jaśniej z zewnątrz. W innych latach dochodzi do większego nagromadzenia, a Jowisz wygląda jakby miał poruszającą się ranę. Ale zawsze, Chives, Czerwona Plama to mnóstwo latających lodowców, rozciągających się na większym obszarze niż cała Terra. A my rozbiliśmy się na jednym z nich!

— W takim razie nasza obecna sytuacja rzeczywiście nie może być przypadkowa, proszę pana — przytaknął niewzruszony Chives. — Śmiem twierdzić, że przy tych wszystkich środkach ostrożności wbudowanych w ten statek, Horx uznał, że to jedyny sposób na zniszczenie nas, bez pozostawiania dowodów. Może twierdzić, że na naszej drodze stanął zabłąkany berg albo coś podobnego. — Chives prychnął. — Zupełnie nie po sportowemu, proszę pana. Właśnie tego można się było spodziewać po… tubylcu.

Kabina zakołysała się. Flandry złapał się, zanim wypadł z pryczy. Przy tej grawitacji upadek w pomieszczeniu oznaczałoby złamanie nogi. Rozległy się grzmoty. Białe opary z sykiem unosiły się do góry na karmazynowym tle ocalałego ekranu.

— Nie znam się na tych naukowych ezoterykach — powiedział Flandry. Jego klatka piersiowa ciężko falowała, walcząc o dostarczenie tlenu mięśniom pracującym pod niemal trzykrotnie większym ciężarem niż normalnie. Każde żebro było jakby odlane z ołowiu. — Lecz zgaduję, że odbywa się to mniej więcej w taki sposób. Utrzymujemy tu temperaturę, która jak na Jowisza jest szalenie wysoka. Wypromieniowujemy więc ciepło, sprawiające, że lód staje się miękki i powoli zagłębiamy się w berg.

Wzruszył ramionami i wyciągnął papierosa.

— Czy to rozsądne, proszę pana? — spytał Chives.

— Recyklery tlenu wciąż działają — zauważył Flandry. — Wcale nie jest tu duszno. Powietrze to najmniejsze z naszych zmartwień. — Jego chłód prysł, uderzył pięścią w ścianę i wycedził przez zęby: — Najgorsza jest ta bezradność! Nie możemy wyjść z kabiny, nie możemy zrobić nic poza siedzeniem tutaj i znoszeniem tego wszystkiego!

— Tak się zastanawiam, proszę pana. — Powoli, ze szczupłą twarzą zwiotczałą pod wpływem siły grawitacji, Chives podciągnął się do plecaka ze sprzętem. Przekopał się przez niego. — Nie, proszę pana. Żałuję, że nie wziąłem radia. Wyglądało na to, że będziemy mogli komunikować się ze światem tylko przez pilota. — Przerwał na chwilę. — Nawet gdybyśmy znaleźli sposób na nadanie sygnału, śmiem twierdzić, że każdy Ymiryta, który odebrałby nasze wezwanie, zinterpretowałby je jako przypadkowe zakłócenia.

Flandry jakoś wstał.

— Co tam mamy? — Jego nerwy przeszył dreszcz podniecenia. Na zewnątrz Jowisz nieustannie huczał.

Różne detektory, proszę pana, do kontroli instalacji. Para skafandrów kosmicznych. Broń. Pański zestaw włamaniowy, choć przyznaję, że nie jestem pewien, jaką wartość miałby tutaj. Mikrorejestrator. I…

— Chwileczkę!

Flandry skoczył w kierunku lokaja. Podłoga zatrzęsła się pod nim. Zatoczył się w stronę przeciwległej ściany. Chives wysunął ogon i pomógł mu wyhamować. Trzęsąc się, Flandry podniósł się i na czworakach podszedł do rogu, w którym przycupnął Shalmuanin.

Nie zatrzymał się nawet, by zadrwić z własnego roztargnienia. Serce mu łomotało.

— Poczekaj chwilę, Chives — powiedział. — Tam mamy śluzę powietrzną. Ponieważ bąbel wzmacnia jej strukturę, musi być nienaruszona, a jej maszyneria może otwierać zawory nawet przy takim ogromnym ciśnieniu zewnętrznym. Oczywiście sami nie możemy przez nią przejść. Nasze skafandry kosmiczne zostałyby zgniecione. Ale możemy dostać się do mechanizmu śluzy. Z logicznego punktu widzenia musi on być częścią systemu dostosowującego do warunków panujących na Terrze. Możemy użyć narzędzi, które tu mamy, by stworzyć prosty automatyczny cykl. Najpierw otwiera się zawór zewnętrzny. Następnie

zamyka się, jowiszowe powietrze jest usuwane z komory, a ziemskie powietrze je zastępuje. Następnie zawór otwiera się ponownie… i tak dalej. Rozumiesz?

— Nie, sir — odpowiedział Chives. W jego żółtych oczach malowało się śmiertelne wyczerpanie. — Mój mózg jest taki gęsty… Żałuję…

— Sygnał! — wykrzyknął Flandry. — Wyrzucimy tlen do atmosfery wodorowo-metanowej. Wytworzymy iskrę elektryczną w komorze śluzy, aby zapalić mieszankę. Szszsz! Flara! Dosyć słaba i niebieska, lecz nie według jowiszowych standardów. Każdy Ymiryta w promieniu kilkudziesięciu kilometrów z pewnością zobaczy ją tak wyraźnie, jak my widzimy pochodnię magnezową. A ona będzie się powtarzać. Stały cykl, co cztery lub pięć minut. Jeśli Ymiryci nie są z betonu, będą na tyle ciekawi, by to zbadać… a kiedy znajdą wrak na tej górze lodowej, domyślą się, czego potrzebujemy i…

Jego głos ucichł. Chives powiedział tępo.

— Czy zdołamy oszczędzić tlen, proszę pana?

— Będziemy musieli — powiedział Flandry. — Poświęcimy go tyle, ile będziemy w stanie wytrzymać, a następnie zatrzymamy cykl. Jeśli po kilku godzinach nic się nie wydarzy, zużyjemy połowę tego, co zostało, w ostatnim fajerwerku. — Zaciągnął się na koniec papierosem, zgasił go z wielką ostrożnością i podniósł się na nogi. — Chodźmy już. Co mamy do stracenia?

Podłoga się trzęsła. Na zewnątrz huczało i trzaskało. Za oknem unosiła się zielona mgła wolnych rodników, a czerwona góra lodowa wirowała w niekończącej się wichurze Jowisza.

Flandry popatrzył na Chivesa.

— Masz jedną wadę, chłopcze — stwierdził, zmuszając się do uśmiechu. — Nie jesteś piękną kobietą. — A potem, po chwili, westchnął: — Ale to dobrze. W tych okolicznościach.

VI

— **I** w tej tak już oklepanej ostatniej chwili, nadeszła pomoc, co dowodzi, że bogowie mnie kochają; nawiasem mówiąc jest to absolutnie zrozumiałe. Grupa Ymirytów zauważyła naszą flarę. Rozejrzawszy się na miejscu, odlecieli, sprowadzając kolejny statek - bańkę siłową, na który przenieśliśmy nasze na wpół uduszone zwłoki. Nie, mój drogi wnusiu, nie wiem, co ci Ymiryci robili w obszarze Czerwonej Plamy. Dla nich to też musi być dosyć wilgotne i zimne miejsce. Lecz przypuszczam, że na pewno utrzymują tam jakieś stacje monitorujące, naukowe, czy co tam mają, tak jak my monitorujemy regiony Terry, wpływające na rozwój pogody na całej planecie.

— Gubernator Thua nie zadał sobie trudu, by wystosować przeprosiny. Nie zwrócił nawet uwagi na pełne oburzenia żądania mojego służącego, aby natychmiast ukarać występnego Horxa wtrąceniem do szybu z czerwonego lodu, powiedział tylko, że w przyszłości goście otrzymają innego przewodnika (skąd będą to wiedzieć?) i że to co się wydarzyło, to nie jego sprawka, a on nie będzie marnował czasu Ymirytów na dochodzenia, kary czy jakiekolwiek inne dalsze działania. Zwrócił uwagę na postanowienia traktatu, że nie jest zobowiązany do przyjmowania nas, a wszelkie wizyty zawsze odbywają się na własne ryzyko.

— Fakt, że jacyś Ymiryci uratowali nas, dowodzi, że spisek, jeśli w ogóle takowy istnieje, nie obejmuje całej ich rasy. Ale jak wysoko postawione są w ich rządzie wrogie nam jednostki (jeśli istnieje u nich coś odpowiadającego rządowi, jaki my znamy) - nie mam pojęcia.

— Powyższe podsumowanie sporządzam wyłącznie dla wygody. Transkrypcja całej rozmowy, która została nagrana zgodnie z pańskimi niedżentelmeńskimi rozkazami, w załączeniu.

— Tak, wnusiu, możesz opuścić pokój.

Flandry wyłączył rejestrator. Mógł być pewien, że zaufana sekretarka, która sporządzi formalny raport z jego podyktowanej relacji, ocenzuruje to. Chociaż wolałby, żeby tego nie robiła.

Rozparł się wygodnie w fotelu, położył stopy na biurku, wypuścił dym przez nos i wyjrzał przez przezroczystą ścianę swojego biura. Centrum Admiralicji lśniło smukłymi iglicami o delikatnych barwach, sięgającymi jasnego wiosennego nieba Terry. Nie można było pełnić warty w promieniu 400 lat świetlnych bez milionów okrętów; a to oznaczało miliony decydentów, naukowców, inżynierów, strategów, taktyków, koordynatorów, urzędników… a wszyscy oni mieli rodziny, które potrzebowały jedzenia, ubrań, domów, szkół, rozrywek… więc serce Imperialnej Marynarki stało się miastem samym w sobie. „Cholerne miasto

korporacyjne", pomyślał Flandry. A jednak, gdy w końcu nadlecą z kosmosu bomby, gdy barbarzyńcy zawyją wśród roztrzaskanych budynków, a dym z płonących książek skryje ciała martwych ludzi w podartych, jasnych mundurach - gdy nadejdzie Długa Noc, tak jak musi ona nadejść, za sto czy tysiąc lat, co za różnica - coś pięknego i odważnego zniknie z oblicza wszechświata.

Do diabła z tym. Oby cywilizacja utrzymała się w kupie na tyle długo, by Dominic Flandry zdążył skosztować jeszcze paru kieliszków wina, przejechać się jeszcze na paru koniach, pocałować jeszcze całe mnóstwo dziewczyn i zaśpiewać jeszcze jedną lub dwie ballady. To wystarczy. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Rozległ się dźwięk interkomu.

— Admirał Fenross chce się z panem natychmiast zobaczyć.

— Teraz mi to mówi — chrząknął Flandry. — Chciałem się z nim widzieć wczoraj, kiedy wróciłem.

— Był wtedy zajęty, panie kapitanie — oznajmił robot, tak gładko, jakby posiadał świadomy umysł. — Jego lordowska mość, earl Sidrath, odwiedza Terrę i chciał, aby oprowadzono go po centrum operacyjnym.

Flandry wstał, poprawił pawio-niebieską tunikę, podziwiając kanty białych spodni, przepasanych złotym plecionym sznurem, i skrył gładko uczesane włosy pod wysadzaną klejnotami czapką oficerską.

— Oczywiście — zauważył — admirał Fenross nie mógł przysłać na tę wycieczkę swojego adiutanta.

— Earl Sidrath jest spokrewniony z Wielkim Admirałem Księciem Azji — przypomniał mu robot.

Flandry zanucił pod nosem: „Moja ukochana jest strasznym lizusem" i wyszedł przez drzwi. Po wykorzystaniu serii taśmociągów i grawiszybów dotarł do biura Fenrossa.

Admirał skinął krótko ostrzyżoną głową zza biurka.

— Jest pan. — Jego ton sugerował, że Flandry wpadł do niego po drodze na piwo. — Proszę siadać. Pański wstępny ustny raport na temat misji na Jowiszu został mi przekazany. Czy to naprawdę wszystko, czego udało się panu dowiedzieć?

Flandry uśmiechnął się.

— Polecił mi pan uzyskać w taki czy inny sposób informację o nastawieniu Ymirytów — mruknął. — I to właśnie zdobyłem: informację, w taki czy inny sposób.

Fenross przygryzł wargę.

— Dobrze, już dobrze. Chyba powinienem to przewidzieć, jak myślę. Współpraca z resztą organizacji nigdy nie była pańską mocną stroną, a my będziemy potrzebować specjalnego zespołu, bardzo dużego zespołu, aby poznać prawdę o Ymirze.

Flandry usiadł prosto.

— Nie — ostro oznajmił.

— Co?

— Proszę nie marnować w ten sposób ludzi. Pokona ich zwykła arytmetyka. Sam Jowisz ma powierzchnię stu Terr. Populacja musi być mniej więcej proporcjonalna. Jak nasi ludzie będą się tam poruszać,

zamknięci w dwóch lub trzech statkach kosmicznych, które Thua ma dla nich do dyspozycji? Zakładając, że Thua po prostu nie odmówi dalszych uciążliwości związanych z kontaktami ze stworzeniami oddychającymi tlenem. Zresztą jak nasi agenci mieliby przesłuchiwać Ymirytów, przekupywać ich, podsłuchiwać i zdobywać jakiekolwiek informację? Truizmem jest stwierdzenie, że typowa praca w wywiadzie polega na gromadzeniu miliona nieistotnych, drobnych faktów i łączeniu ich w jeden duży fakt. Mamy ledwie wystarczającą liczbę agentów i są oni upiornie rzadko porozrzucani. Proszę nie wiązać im rąk pracą niemożliwą do wykonania. Niech dalej pracują nad Merseią, gdzie mają szansę coś osiągnąć!

— A jeśli Ymir nagle zwróci się przeciwko nam? — warknął Fenross.

— W takim razie padniemy po ciosie na deski. Albo umrzemy. — Flandry wzruszył ramionami i skrzywił się; mięśnie wciąż go bolały od uderzeń, jakie musiały ścierpieć. — A czy nie pomyślał pan, panie admirale, że cała ta sprawa może być zagraniem Mersei – mającym odwrócić naszą uwagę właśnie od nich, w czasie tego kryzysu? To dokładnie taki rodzaj sideł, jakie uwielbia zastawiać Aycharaych.

— Być może — przyznał Fenross. — Lecz Merseia leży daleko za Syrax; a Jowisz jest tuż pod nosem. Dano mi do zrozumienia, że Jego Cesarska Mość jest na tyle zaniepokojony, iż pragnie… — On również wzruszył ramionami, czyniąc z tego odwieczny gest bezradnego podwładnego.

— Kto mu podrzucił tę aluzję? — wycedził Flandry. — Z pewnością nie earl Sidrath, któremu wczoraj pokazywał pan zabytki, kiedy nadeszły wieści o upadku Vixen?

— Proszę się zamknąć! — Był to niemalże krzyk. Przez zapadniętą twarz Fenrossa przemknął grymas bólu. Sięgnął po pigułkę. — Gdybym nie wywiązał się z moich obowiązków wobec para — oznajmił głucho – żebrałbym o chleb w metrze, a w tym biurze siedziałby ktoś, kto nigdy by im nie uchybił.

Flandry powstrzymał się. Zapalił nowego papierosa poświęcając tej czynności nadmierną uwagę. Chyba jestem wobec niego niesprawiedliwy, pomyślał. Biedny facet. Bycie Fenrossem może nie być specjalnie zabawne.

Przecież, zreflektował się, Aycharaych opuścił Układ Słoneczny tak łatwo, że zastawiona w kosmosie zasadzka nawet nie zdołała wykryć jego łodzi. Dwadzieścia kilka godzin temu poobijany statek zwiadowczy doczołgał się do portu, aby ogłosić całemu Imperium, że Vixen z konieczności poddało się bezimiennym oblegającym, którzy masowo wylądowali na planecie, po zdziesiątkowaniu obrońców. Ostatnia depesza z Syrax przynosiła wieści o starciach, które kosztowały Ziemian więcej statków niż Merseian. Jowisz płonął tajemniczo na wieczornym niebie. Plotka głosiła, że po odlocie ludzkich gości, Ruethen i jego sztab wytoczyli ogromne beczki gorzkiego ale i hulali przez wiele godzin, niczym trolle; musieli więc mieć jakiś powód do radości.

Za to wszystko nie za bardzo można było winić Fenrossa. Lecz gdyby cała długa wspinaczka ludzkości, z dżungli do gwiazd, miała zakończyć się

ponownym upadkiem – nikt nawet by nie zasłużył na lekkiego kuksańca z tego powodu?

— A co z posiłkami wysłanymi na Vixen? — spytał Flandry.

— Nadal znajdują się w drodze. — Fenross przełknął pigułkę i nieco się odprężył. — Wszystkie informacje, jakie posiadamy, na temat siły wroga i tak dalej, sugerują, że dojdzie do kolejnego starcia. Obcy nie będą wystarczająco silni, aby wyrzucić nasze siły z układu…

— Nie jeśli dowodzi nimi Tom Walton. Słyszałem, że to on objął dowództwo. — Bardzo lekka strużka ciepła napłynęła do duszy Flandry'ego.

— Tak. Jednocześnie, teraz, gdy wróg wylądował na Vixen, nie ma żadnego oczywistego sposobu na pozbycie się go, bez totalnego zniszczenia, co spowodowałoby sterylizację planety. Oczywiście Walton może spróbować odciąć im linie zaopatrzenia i zagłodzić ich; ale kiedy już zorganizują swoją okupację, sama Vixen zaopatrzy ich we wszystko. Możemy też spróbować dowiedzieć się, skąd oni pochodzą i zaatakować ich rodzime planety. A może uda mu się coś wynegocjować. Nie wiem. Cesarz udzielił admirałowi Waltonowi czegoś, odpowiadającego carte blanche.

„To musiał być jeden z dobrych dni Jego Cesarskiej Mości" — stwierdził w myśli Flandry. — „Prawdę mówiąc, to było jedyne rozsądne rozwiązanie."

— Naszą ogromną wadą jest fakt, że przeciwnicy wiedzą o nas wszystko, a my o nich prawie nic — kontynuował Fenross. — Obawiam się, że główny wysiłek naszego wywiadu musi na razie zostać skierowany w kierunku Jowisza. Lecz ktoś też musi zebrać informacje o obcych na Vixen. — Jego słowa zawisły w powietrzu.

Flandry napełnił płuca dymem, wstrzymał go na chwilę i wypuścił powolnym strumieniem.

— Acha — stwierdził beznamiętnym tonem.

— Tak. To pańskie następne zadanie.

— Ale… ja sam na Vixen? Z pewnością siły Waltona zabrały ze sobą grupę naszych ludzi.

— Oczywiście. I zrobią oni wszystko, co w ich mocy. Ale równoległe operacje to standardowa procedura wywiadowcza, o czym nawet pan musi wiedzieć. Co więcej, Vixenici wykonali pewien raczej dramatyczny niż logiczny gest. Po kapitulacji swojej planety wysłali w kosmos jedną łódź z jedną osobą na pokładzie. Łódź nie próbowała dotrzeć do żadnego terrańskiego statku w układzie. To było mądre posunięcie, ponieważ maleńki oddział wysłany przez Aldebarana został już wcześniej rozbity w bitwie i jego możliwości zredukowane zostały jedynie do skrytych rajdów. Ale statek Vixenitów nie poleciał też na Aldebarana. Nie, on przyleciał prosto tutaj i pilot spodziewał się osobistej audiencji u cesarza.

— I nie za bardzo rozumiem czemu — wszedł admirałowi w słowo Flandry. — Jego Cesarska Mość jest za bardzo zajęty ogrodnictwem, aby marnować czas na zwykłego człowieka reprezentującego zwykłą planetę.

— Ogrodnictwem? — zamrugał oczyma Fenross.

— Mówiono mi, że Jego Cesarska Mość hoduje piękne bratki — mruknął Flandry.

Fenross przełknął ślinę i oznajmił z wielkim pośpiechem:

— No cóż, to nieprawda, oczywiście, że nie. To znaczy, sam przesłuchałem pilota i przeczytałem przywieziony przez niego raport. Niezbyt wiele informacji, choć przydatne. Jednakże, choć Walton ma paru uchodźców z Vixen jako przewodników i doradców, nasz pilot jako jedyny widział z bliska, na powierzchni, jak kosmici okopują się i wymieniają ogień z ludźmi; przeżył kilka dni okupacji, zanim uciekł. Kopię raportu można przesłać Waltonowi. A ta wiedza z pierwszej ręki o zachowaniu wroga, wprowadzonych przez niego regulacjach, wszystkich tych drobnych, nieprzewidywalnych szczegółach… również może być bardzo istotna.

— Tak — stwierdził Flandry. — Dla kogoś, kto przemyci szpiega z powrotem na powierzchnię Vixen. Mianowicie dla mnie.

Fenross pozwolił sobie na przesadnie zarysowany uśmieszek.

— Właśnie to miałem na myśli.

Flandry skinął głową, zupełnie niezaskoczony. Fenross nigdy nie odpuści, próbując go zabić. Chociaż, tak prawdę mówiąc, Dominic Flandry bez wątpienia miał większe szanse na wykonanie takiego samobójczego zadania i powrót w jednym kawałku, niż ktokolwiek inny.

Zauważył na marginesie:

— Decyzja o skierowaniu się prosto na Sol wcale nie była taka nielogiczna. Gdyby pilot poleciał na Aldebarana, Aldebaran wysłałby do nas kuriera, który zameldowałby o sprawie i poprosił o rozkazy. Trasa okrężna. A w ten sposób otrzymaliśmy wiadomości kilka dni wcześniej. Nie, ten Vixenita ma głowę na karku.

— Ta Vixenitka — poprawił go Fenross.

— Hę? — Flandry usiadł prosto.

— Ona wyjaśni panu wszystkie szczegóły — powiedział Fenross. — Zorganizuję dla pana otwarte zamówienie: proszę podać, jakiego sprzętu będzie pan potrzebować. Ale jeśli pan przeżyje, proszę pamiętać, że będę sobie życzył, aby każdy milion został rozliczony. A teraz proszę już iść i czymś się zająć! Mam robotę do wykonania.

VII

H*ooligan* zniknął z terrańskiego nieba, przez pewien czas poruszał się na napędzie głównym, z przyspieszeniem z trudem kompensowanym przez wewnętrzne pole graw, a po osiągnięciu bezpiecznej odległości od Sol, przeszedł na napęd nadświetlny. Na krótko ekrany statku oszalały wskutek efektu Dopplera i przesunięć przestrzennych. Potem ich obwody dostosowały się do tempa, w jakim statek pulsował, wchodząc i wychodząc z normalnych poziomów energii czasoprzestrzennej; skompensowały optykę pseudoprędkości i Flandry znów spoglądał na zimną, usianą gwiazdami noc kosmosu, tak jakby pozostawały one w spoczynku.

Zostawił Chivesa w wieżyczce, aby dokonał ostatecznych korekt kursu i zszedł do salonu.

— Wszystko załatwione — uśmiechnął się. — Przewidywany czas podróży na Vixen, to trzynaście standardowych dni.

— Co? — Dziewczyna, Catherine Kittredge, na wpół poderwała się z luksusowo wyściełanej ławki. — W tamtą stronę zajęło mi to miesiąc, a miałam do dyspozycji najszybszy statek na naszej planecie.

— Przy swoim statku trochę pomajstrowałem — wyjaśnił Flandry, — a raczej znalazłem najlepszych ekspertów, którzy się tym zajęli. — Usiadł obok niej, krzyżując długie nogi i opierając łokieć na mahoniowym stole, który w połowie otaczało siedzenie. — Daj mi tylko śrubokręt, a sprawię, że każda broń palna w kosmosie usiądzie i przemówi. Lecz napędy kosmiczne mają anatomię, którą mógłbym określić jedynie jako kapryśną.

Próbował ją trochę uspokoić. Biedne dziecko, widziała jak jej rodzinna planeta została zaatakowana, mimo że znajdowała się o połowę bliżej niż imperialne marchie, które miały prowadzić wszystkie wojny; widziała przyjaciół i krewnych zabitych w bitwie z nieludzkimi niewiadomymi istotami i słyszała stukot buciorów okupującego ich wroga na niegdyś tak znajomych ulicach; uciekła na Terrę jak dziecko do matki, a została chłodno przesłuchana w jakimś biurze i natychmiast zapakowana z powrotem na statek kosmiczny, w towarzystwie jednego ogoniastego obcego i jednego przystojnego nieznajomego. Zapewne jakiś urzędas powiedział jej, że jest dzielną dziewczyną, a teraz jej obowiązkiem jest powrót w roli szpiega i najprawdopodobniej śmierć. Tymczasem zaś, w parkach Terry rododendrony rozkwitały niczym zimne ognie, a roześmiani młodzieńcy z terrańskiej arystokracji przelatywali obok nich w drodze do jakiegoś nowo otwartego domu uciech.

Nic dziwnego, że Catherine Kittredge miała szeroko otwarte oczy, oszołomione ze zdumienia.

Flandry uznał, że były one jej największym atutem: duże, rozstawione daleko od siebie, złociście orzechowe pod długimi rzęsami i gęstymi ciemnymi brwiami. Jej włosy też pewnie byłyby ładne, tworząc wspaniałą blond fryzurę, gdyby nie obcięła ich tuż poniżej uszu. Poza tym nie było specjalnie na co patrzeć - szeroka, lekko piegowata twarz, o zadartym nosie, obfite usta i niezły podbródek. O ile można było to stwierdzić przez bezkształtny szary kombinezon, była średniego wzrostu i krępej budowy. Mówiła w anglicu z miękkim regionalnym akcentem, który brzmiał dobrze w jej niskim głosie; lecz wszystkie manieryzmy jej zachowania były straszliwie prowincjonalne, przestarzałe o pięćdziesiąt lat. Flandry zastanawiał się nieco rozpaczliwie, o czym mogliby porozmawiać.

No cóż, było wystarczająco dużo spraw biznesowych. Przełączył przyciski na autoobsługę.

— Czego się pani napije? — spytał. — Na pokładzie mamy wszystko, co mieści się w granicach rozsądku i parę rzeczy, które się w granicach rozsądku nie mieszczą.

Zarumieniła się.

— Niczego, dziękuję — wymamrotała.

— Zupełnie niczego? Niech pani da spokój. Daiquiri? Wino? Piwo? Maślanka, na litość boską?

— Hm? — Uniosła na chwilę głowę. Odkrył, że na Vixen nie ma przemysłu mleczarskiego, bydło nie było w stanie tam przetrwać i wybrał dla niej lody. Sam wypił dużą szklaneczkę ginu z tonikiem. Będzie potrzebował alkoholu - dwa tygodnie w kosmosie, sam na sam z Małą Sierotką!

Była na tyle zadowolona z odkrycia lodów, że nieco się odprężyła. Flandry zaproponował jej papierosa, lecz odmówiła i zapalił sam.

— Będzie pani miała mnóstwo czasu, aby poinformować mnie o wszystkim po drodze — powiedział, — proszę więc nie czuć się zobowiązana do odpowiedzi na pytania teraz, jeśli będzie to panią stresować.

Catherine Kittredge popatrzyła poza niego, na ekran widokowy i na mroźną przestrzeń Andromedy. Jej usta drgnęły lekko w dół, bardzo lekko. Lecz odpowiedziała ze spokojem, który mu się spodobał:

— Dlaczego by nie? Nie przeszkadza mi to bardziej niż siedzenie i rozmyślanie.

— Dobra z pani dziewczynka. Proszę mi powiedzieć, jak to się stało, że przywiozła pani tę wiadomość?

— Mój brat był naszym oficjalnym kurierem. Wie pan, jak to jest na planetach takich jak nasza, gdzie nie ma dużej liczby ludzi i pieniędzy: ten, kto ma najlepszy statek kosmiczny, dostaje dotację i przewozi przesyłki specjalne. Pomagałam mu. Lataliśmy całymi dniami i... Nie — przerwała. Zacisnęła pięści. — Nie będę płakać. Obcy wymusili zgodę na lądowanie. Hank wyruszył z naszymi siłami. Nie wrócił. Siedem dni po kapitulacji, kiedy sytuacja zaczęła się nieco uspokajać, dostałam wiadomość, że zginął w akcji. Kilku z nas zdecydowało, że lepiej będzie przekazać Imperium wszystkie informacje, jakie jesteśmy w stanie dostarczyć. Ponieważ najlepiej znałam statek Hanka, kazali lecieć mnie.

— Rozumiem. — Flandry postanowił zachowywać się tak sucho, jak to tylko możliwe, dla jej dobra. — Oczywiście mam kopię raportu, który sporządzili pani rodacy, ale pani miała całą drogę na Sol, aby go dokładnie przestudiować, więc musi pani wiedzieć o nim więcej niż ktokolwiek inny poza Vixen. Rozumiem, że niektórzy z najeźdźców znali anglic i chociaż od czasu do czasu rozmawiali między sobą na większe odległości. Jak nazywali siebie samych?

— A czy to ma jakieś znaczenie? — spytała apatycznie.

— Na obecnym etapie sprawy nie ma to najmniejszego znaczenia, tyle że określenie „Planeta X" jest takim utartym frazesem.

Uśmiechnęła się leciuteńko.

— Nazwali siebie Ardazirho, a my uznaliśmy, że „ho" to końcówka związana z nazwą społeczności. Przyjęliśmy więc, że ich planeta nazywa się Ardazir. Choć nie jestem w stanie wymówić tego nawet w przybliżeniu poprawnie.

Flandry wyjął stereozdjęcie z kieszeni swej opalizującej koszuli. Zostało zrobione z ukrycia, podczas bitwy na powierzchni. Na tle obróconych w ruinę ludzkich domów przykucnął pojedynczy żołnierz wroga. Wojownik? Akolita? Jednostka? Przynajmniej można było powiedzieć, że uzbrojony i zabójca ludzi.

Wyrobione z góry stereotypy zawsze były zawadą. Pierwszym zaskakującym skojarzeniem Flandry'ego, był wilk. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że Ardazirho nie pochodzili od wilków, w ogóle nawet nie wyglądali jakoś specjalnie po wilczemu. Jednakże wrażenie pozostawało. Nie zdziwił się, gdy Catherine Kittredge powiedziała, że obcy ruszali do walki z głośnym wyciem.

Opisywano ich jako dwunożne istoty wielkości człowieka, ale poruszające się na palcach, co nadawało ich stopom wygląd niemal psich łap. Chodzili jednak na tylnych nogach. Ręce i dłonie były bardzo humanoidalne, z wyjątkiem faktu, że kciuki położone były po przeciwnej stronie dłoni niż u ludzi. Głowa, arogancko wsparta na potężnej szyi, była długa i wąska jak u inteligentnego zwierzęcia, miała niskie czoło, a większość przestrzeni mózgowej umieszczona była za spiczastymi uszami. Z twarzy wystawał zakończony czarnym nosem pysk, nie tak ostry jak u wilka, a jednak w jakiś sposób podobny do wilczej paszczy. Wargi ściągnięte były w groźnym grymasie, ukazującym tępo zakończone kły, co sugerowało, że jakiś ich mięsożerny przodek stał się wszystkożercą. Oczy były owalne, osadzone blisko siebie i szare jak mokry śnieg. Całe ciało pokrywało krótkie, gęste futro, przechodzące na gardle w krezę; było ono rdzawoczerwone.

— Czy to mundur? — spytał Flandry.

Dziewczyna nachyliła się, by lepiej widzieć. Przedstawiony na zdjęciu Ardazirho nosił coś w rodzaju kiltu, w szachownicę kwadratów o różnych barwach. Flandry skrzywił się na widok niektórych kombinacji: róż obok szkarłatu, rażący karmazyn pomiędzy dwiema delikatnymi żółciami.

— Zaiste barbarzyńcy — mruknął. — Mam nadzieję, że Chives wytrzyma ten szok.

Poza tym istota ubrana była w buty z elastycznej skóry i uprząż, z której zwisały różne sakiewki i wyposażenie. Była uzbrojona w coś, co najwyraźniej było karabinem magnetronowym, a za pasem miała nóż, o złowrogim wyglądzie.

— Nie jestem pewna — odparła dziewczyna. — Albo w ogóle nie używają mundurów, albo jest ich tak duża różnorodność, że nie jesteśmy w stanie tego rozgryźć. Niektórzy mogą być ubrani mniej więcej tak jak ten, inni w coś w rodzaju tuniki i burnusu, jeszcze inni w napierśniki i fantazyjne hełmy z pióropuszami.

— Oni — rzucił Flandry. — A więc wszyscy są mężczyznami?

— Tak, panie kapitanie, na to wygląda. Walka na ziemi trwała wystarczająco długo, by nasi biolodzy zdołali przeprowadzić sekcje i przebadać kilku zabitych. Według raportu oni są ssakami łożyskowymi. Jasne jest, że pochodzą z mniej lub bardziej podobnej do Ziemi planety, prawdopodobnie o nieco silniejszej grawitacji. Struktura oczu sugeruje, że ich słońce jest jasne, typu A5 lub zbliżonego. Oznacza to, że powinni czuć się jak w domu na naszych pustkowiach. — Catherine Kittredge wzruszyła smutno ramionami. — Pewnie dlatego wybrali właśnie nas.

— Mogli prowadzić podboje już od jakiegoś czasu — zauważył Flandry. — Gorąca gwiazda, taka jak A5, nie jest zbytnio przydatna dla ludzi; a jak sobie wyobrażam, typ F, taki jak wasz, jest o tyle chłodniejszy, że jeszcze mogłoby im na nim zależeć. Możliwe, że zbudowali sobie jakieś niewielkie królestwo, składające się z wielu słońc typu B, A i F w waszym kwadrancie, dla którego nie mamy nawet kompletnych map astronomicznych, nie mówiąc już o tym, że nie prowadziliśmy w nim zbyt wielu badań... Hm. Nie mieliście okazji przesłuchania żadnych żywych więźniów?

— Mieliśmy. Nie na wiele się to zdało. Podczas walki jeden z naszych regimentów okrążył ich jednostkę i obezwładnił ją wiązkami ogłuszającymi. Kiedy dwóch z nich obudziło się i zobaczyło, że zostali schwytani, umarli.

— Byli uwarunkowani — przytaknął Flandry. Proszę mówić dalej.

— Reszta nie mówiła w anglicu, z wyjątkiem jednego, który trochę się go nauczył. Przesłuchiwali go. — Dziewczyna skrzywiła się. — Nie sądzę, aby było to miłe. Raport mówi, że pod koniec jego serce zatrzymywało się, a oni je ożywiali, ale w końcu umarł na dobre… W każdym razie wydaje się, że mówił prawdę. I nie wiedział, gdzie jest ich macierzysta gwiazda. Potrafił zrozumieć nasz układ współrzędnych i przetłumaczyć go na ten używany przez nich. Ale był on arbitralnie wyzerowany na S Doradusa, a on nie miał pojęcia o współrzędnych Ardazira.

— Czyszczenie pamięci — Flandry rzucił ponure spojrzenie. — Prawdopodobnie urządzono je wszystkim szeregowym. Oficerowie, którzy muszą zachować w głowie pełne informacje, są uwarunkowywani aby umrzeć w chwili schwytania. Cóż za wesołego muszą mieć monarchę. — Podkręcił wąsa nerwowymi palcami. — To sugeruje, że ich dom rodzinny jest podatny na ataki. Może powinniśmy skoncentrować się na odkryciu, miejsca w którym się on znajduje.

Dziewczyna spuściła oczy. Straciła trochę koloru z twarzy.

— Myśli pan, że zdołamy, wasza wielmożność? — wyszeptała. — A może my też zginiemy?

— Nawet jeśli misja wiąże się z jakimiś nielegalnymi lub niemoralnymi procedurami, nie powinienem mieć z tym problemu. — Flandry uśmiechnął się do niej. — Ty możesz wykonać każdą honorową pracę, jaka będzie konieczna. Mówiąc między nami, niech Bóg ma w opiece Ardazira. Nawiasem mówiąc, ja nie posiadam żadnego tytułu.

— Ale mówili do pana sir Dominic.

— Rycerstwo, to nie patent szlachecki. Obawiam się, że moje związki ze szlachectwem są odrobinę paskudne. Pewnego dnia mój ojciec zawędrował do jednego paskudnego baru i… — Flandry ciągnął dalej, omijając ryzykowne tematy, aż usłyszał jej śmiech. Wtedy odwzajemnił śmiech i powiedział: — Dobra z ciebie dziewczyna! Jak na ciebie mówią w domu? Założę się, że Kit. Dobrze, wyruszamy więc na wojnę, ty jako Kit, a ja jako reszta kramu[1]. A teraz zawołajmy na Chivesa, żeby podał nam kawior i sery. Potem zaprowadzę cię do twojej kajuty. — Twarz dziewczyny pokryła się rumieńcem, a on szybko dodał: — Drzwi do niej zamykają się od wewnątrz.

— Dziękuję — powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszał. Długie rzęsy zatrzepotały na jej policzkach. — Kiedy kazano mi lecieć… z tobą - to znaczy, nie wiedziałam…

— Moja droga — odparł Flandry, – powinnaś wiedzieć, że mam dostatecznie dużo doświadczenia, aby rozpoznać pod tym kombinezonem, wśród innych bardziej atrakcyjnych krągłości, pistolet igłowy.

---

[1] Nieprzetłumaczalna gra słów, łącząca przezwisko bohaterki z angielskim zwrotem „kit and caboodle”, co można przetłumaczyć jako „cały ten kram” (przyp. tłum.).

VIII

Długie loty w przestrzeni kosmicznej zawsze miały w sobie coś nierealnego. W ich trakcie, przez pewien czas, człowiek był we wszechświecie sam. Żadne fale radiowe nie mogły wyprzedzić statku kosmicznego i zostać przez niego odebrane, nawet jeśli niewyobrażalna odległość nie zatopiłaby ich w ciszy kosmosu. Nie istniał żaden inny sygnał, z wyjątkiem innego pojazdu kosmicznego, a jak miałby on odnaleźć poszukiwany statek, jeśli jakimś niewyobrażalnie małym przypadkiem nie wykryłby jego słabych impulsów napędowych? Cała flota mogła przebyć wiele parseków, zanim jakakolwiek baza marynarki wojennej wykryłaby jej ślad przy pomocy przyrządów; zaś pojedynczy statek może dotrzeć na krańce stworzenia i nigdy nie zostać zauważony. Nie było tu niczego do oglądania, żadnych pejzaży, żadnych zjawisk pogodowych, po prostu ogromna, niekończąca się parada zmieniających się konstelacji, od czasu do czasu zimny blask jakiejś mgławicy między migającymi słońcami, zsiadłe srebro Drogi Mlecznej i zakrzepłe gwiazdy w pobliżu Strzelca. A jednak, w swojej skorupie człowiek miał ciepło, sucho, oddychał ożywczym powietrzem z recyklingu; na luksusowym statku, takim jak *Hooligan*, można było słuchać nagrań lysarcjańskich dzwonów, popijać namoriańską maoth i smakować terrańskie winogrona.

Flandry pracował nad sobą jeszcze mniej miłosiernie niż nad Chivesem i Kit. To była ciężka, żmudna harówka, która musiała jednak spoczywać u podstaw wszystkich ich nadziei: studia, próby, analizy danych, planowanie, odrzucanie planów i ponowne planowanie, aż mózg nie był w stanie zrobić już niczego więcej, a wszystkie myśli stawały w miejscu. Wtedy absolutną koniecznością stawała się rekreacja - a oni byli dwojgiem podróżujących wśród gwiazd ludzi, z jednym bardzo dyskretnym sługą.

Flandry odkrył, że Kit potrafi dać mu popalić, gdy grali w piłkę ręczną w ładowni. A jej uparta strategia w szachach w większości wypadków pokonywała jego zuchwałą taktykę. Kiedy zapominała o swojej planecie, tryskała humorem. Flandry długo nie mógł zapomnieć jej przepysznej miniatury charakterystyki wiceadmirała Fenrossa: „Umysł jak pułapka na myszy, tylko powinien pamiętać, żeby niektóre z tych biednych małych myszek z niej wypuścić”. Potrafiła grać na lorr, jej palce tańczyły po dwunastu podstawowych strunach, muśnięciem wydobywając pełny rezonans tych podrzędnych; wydawało się, że zna wszystkie ballady z dawnych odważnych czasów, kiedy ludzie po raz pierwszy wyrąbywali sobie dom w dziczy Vixen; dobrze ich się słuchało.

Flandry powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że jej uroda jest wręcz przeciwieństwem nieciekawego wyglądu. Po prostu nie miała tego

monotonnie wyrzeźbionego arystokratycznego wyglądu wysoko urodzonych dam z Terry. Jej na wpół chłopięca twarz, należała wyłącznie do niej, ciało było pełne i gibkie w miejscach, gdzie się to liczyło. Zaklął ponuro pod nosem i zabrał się do bardziej rygorystycznego programu ćwiczeń gimnastycznych.

Powoli gwiazdy utworzyły nowe wzory. Nadeszła chwila, gdy Aldebaran zmienił się w czerwony płomień, najjaśniejszy obiekt na całym niebie. A potem ostrym, błękitnym blaskiem zalśnił punkcik słońca Vixen, gwiazda o nazwie Cerulia. Flandry odwrócił się od ekranu i oznajmił spokojnie:

— Jeszcze dwa dni. Myślę, że dziś wieczorem zjemy kolację kapitańską.

— Bardzo dobrze, proszę pana — odparł Chives. — Wziąłem sobie za punkt honoru, przewiezienie żywego homara z Maine. I ufam, że Liebfraumilch '51 będzie zadowalający?

— To zaleta posiadania Shalmuanina za ordynansa — zauważył Flandry, kierując swe słowa do Kit. — Ich rasa ma bardziej wrażliwe podniebienia niż nasza. Nie mogą mylić się co do roczników.

Uśmiechnęła się, lecz w jej oczach widać było zmartwienie.

Flandry udał się do swojej kajuty aby się wykłócać. Chciał założyć brzoskwiniową tunikę do białych spodni; Chives upierał się, że ciemnoniebieska ze złotą szarfą będzie bardziej odpowiednia. Chives oczywiście wygrał. Flandry wszedł do salonu, który był już przygotowany do uczty, i nalał sobie aperitif. Z rekordera sączyła się muzyka, nic wielkiego, lecz przyjemna dla ucha.

Za nim rozległ się odgłos lekkich kroków. Odwrócił się i prawie upuścił kieliszek. Kit weszła w kruczoczarnej, wieczorowej sukni; wokół jej talii migotał pojedynczy welon w kolorze ognia. Filigranowa tiara wieńczyła lśniące włosy dziewczyny, a bransoleta ze staromarsjańskiego srebra wiła się masywnym wzorem na jej nadgarstku.

— Na wielkie skaczące elektrony — sapnął Flandry. — Nie rób więcej takich rzeczy bez ostrzeżenia! Skąd wzięłaś pędzelek, żeby nałożyć na siebie taką warstwę czaru?

Kit zachichotała i zakręciła się w piruecie.

— Chives — wyjaśniła. — A któżby inny? On jest kochany. Przywiózł ze sobą biżuterię i przez całą podróż w wolnych chwilach szył suknię.

Flandry pokręcił głową i cmoknął językiem.

— Gdyby Chives zgodził się na uwolnienie, mógłby rozkręcić interes, wyposażając kobiety-szpiegów, by uwodziły biednych oficerów, takich jak ja. W ciągu dziesięciu lat stałby się właścicielem całej galaktyki.

Kit zarumieniła się i pośpiesznie powiedziała:

— Czy to on również wybrał taśmę? Zawsze uwielbiałam koncert skrzypcowy Mendelssohna.

— Och, czy to właśnie to? Niezła muzyka na sentymentalne spotkania. Moja działka to raczej zalecanie drinków. Przepisuję jeden przed kolacją: złoty Ansan. Zasadniczo jest to lekki, wytrawny wermut, ale choć raz nieterrańska gleba poprawiła smak terrańskiej rośliny.

Zawahała się.

— Ja nie… ja nigdy…

— No cóż, najwyższy czas by zacząć.

Nie spojrzał na ekran, na którym Cerulia lśniła jasno jak błyszcząca stal, lecz oboje wiedzieli, że być może nie zostało im zbyt wiele godzin na delektowanie się życiem. Wzięła kieliszek, upiła łyk i westchnęła.

— Dziękuję ci, Dominicu. Tak wiele mnie ominęło.

Usiedli na swoich miejscach.

— Będziemy musieli to nadrobić po zakończeniu tej sprawy — odparł Flandry. Przez jego myśli przelała się fala mroku, na tyle długa, że dodał: — Podejrzewam jednak, że w ogólnym rozrachunku poradziłaś sobie w życiu znacznie lepiej niż ja.

— Co masz na myśli? — W jej oczach, nad kieliszkiem, odbiła się barwa wina i zrobiły się niemal złote.

— Och… Trudno to wyjaśnić. — Usta wykrzywiły mu się żałośnie. — Nie mam żadnych romantycznych złudzeń co do pogranicza. Zbyt wiele go już widziałem. Osobiście, wolałbym raczej wylegiwać się w łóżku, popijając poranną czekoladę, niż ruszać przed świtem na pola, aby uprawiać zielsko, rąbać pniaki czy też zajmować się innymi ponurymi ciężkimi pracami, do których zmuszeni są pionierzy. A jednak, nie mam również złudzeń co do swojej własnej klasy ani mojego sposobu życia. Wy, ludzie z pogranicza, jesteście zdrowi. Przetrwacie - a przynajmniej większość z was - jeszcze długo po tym, jak Imperium stanie się już tylko legendą. Zazdroszczę wam tego.

Urwał.

— Wybacz mi. Obawiam się, że zgorzknienie ducha jest w mojej pracy chorobą zawodową.

— Co do której wciąż nie jestem pewna, na czym ona… Och, mój Boże. — Kit zachichotała. — Czy alkohol działa tak szybko? Ale tak naprawdę, Dominicu, chciałabym, żebyś opowiedział mi trochę o swojej pracy. Powiedziałeś tylko, że pracujesz w Wywiadzie Marynarki Wojennej. Chciałbym wiedzieć, czym się zajmujesz.

— Dlaczego? — spytał.

Zarumieniła się i wyrzuciła z siebie:

— Żeby cię lepiej poznać.

Flandry dostrzegł jej zmieszanie i pośpieszył z pomocą, aby ukryć je przed nimi obojgiem:

— Nie ma zbyt wiele do opowiadania. Jestem agentem polowym, co oznacza, że wychodzę na zewnątrz i zaglądam przez okna, zamiast siedzieć w biurze i czytać raporty innych takich podglądaczy. Ze względu na to, że mój bezpośredni przełożony mnie nie lubi, większość czasu spędzam z dala od Terry, mając dużą swobodę i coś w rodzaju wolnej ręki. Stary dobry Fenross. Gdyby kiedykolwiek zastąpił go jakiś łaskawy facet, w ojcowskim typie, który sprawiedliwie by traktował wszystkich swoich podwładnych, uschnąłbym i rozpuknął się.

— Myślę, że to oburzające. — W jej głosie pojawił się gniew.

— Co? Dyskryminacja? Ależ moja droga, czymże generalnie jest cywilizacja, jeśli nie rozbudowaną konstrukcją specjalnych przywilejów? Nauczyłam się poruszać wśród nich we właściwy sposób. Niech mnie żaby

dopadną, chyba nie myślisz, że chciałbym mieć bezpieczną pracę za biurkiem, z gwarantowaną emeryturą?

— Lecz mimo to, Dominicu - człowiek taki jak ty, ryzykujący raz za razem życiem, jesteś wysyłany niemal sam przeciwko całemu Ardazirowi… bo ktoś cię nie lubi! — Jej twarz wciąż płonęła, a w orzechowych oczach pojawił się błysk łez.

— Trudno sobie wyobrazić, jak to jest możliwe — odparł Flandry z wyrachowanym zadowoleniem na twarzy. Dodał lekko i niemal automatycznie: — Pomimo wszystko pomyśl jednak, jaki skandaliczny przywilej stanowi twoje osobiste dziedzictwo, tyle piękna, uroku i inteligencji w jednej drobnej kobiecie.

Zamilkła, lecz lekko zadrżała. Konwulsyjnym gestem odstawiła szklankę.

„Spokojnie, stary" — pomyślał Flandry. Obudziła się w nim niezbyt przyjemna czujność. — „Emocjonalne sceny to ostatnia rzecz, której tu potrzebujemy."

— Co prowadzi nas do ogólnego tematu, twojej osoby — powiedział swoim najbardziej konwersacyjnym tonem. — Kwestia warta omówienia przy chińskiej zupie, którą przyniesie Chives… albo przy jakimkolwiek innym daniu. Pomyślmy, byłaś asystentką inżyniera meteorologa, prawda? Brzmi jak fajna rzecz, w najbardziej poważnym sensie. — I może okazać się przydatne, dodała ta część jego, która nigdy nie brała urlopu.

Przytaknęła, tak samo jak on pragnąc uciec od rafy, którą właśnie ominęli. Zjedli więc przyjemny posiłek i rozmawiali o wielu rzeczach. Flandry potwierdził swoje wrażenie, że Kit nie była niewyszukaną wieśniaczką. Nie znała co prawda najnowszych smakowitych ploteczek o wiecie-przecież-kim i tym aktorze. Ale potrafiła mierzyć warunki pogodowe w różnych porach roku na swojej dziwnej, gwałtownej planecie; potrafiła złożyć maszynę tak, że ludzie mogli powierzyć jej swoje życie; polowała i uprawiała różne sporty, widziała narodziny i śmierć; intrygi jej małego miasteczka były równie subtelne, jak te wokół cesarskiego tronu. Poza tym miała w sobie pewną niewinność charakterystyczną dla większości ludzi z pogranicza - czy też nazwijmy to optymizmem, honorem lub odwagą - w każdym razie nie zaczęła jeszcze rozpaczać nad rasą ludzką.

A ponieważ znalazł się w dobrym towarzystwie i to była specjalna okazja, dbał o to by oba kielichy były pełne. Po pewnym czasie stracił już rachubę, ile razy dolewał.

Kiedy Chives posprzątał ze stołu i postawił na nim kawę oraz likier, Kit z niecierpliwością sięgnęła po filiżankę.

— Potrzebuję tego — stwierdziła niezbyt wyraźnie. — Obawiam się, że za dużo wypiłam.

— Taki był generalny zamysł — zauważył Flandry. Wziął od Chivesa cygaro. Shalmuanin wyszedł bezszelestnie. Flandry spojrzał na stół. Kit siedziała obrócona plecami do szerokiego ekranu, tak że gwiazdy sprawiały wrażenie zebranych wokół jej tiary klejnotów.

— Nie wierzę w to — powiedziała po chwili.

— Pewnie masz rację — odparł Flandry. — W co nie wierzysz?

— W to, co mówiłeś… o tym, że Imperium jest skazane na zagładę.

— Lepiej jest w to nie wierzyć — stwierdził łagodnie.

— Nie z powodu Terry — powiedziała. Nachyliła się do przodu. Światło padało miękko na jej nagie, młode ramiona. — To, co tam widziałam, było mocnym ciosem. Ale Dominicu, tak długo jak Imperium będzie miało ludzi podobnych do ciebie, będziemy walczyć z całym wszechświatem i zwyciężymy.

— Dzięki — rzucił pośpiesznie Flandry.

— Nie. — Jej oczy były odrobinę zamglone, lecz popatrzyła w jego oczy. Uśmiechnęła się, bardziej z czułością niż rozbawieniem. — Tym razem nie wykręcisz się żartem, Dominicu. Za dużo dałeś mi do wypicia i mówię poważnie. Planeta, która będzie miała ciebie po swojej stronie, ma jeszcze naprawdę sporo nadziei.

Flandry pociągnął łyczek likieru. Nagle alkohol dotknął jego mózgu swoim bladym ogniem i pomyślał: „Dlaczego nie być z nią szczerym? Ona to zniesie. Może nawet na to zasługuje."

— Nie, Kit — oznajmił. — Znam swoją klasę od podszewki, bo to moja klasa i prawdopodobnie nie wybrałbym żadnej innej, nawet gdyby jakimś cudem było to możliwe. Ale jesteśmy puści w środku i zepsuci, a śmierć naznaczyła nas już jako swoich. W ostatecznym rozrachunku, bez względu na to, jak to ukrywamy, bez względu na to, jak uciążliwe i niebezpieczne, a nawet wzniosłe są nasze rozrywki, jedynym powodem dla którego potrafimy żyć, jest dobra zabawa. I obawiam się, że nie jest to powód wystarczający.

— Ależ jest! — zawołała.

— Myślisz tak — mówił dalej — ponieważ masz szczęście, że należysz do społeczeństwa, które wciąż jeszcze ma ważne zadania do dokończenia. Lecz my, arystokraci z Terry, cieszymy się życiem, zamiast cieszyć się tym, co robimy… i to jest kosmiczna różnica.

— Miarą naszego potępienia jest to, że każdy z nas, obdarzony jakąkolwiek dozą inteligencji - a jest sporo takich - każdy widzi nadchodzącą Długą Noc. Staliśmy się zbyt mądrzy; studiowaliśmy odrobinę psychodynamiki, a może tylko po prostu czytaliśmy dużo o historii, i widzimy że Imperium Manuela nie było żadnym wspaniałym odrodzeniem. Było to babie lato cywilizacji terrańskiej. (Choć przypuszczam, że nigdy nie widziałaś babiego lata. Szkoda: żadna inna planeta nie ma niczego piękniejszego i bardziej pełnego odwiecznej magii). Teraz nawet ten krótki okres minął. Jesień jest już mocno zawansowana; noce są zimne, liście opadły, a ostatnie uciekające ptaki krzyczą na niebie, które utraciło wszystkie barwy. A jednak my, którzy widzimy nadchodzącą zimę, widzimy również, że nie nadejdzie ona jeszcze przed końcem naszego życia… więc odrobinę podrżymy, trochę poprzeklinamy i wracamy do zabawy z paroma jasnymi, martwymi liśćmi.

Przerwał. Wokół nich panowała cisza. A potem, z interkomu, ponownie rozbrzmiała muzyka, cichy utwór orkiestrowy, który przemówił do głębokich zakątków ich świadomości.

— Przepraszam — powiedział Flandry. — Naprawdę nie powinienem wylewać na ciebie tego mojego kwaśnego pesymizmu.

Tym razem w jej uśmiechu pojawił się cień żalu.

— I oczywiście okazanie swoich prawdziwych uczuć czy też próba ubrania ich w słowa, nie byłyby eleganckie.

— Touche! — Przekrzywił głowę. — Myślisz, że dałoby się do tego zatańczyć?

— Do tej muzyki? Raczej nie. Liebestod jest zazwyczaj tłem służącym do nieco innych celów. Zastanawiam się, czy Chives o tym wiedział.

— Hm? — Flandry spojrzał na dziewczynę z zaskoczeniem.

— Wcale mi to nie przeszkadza — szepnęła. — Chives jest kochany.

Nagle zrozumiał.

Lecz gwiazdy za jej plecami spoglądały zimnym spojrzeniem. Flandry pomyślał o działach i mrocznych fortecach, czekających na nich oboje. Pomyślał o rycerskim honorze, który nie pozwalał mu wykorzystać bezradności, jaką stanowi młodość - a potem, z odrobiną smutku, zdecydował, że to względy praktyczne były rzeczą, która tak naprawdę przechyliła dla niego szalę.

Podniósł cygaro do ust i powiedział cicho:

— Moja droga, lepiej wypij kawę, zanim wystygnie.

W ten sposób chwila bezpiecznie dobiegła końca. Wydawało mu się, że w pośpiesznym spojrzeniu Kit, dostrzegł rozczarowaną wdzięczność, ale nie był tego pewien. Odwróciła się, wpatrując się w gwiazdy tylko po to, by przez kilka następnych sekund uniknąć spoglądania na niego.

Westchnęła w stronę gwiazd. Siedziała przez całą minutę, patrząc na Cerulię. Potem spuściła wzrok na swoje ręce i powiedziała bezbarwnym tonem:

— Chyba masz rację co do Imperium. Ale w takim razie, co stanie się z Vixen?

— Wyzwolimy ją i wyciśniemy z Ardazira grube odszkodowanie — odparł Flandry, jakby nie było co do tego żadnych wątpliwości.

— A-cha. — Pokręciła głową. W jej głosie słychać było ton goryczy. — Nie, jeśli nie będzie to dogodne. Twoja Marynarka może zdecydować się na stoczenie na niej wojny. A wtedy wszystko na mojej planecie, moi rodacy, mała dziewczynka z sąsiedztwa i jej kotek, drzewa, kwiaty i ptaki, zmienią się w radioaktywny popiół unoszący się nad szarymi, martwymi wzgórzami. A może Imperium zdecyduje się pójść na kompromis i pozwoli Ardazirowi zatrzymać Vixen. Dlaczego by nie? Czymże dla Imperium jest jedna planeta? Wymiana może, jak sam powiedziałeś, kupić im pokój na okres całego ich życia. Kilka milionów ludzi to przecież nic, można ich spisać na straty. — Ponownie pokręciła oszołomiona głową. — Po co tam lecimy, ty i ja? Co mamy tam robić? Czegokolwiek byśmy nie zrobili, może to zostać obrócone w nicość jednym pociągnięciem pióra jakiegoś znudzonego biurokraty. Czyż nie?

— Tak — przyznał Flandry.

IX

Cerulia, która była gwiazdą ciągu głównego, nie potrzebowała znacznie większej masy niż Sol, by świecić mocniej od niego. Vixen, czwarta planeta, okrążała swoją gwiazdę w ciągu półtora roku standardowego, po takiej orbicie, że otrzymywała średnio mniej więcej tyle samo promieniowania, co Terra.

— Haczyk tkwi w tym słowie „średnio" — mruknął Flandry.

Unosili się w wieżyczce razem z Chivesem, trzymając ręce na panelu ze sterami, a ich ciała spoczywały nieważko w kokonie uprzęży pilotów. Ekrany na lewej burcie były przyciemnione, aby ostre, niebieskie słońce nie wypaliło im oczu. Z drugiej strony, na tle kosmicznej nocy, świeciły ostrym blaskiem zniekształcone konstelacje. Flandry dostrzegł planetę jowiszową, zwaną przez ludzi z Vixen Ogre: miała ona jasnożółty blask, a jej co większe księżyce widoczne były jak iskierki. Co myśleli o całej sytuacji koloniści Ymiryci?

— Ogre sama w sobie sprawia Vixen wystarczająco wiele problemów — narzekał Flandry. — Osadnicy na niej powinni się tym zadowolić i nie spiskować z Ardazirem. To jest, jeśli w ogóle to robią. — Zwrócił się do Chivesa. — Jak Kit znosi ten swobodny spadek?

— Z przykrością muszę stwierdzić, że panna Kittredge nie wyglądała zbyt dobrze, proszę pana — odparł Shalmuanin. — Ale mówiła, że wszystko w porządku.

Flandry cmoknął językiem. Odkąd pojawiła się kontrola grawitacji, cywile nie mieli zbyt wielu okazji do przebywania w stanie nieważkości; dlatego też Kit, chociaż była na niego dosyć wrażliwa, nie przeszła szkolenia, które by jej w tym pomogło. Cóż, byłaby w o wiele gorszej sytuacji, gdyby *Hooligana* trafił pocisk Ardazirho. Nikt jeszcze nie umarł z powodu mdłości w kosmosie: nie miał tego szczęścia!

Ardazir bez wątpienia utrzymywał ścisłą straż nad podbitą Vixen. Detektory Flandry'ego to potwierdzały. Przestrzeń wokół planety aż drżała od wibracji napędów podświetlnych patrolujących statków bojowych, a do tego musiała istnieć również sieć orbitalnych zrobotyzowanych monitorów. Standardowe podejście z pewnością zostałoby wykryte. Istniał jednak inny sposób na lądowanie, jeśli ktoś był wystarczająco dobrym pilotem i miał dostatecznie dużo szczęścia. Flandry zdecydował się zrobić to w ten sposób, zamiast kontaktować się z grupą zadaniową Waltona. Nie miałby tam zbyt wiele do roboty poza zameldowaniem się… a potem i tak musiałby udać się na Vixen, przy jeszcze większym prawdopodobieństwie wykrycia oraz zniszczenia.

Hooligan, z zimnymi silnikami, zanurkował z ogromną prędkością prosto do celu. Każdy automat z pewnością musiał zarejestrować go jako meteor żelazo-niklowy i zignorować. Jedynie obserwacja wzrokowa mogłaby zerwać z niego ten kamuflaż, a przestrzeń kosmiczna jest tak rozległa, że nawet przy najściślejszej blokadzie nie było szans, by podejść tak blisko do niespodziewającego się wroga. Ucieczka z powierzchni planety będzie znacznie trudniejszym zadaniem, lecz ta sztuczka była niezawodna. Dopóki nie wejdzie się w atmosferę!

Flandry obserwował jak Vixen rozrasta się na przednich ekranach. Po jednej stronie płonęła Cerulia, złowieszczo wielka. Północna część planety świeciła jak okruch żaru; teleskopy polaryzacyjne pokazywały nagie góry, kamieniste pustynie, rzeki szalejące wodą z roztopionych śniegów. Na południowej półkuli kontynenty wciąż były zielone i brązowe, a oceany głęboko niebieskie, jak wypolerowany kobalt. Lecz tę połowę świata spowijały chmury, burze maszerowały nad nią z rykiem przez setki kilometrów, błyskawice przecinały deszcz. Równik skryty był pod niemal stałym pasem chmur i wichur. Zorza północna jarzyła się zimnym płomieniem; biegun południowy, mniej jaskrawo świecący, wciąż jednak strzelał wielkimi ostrzami światła ku niebu. Pojedynczy mały księżyc, oddalony o 100 000 kilometrów od powierzchni planety, na tle tej iluminacji wyglądał blado i niepozornie.

Kiedy Flandry ponownie skupił swoją uwagę na statku, wydawał się on cichy jak grób. Powiedział, żeby wywołać jakiś dźwięk:

— I to uchodzi za planetę typu ziemskiego, nadającą się do zamieszkania przez ludzi. Jakichże agentów nieruchomości musieli mieć w pionierskich czasach!

— Rozumiem, proszę pana, że południowa część Cerulii IV przez większą część roku nie jest jakoś specjalnie niezdrowa — odparł Chives. — Północna część też dopiero teraz robi się zabójcza.

Flandry skinął głową. Vixen był kozłem ofiarnym okoliczności: ogromny Ogre miał dokładnie czterokrotnie dłuższy okres obiegu, a więc przez miliony lat rezonans zwielokrotnił perturbacje orbity Vixen i doprowadził jej mimośród prawie do jednej drugiej. Nachylenie osiowe planety wynosiło 24°, a lato na północnej części przypadało niemal na periastron. W ten sposób co osiemnaście miesięcy Cerulia przypiekała tę półkulę czterokrotnie większą dawką promieniowania, niż Terra otrzymywała od Sol. Ten odcinek orbity szybko się kończył, i większość roku Vixen spędzała w chłodniejszych regionach.

— Śmiem jednak twierdzić, że Ardazirho celowo zaplanowali swoją inwazję dokładnie na teraz — zauważył Flandry. — Jeśli pochodzą z gwiazdy typu A, pogoda na północy nie powinna być dla nich specjalnie uciążliwa.

Zgasił ostatniego papierosa. Planeta wypełniła cały ekran dziobowy. Zrobotyzowane mechanizmy mogły wiele zdziałać, lecz teraz konieczne było także pilotowanie ręką człowieka… albo zostanie po nich tylko smuga na niebie Vixen i krater wyrzuconej z niej skały.

Z pełną prędkością *Hooligan* przeszył cienkie górne warstwy atmosfery i w ciągu kilku sekund uderzył w stratosferę. Poczuli to jak walnięcie

pięścią olbrzyma. Uprząż Flandry'ego jęknęła, gdy jego ciałem rzuciło do przodu. Z zewnątrz nie docierały jeszcze żadne dźwięki, ale sam statek wrzasnął w metalicznym bólu. Ekrany zamieniły się w morze straszliwego ognia, a powietrze wokół nich rozgrzało się i zaczęło świecić.

Ręka Flandry'ego dygotała od ciężaru. Opuścił ją z hukiem na przełączniki napędu. Drobne ciało Chivesa przy takim przeciążeniu nie było w stanie się poruszyć, lecz zielony ogon śmignął od jednego z przycisków, do noniusza pozwalającego na dokładną regulację przepustnicy. Silniki ryczały, walcząc o redukcję prędkości. Statek rozpalił się do czerwoności; ale metal z którego go zbudowano był skrystalizowany, aby wytrzymywać gorąco większe niż w piecu hutniczym. Wokół statku i w jego wnętrzu narastał grzmot. Flandry poczuł, jak żebra wbijają mu się w płuca, gdy zmieniał się kierunek lotu. Na zewnątrz nadal widać było jedynie płomienie. Lecz jego zamglone oczy odczytywały wskazania przyrządów. Wiedział, że statek wyrównał lot, uderzył w gęstsze warstwy atmosfery, podskoczył jak odbity na wodzie kamień i teraz okrążał planetę w potwornych, wstrząsających skokach.

Przy pierwszym takim skoku, poświęcił chwilę czasu na ponowne włączenie wewnętrznych kompensatorów. Stała siła jednego gie otoczyła go jak błogosławieństwo. Wciągnął w obolałą klatkę piersiową nierówny oddech.

— Czy za to nam płacą? — wymamrotał.

Podczas gdy Chives przejął stery, a termostat doprowadził wieżę do temperatury w pobliżu znośnej wartości, Flandry odpiął pasy i zszedł na dół, do kabiny Kit. Wisiała nieruchomo w uprzęży, z jej zadartego nosa wypływała strużka krwi. Wstrzyknął jej stymulator. Oczy dziewczyny otworzyły się. Przez chwilę wyglądała tak młodo i bezradnie, że aż musiał odwrócić wzrok.

— Przepraszam, że w ten sposób przywróciłem cię do przytomności — powiedział. — To kiepska metoda. Ale teraz będziemy potrzebować przewodnika.

— Oczywiście.

Ruszyła przed nim do wieżyczki. Usiadł w fotelu, a ona nachyliła mu się przez ramię, marszcząc brwi i wpatrując się w ekrany. *Hooligan* wbił się w atmosferę schodząc stromo w dół. Ryk rozcinanego powietrza przetaczał się przez kadłub. Na nocnym horyzoncie wznosiły się jakieś postrzępione skałami góry.

— To jest Ridge — powiedziała Kit. — Kierujcie się tam, nad Przełęcz Moonstone. — Po drugiej stronie, w świetle gwiazd i resztek zorzy polarnej, lśniła rzekami ciemna dolina. — Tam jest Shaw i przecinająca go Kings Way. Wylądujcie gdziekolwiek w pobliżu. Jest mało prawdopodobne, by statek został wykryty.

Shaw wbrew swej nazwie[1] był dziewiczym lasem o powierzchni 40 000 kilometrów kwadratowych, porośniętym wysokimi drzewami. Flandry posadził statek tak delikatnie, że nie złamała się nawet jedna gałązka, wyłączył silniki i wygodnie się rozsiadł.

---

[1] Shaw po angielsku to niewielki lasek – zagajnik lub zarośla (przyp. tłum.)

— Jak dotąd — mocno odetchnął, — zrobiliśmy to, dzieciaki!

— Proszę pana — wtrącił Chives – czy mogę jeszcze raz pozwolić sobie na sugestię, że jeśli uważa pan, iż pan i młoda dama możecie wyruszyć sami, beze mnie, to potrzebuje pan chyba opieki psychiatry.

— A ja mogę jeszcze raz ci powiedzieć, gdzie możesz sobie wsadzić swoje sugestie — odpowiedział Flandry. — Nawet bez ciebie i tak będę miał dosyć problemów z udawaniem Vixenity. Zostań na łodzi i bądź gotów do walki. Albo, co bardziej prawdopodobne, do tego by wymknąć się stąd jak najszybciej.

Wstał.

— Lepiej ruszajmy już teraz, Kit — dodał. — Ten lek nie utrzyma cię na nogach przez wiele godzin.

Oboje mieli już na sobie miękkie, zielone kombinezony, które uszył Chives, na podstawie opisów zawodowych myśliwych, sporządzonych przez Kit. To wyjaśniałoby również małą krótkofalówkę, nóż i karabin Flandry'ego; jego akcent mógłby uchodzić za akcent człowieka niedawno przeniesionego tu z Avian Islands. To było dosyć słabe przebranie… ale Ardazirho nie przywiązywali wagi do drobnych szczegółów. Najważniejsze było skryte dotarcie do rodzinnego miasta Kit, Garth. Po zainstalowaniu się tam, Flandry będzie mógł ocenić sytuację i zacząć sprawiać kłopoty okupantom.

Chives załamał dłonie, lecz posłusznie pomógł swemu panu przejść przez śluzę. Był środek zimy, ale także periastron; tylko długie noce i częste deszcze wyróżniały tę porę roku na tej półkuli. Podłoże lasu pod stopami było grube i miękkie. Przez liście przebijało się słabiutkie światło, lecz tu i ówdzie na wysokich pniach błyszczały żółte, fosforyzujące grzyby, co wystarczyło, aby odrobinę widzieć. Powietrze było ciepłe, pełne dziwnych, zielonych zapachów. W ciemności rozlegały się ciche gwizdy, nawoływania, rechoty, tupoty, raz usłyszeli krzyk, który zmienił się w bulgotanie - odgłosy obcej dziczy.

Dojście do Kings Way zabrało im niemal dwie godziny. Flandry i Kit zagłębili się w rytmie marszu i niewiele mówili. Lecz kiedy w końcu wyszli na szeroką, oświetloną światłem gwiazd wstęgę drogi, jej dłoń wsunęła się w jego.

— Idziemy dalej na piechotę? — spytała.

— Nie, jeśli do Garth pozostało pięćdziesiąt kilometrów — stwierdził Flandry.

Usiadł na skraju drogi. Oparła się w zagłębieniu jego ramienia.

— Zimno ci? — spytał, czując jej dreszcz.

— To strach — przyznała.

Jego usta musnęły jej wargi. Odpowiedziała nieśmiało, niewprawnie. To było lepsze niż pusty podryw. Czy aby na pewno? Nigdy nie lubiłem przystawek zamiast uczciwego posiłku, pomyślał Flandry i przyciągnął ją do siebie.

Z daleka na drodze zaświeciły się światła. Rozległ się cichy warkot. Kit odsunęła się.

— Ratunek w ostatniej chwili — mruknął Flandry — ale ciągle się zastanawiam, którego z nas te słowa dotyczą.

Roześmiała się, cichym i drżącym śmiechem pod nieziemskimi konstelacjami.

Flandry wstał i wyciągnął rękę. Pojazd się zatrzymał: ciężarówka z doczepionymi dziesięcioma przyczepami. Kierowca wychylił się.

— Jedziecie do Garth? — zawołał.

— Zgadza się. Flandry pomógł Kit wejść do kabiny i wszedł za nią. Ciężarówka ruszyła ponownie, a jej przyczepy dudniły za nią na odległości 200 metrów.

— Jedziecie, żeby oddać broń, co? — zapytał kierowca. Był krzepkim mężczyzną o zgorzkniałej twarzy. Na jednym ramieniu nosił ślady niedawnej rany od blastera.

— Pewnie tak — odparła Kit. — Mój mąż i ja wędrowaliśmy po Ridge przez ostatnie trzy miesiące. Usłyszeliśmy o inwazji i zaczęliśmy wracać, lecz powstrzymywały nas powodzie – deszcze, no wiesz – i nasze radio też sprawiało pewne kłopoty. Więc nie jesteśmy pewni, co się stało.

— Całkiem sporo. — Kierowca splunął przez okno. Popatrzył na nich ostro. — Ale co, do cholery, ktoś miałby robić w górach o tej porze roku?

Kit zaczęła się jąkać. Flandry dokończył gładko za nią:

— Zachowaj to dla siebie, proszę, ale w tej chwili radkot stożkowaty wychodzi z harlu. To prawda, jest to niebezpieczne, ale wypełniliśmy sześć składów grumażem.

— Hm… uh… tak. Jasne. Cóż, kiedy dotrzecie do Garth, lepiej nie zanoś sam broni do siedziby wilków. Najprawdopodobniej najpierw cię zastrzelą, a dopiero później spytają o zamiary. Połóż to gdzieś, idź i zapytaj któregoś z nich, czy byłby tak miły, żeby przyjść i to od ciebie zabrać.

— Nie chciałbym pozbywać się tego karabinu — powiedział Flandry.

Kierowca wzruszył ramionami.

— No to zatrzymaj go, jeśli chcesz ryzykować. Ale nie gdzieś w pobliżu mnie. Walczyłem pod Burnt Hill i przez całą noc udawałem trupa, podczas gdy te wyjące diabły polowały na resztki naszego oddziału. Potem jakoś wróciłem do domu i mam dosyć. Mam żonę i dzieci do utrzymania. — Machnął do tyłu kciukiem. — W czasie tej podróży załadowałem mnóstwo rud metali ziem rzadkich. Wilki je wezmą, a młyn Hobdena zamieni je dla nich w elementy sterowania ogniem, i zestrzelą jeszcze parę statków Imperium. Jasne, nazwij mnie quislingiem - a potem zaczekaj, aż zobaczysz swoich przyjaciół biegnących z wrzaskiem po twojej ulicy, stado nietowęży trzepocze i kłapie na nich, zaś wilki biegają za nimi i śmieją się. Zadaj sobie pytanie, czy chcesz przez to przechodzić dla Imperium, które już nas opuściło.

— Aby na pewno? — spytał Flandry. — Z jednego z komunikatów zrozumiałem, że nadciągają posiłki.

— Pewnie. Są już tutaj. Jeden z moich kumpli ma całkiem niezłe radio i tak jakby śledził bitwę kosmiczną, kiedy przybyły siły Waltona, odbierając zbłąkane komunikaty. Jednak dosyć szybko dał sobie spokój. Co może zrobić Walton, jeśli nie zaatakuje tej planety, na której teraz już żyją wilki i gdzie już wytwarzają własne zapasy oraz amunicję? A jeśli to zrobi… — Blask reflektorów migotał na kroplach potu na twarzy mężczyzny. — Vixen

będzie skończone. Zostanie tylko popiół. Módl się do Boga, kolego, żeby Ziemianie nie próbowali wykopać Ardazira z Vixen.

— Co zatem dzieje się w kosmosie? — spytał Flandry.

Nie spodziewał się spójnej odpowiedzi. Dla cywila, podobnie jak dla przeciętnego żołnierza, wojna jest jednym wielkim, mrocznym chaosem. To był prawdziwy dar losu, kiedy kierowca oznajmił:

— Mój kumpel przechwycił przekazy radiowe nadawane do nas z floty Terran. Wilki próbowały je oczywiście zagłuszać, ale słyszałem je i uważam, że są w znacznej mierze prawdziwe. Ponieważ są naprawdę złe! Było w nich mnóstwo bzdur na temat utrzymywania naszej odwagi, sabotowania wroga i… — Kierowca wychrypiał soczyste przekleństwo. — Przepraszam, panią. Ale proszę poczekać, aż zobaczy pani, jak naprawdę jest wokół Garth, i będzie pani wiedziała, co myśleć o tym pomyśle. Admirał Walton mówi, że jego flota zajęła kilka baz na asteroidach, a ich flota nie próbuje go z nich wyrzucić. Impas, rozumiecie, dopóki wilki nie zgromadzą wystarczającej siły. Co robią, i to szybko. Powodem, dla którego admirał nie może rzucić w kosmos przeciwko nim wszystkiego, co ma, jest to, że musi też pilnować Ogre. Wygląda na to, że istnieją powody, do podejrzeń, że Ymir może być w zmowie z Ardazirem. Ymiryci niczego nie mówią. Wiecie, jacy oni są.

Flandry skinął głową.

— Tak. „Jeśli nie przyjmiecie naszego słowa, że jesteśmy neutralni, nie ma żadnego innego oczywistego sposobu, abyście mogli się o tym przekonać, ponieważ całe Imperium Terrańskie nie jest w stanie zbadać nawet ułamka terytorium Rozproszenia. W związku z tym nie będziemy tracić czasu na omawianie tej kwestii.”

— To jest to, kolego. Dokładnie ten ton. Pewnie, że mogą być szczerzy. Albo mogą tylko czekać na chwilę, gdy Walton spuści z nich oko, żeby na niego naskoczyć.

Flandry wyjrzał na zewnątrz. Gwiazdy świeciły bezosobowo, nie przejmując się tym, że kilka parę worków mięśni przez kilka stuleci nazywało je swoimi prowincjami. Dostrzegł, że na części nieba na tej planecie nie ma gwiazd, prawdziwa dziura w nieskończoność. Kit powiedziała mu, że nazywa się to Hatch. Lecz to była jedynie pobliska ciemna mgławica, nawet niezbyt duża. Przejrzysta biała iskra Rigela wyglądała bardziej złowrogo, płonęła z serca królestwa Mersei. A co z Ogre, płowo wiszącym nad drzewami?

— Jak myślisz, co się stanie? — Przez warkot silnika ledwie było słychać głos Kit.

— Nawet nie śmiem zgadywać — stwierdził kierowca. — Może Walton coś wynegocjuje – może nas tu zostawić, żebyśmy stali się wilczym bydłem, albo zorganizuje naszą ewakuację i zostaniemy żebrakami na Terrze. Albo mógłby walczyć w kosmosie… ale nawet jeśli nie zaatakuje ich fortów tutaj, na Vixen, wszyscy będziemy zakładnikami Ardazira, prawda? Albo Ymiryci mogliby… Nie, proszę pani, ja tylko prowadzę swoją ciężarówkę, pobieram pensję i karmię rodzinę. Wygląda na to, że racje żywnościowe są co tydzień mniejsze. Myślę, że jedna osoba nie jest w stanie zrobić niczego więcej. Czy nie?

Kit zaczęła łkać, wypłakując się na ramieniu Flandry'ego cichym, pozbawionym nadziei szlochem. Objął ją ręką i tak siedzieli przez resztę drogi do Garth.

X

Kolejna noc, po krótkim, gorącym, zimowym, wypełnionym burzami dniu. Flandry i Emil Bryce stali w kompletnych ciemnościach zaułka, obserwując ledwie widoczną ulicę. Deszcz spływał im po płaszczach. Przez fałdę w kapturze Flandry'ego przeciekała do środka strużka wody, tunikę miał przemoczoną, ale nie śmiał się ruszyć. Ardazirho mieli nadejść lada chwila.

Deszcz lał powoli i ciężko, spływając z wysokich dachów Garth, potem ciemnymi ulicami, by z bulgotem wlać się do kanałów burzowych. Wiatr zupełnie ucichł, ale od czasu do czasu błyskał piorun. Przez chwilę widać było biały chodnik, lśniący od wilgoci, domy z połówek pni, z pozamykanymi okiennicami stłoczonymi jedna obok drugiej, ażurową wieżę nadajnika jednej ze zrobotyzowanych stacji monitorujących pogodę, rozsianych po całej planecie. Po chwili nad wszystkim zamknęły się z powrotem ciemności nocy, a w ogromnych pustych przestworzach rozległ się grzmot.

Emil Bryce nie poruszył się od pół godziny. Ale on naprawdę był z zawodu łowcą, pomyślał Flandry. Terranin poczuł bezsensowną niechęć do gildii Bryce'a. Niech ich diabli, to niesprawiedliwe, w tym fachu stali bez ruchu i czekali na zdobycz już od najmłodszych lat, a on musiał zaczynać nawet bez rozgrzewki. Chociaż, właściwie było mu gorąco. Wszystko pod peleryną przeciwdeszczową mu parowało.

Na chodniku rozległ się tupot stóp. Kroki nie miały ludzkiego rytmu. Nie uderzały o podłoże obcasami, lecz stukały po chodniku opancerzonymi w metal palcami. Promień latarki kołysał się, rozcinając ciemność światłem zbyt niebieskim i ostrym jak dla potrzeb ludzkiego oka. Refleksy przebijającego się przez wodę blasku musnęły szeroką, czerwoną twarz Bryce'a. Poruszyły się tylko jego usta, a Flandry wyczytał na nich strach. Wilki!

Ale pomimo przerażenia spod płaszcza Bryce'a wysunął się pistolet na strzałki. Flandry przełożył stalowe kastety na jedną rękę. Drugą pokazał Bryce'owi, aby ten się cofnął. On, Flandry, musi pójść pierwszy, wybrać dokładnie tego wroga, którego chciał - w ciemności, w deszczu, pomimo nieludzkich twarzy. Mundury też im nie pomagały; Ardazirho nosili bardzo różnorodne stroje.

Lecz… Flandry był wyszkolony. Warto było poświęcić karabin, aby mieć pretekst do wejścia do kwatery głównej najeźdźców. Ich garnizon w Garth nie był duży: kilkuset żołnierzy na ćwierćmilionowe miasto. Ale nowoczesna broń ciężka zmieniała ten stan rzeczy: zrobotyzowane czołgi, działa powtarzalne, zdecydowana zapowiedź, że każde miasto, w którym

ludzkie powstanie zakończyłoby się sukcesem, zostanie zniszczone rakietami. (Szklisty krater znajdujący się na miejscu Marsburga, wyraźnie tego dowodził.) Garnizon w Garth znajdował się tam głównie po to, by obsadzać posterunki obserwacyjne i położone w okolicy stanowiska obronne przeciw statkom kosmicznym; lecz żołnierze zbierali też broń palną, kierowali fabrykami, produkującymi na potrzeby ich armii, krążyli w poszukiwaniu obywateli, którym pozostała jeszcze ochota do walki. Dlatego, jak powiedział sobie Flandry, ich oficer dowodzący musiał mieć sporą wiedzę - oficer dowodzący rzeczywiście mówił w anglicu i Flandry dobrze mu się przyjrzał podczas oddawania karabinu, a Flandry przeszedł gruntowne przeszkolenie w rozróżnianiu twarzy, nawet tych nieludzkich…

I teraz Pan Klanu Temulak, jak sam siebie nazywał, schodził ze służby, zmierzając z kwatery głównej do koszar. Bryce i inni obserwowali Ardazirho od tygodni. Powiedzieli Flandry'emu, że najeźdźcy, kiedy tylko jest to możliwe, chodzą pieszo, w małych uzbrojonych grupach. Nikt nie wiedział dlaczego. Może woleli intymność od zapachów i dźwięków, której nie zapewniałoby użycie pojazdów; wiadomo było, że mają lepsze nosy niż ludzie. A może lubili wyzwania: niejednokrotnie ludzie atakowali takie grupy; ataki te zawsze kończyły się niepowodzeniem, pościgiem i rozerwaniem napastników na strzępy. Cywile nie mieli szans w starciu z pancerzami, blasterami i refleksem wyćwiczonym do walki.

„Tak, tyle że ja nie jestem cywilem” — powiedział sobie Flandry, — „a Bryce ma dość szczególne umiejętności.”

Grupa przeszła obok. Rozproszone światło latarek ukazało zmierzwione, zakończone pyskami głowy, wydobyte z wszechobecnej ciemności. Było ich pięciu. Flandry rozpoznał Temulaka, w hełmie i w pancerzu, blisko środka grupy. Wysunął się z zaułka za nimi.

Ardazirho obrócili się. Jak czułe były ich uszy? Flandry kontynuował akcję. Jedna ręka obcego o rudym futrze, opadała w stronę znajdującego się w pochwie blastera. Flandry uderzył wzmocnioną stalowymi kastetami pięścią w twarz Temulaka. Wróg uchylił głowę, kastety odbiły się od hełmu. Brzuch osłaniał mu cienki metal, żaden cios w to miejsce nie odniósłby skutku. Wyciągnął blaster. Flandry z szaleńczą precyzją uderzył go kantem lewej dłoni. Wydawało mu się, że czuje, jak pod jego ciosem pękają kości nadgarstka obcego. Broń Temulaka zagrzechotała po chodniku. Ardazirho odrzucił głowę do tyłu i zawył, wyrzucając z siebie wrzask w kurtynę deszczu. Kwatera Główna znajdowała się zaledwie pół kilometra stąd, koszary nie dalej, w przeciwnym kierunku…

Flandry wymierzył mu kopnięcie karate w szczękę. Oficer zachwiał się. Był jednak szybki, obrócił się i złapał człowieka za kostkę, zanim ten zdążył wycofać nogę. Upadli razem. Prawa ręka Temulaka wciąż wisiała bezużytecznie, lecz lewa pochwyciła Flandry'ego za gardło. Terranin dostrzegł paznokcie wzmocnione ostrymi stalowymi pazurami. Wyrzucił do góry rękę, aby uchronić krtań przed wyrwaniem. Temulak zawył ponownie. Flandry uderzył go w owłosioną szyję. Ardazirho uchylił się i zatopił zęby w nadgarstku Flandry’ego. Ból rozszedł mu się po nerwach niczym płomień. Teraz jednak Temulak poleciał do przodu i przykucnął

przed nim. Flandry walnął go zamachowym w kark. Temulak upadł bezwładnie. Flandry odwrócił go na plecy i przydusił go.

Człowiek, ciężko oddychając, uniósł głowę, i zobaczył skaczące i krzyczące w blasku upuszczonej latarki cienie. Proste uśpienie Temulaka przy pomocy zastrzyku, nie wchodziło w rachubę. Był mu potrzebny żywy, a Flandry nie wiedział, jakie ilości środków znieczulających mogą być śmiertelne dla Ardazirho. Bryce, jednak, musiał tylko zabić strażników, tak cicho, jak to tylko możliwe. Jego karabin pneumatyczny wyrzucał strzałki z cyjankiem, które szybko zabijały każdą istotę oddychającą tlenem. A jego wprawne celne oko posyłało te strzałki w odsłonięte części ciała, nie marnując ich bezużytecznie na pancerzach. Dwie postaci już leżały na ulicy. Kolejna jakimś cudem zdołała skoczyć Bryce'owi do gardła. Łowca uniósł jeden but. Brzęknął on o napierśnik, lecz sama siła kopnięcia odrzuciła obcego do tyłu. Bryce go zastrzelił. Do tego czasu ostatni z nich wyciągnął blaster. Wystrzelił i wiązka jonów rozbłysła w deszczu. Bryce już upadł. Wiązka jonów zaskwierczała w miejscu, w którym znajdował się wcześniej. Bryce strzelił, spudłował, uchylił się przed kolejnym wyładowaniem, strzelił ponownie i spudłował. Z dalszej części ulicy dało się słyszeć wycie, gdy większa grupa najeźdźców popędziła aby przyjść z pomocą napadniętym.

Flandry sięgnął przez chude ciało Temulaka, podniósł broń Pana Klanu i czekał. W tych nocnych ciemnościach był prawie ślepy. Blaster drugiego Ardazirho rozbłysnął ponownie. Flandry strzelił w tamtą stronę. Obcy wrzasnął raz i upadł z głuchym odgłosem na ulicę. Spalone włosy i mięso dymiły mdląco w wilgotnym powietrzu.

— Wynośmy się stąd! — sapnął Bryce. Zerwał się na nogi. — Nadchodzą! Pójdą za nami po zapachu…

— Jestem na to przygotowany — powiedział Flandry. Na chwilę wyszczerzył zęby w twardym uśmiechu. Pozwolił Bryce'owi podnieść Temulaka, a sam wyjął z tuniki płaską butelkę. Przekręcił dyszę ciśnieniową i rozpylił w miejscu ataku litr benzyny. — Jeśli po tym przez parę minut ich nosy będą się do czegokolwiek nadawać, to się poddaję. Idziemy.

Bryce poprowadził ich alejką do następnej ulicy, dalej jeden kwartał odcinkiem o okropnie zniszczonym bruku, a następnie przez mur ogrodowy. Żaden prywatny pojazd prowadzony przez człowieka nie mógł poruszać się po zmroku, nie narażając się na ostrzał z powietrza, lecz do podziemnej kryjówki nie było daleko. „Prawdę mówiąc, za blisko” — pomyślał Flandry. Ale kto na Vixen miał jakiekolwiek doświadczenie w takich operacjach? Kit odszukała w Garth przyjaciół, którzy ją przemycili poza planetę, a oni zaprowadzili Flandry prosto do ich niewielkiej, pełnej zapału organizacji. Tym razem przyśpieszyło to sprawy, owszem, ale przypuśćmy, że Ardazirho umieściliby w niej agenta? Albo… było to tylko kwestią czasu, zanim zaczną szczegółowo przesłuchiwać ludzi przy użyciu narkotyków i środków przymusu. Wtedy potrzebny będzie podział na komórki, wykorzystanie haseł, system szeroko porozrzucanych kryjówek, albo podziemie będzie skończone.

Flandry potykając się przebiegł przez jakieś przesiąknięte wodą kwietniki. Pomógł Bryce'owi znieść Temulaka do piwnicy służącej jako schron przeciw huraganom – takie pomieszczenia były standardem w każdym domu w Garth. Przekopano z niej tunel; przynajmniej wejście do niego było dobrze ukryte. Flandry i Bryce pokonali kilkaset metrów na jego drugi koniec. Wyszli pod domem, którego adresu nie powinni nawet znać.

Judith Hurst odwróciła się z cichym krzykiem, gdy otworzyły się drzwi do piwnicy. W przyćmionym świetle dostrzegła ciężką postać Bryce'a i wciąż bezwładnego Temulaka w ramionach łowcy. Za nimi pojawił się Flandry, zrzucając pelerynę z pełnym ulgi westchnieniem.

— Och — sapnęła Judith. — Macie go!

Oczy Bryce'a powędrowały po otaczającym ich kręgu. Kilkunastu ludzi stało z pełnymi napięcia, brązowymi twarzami, w świetle pojedynczej małej lampy fluoroscencyjnej. W rogach pomieszczenia i na zamknięte okiennice, padały ich monstrualne cienie. Za pasami zebranych, błyszczały noże i zakazane pistolety. Kit była jedyną siedzącą osobą, wciąż pogrążoną w tępym smutku reakcji na stymulol.

— Cholernie mało brakowało — chrząknął Bryce. — Bez kapitana nigdy by się nie udało. Sir Dominicu, przepraszam za pewne rzeczy, które ostatnio myślałem o Terrze.

— Ja też. — Judith Hurst wystąpiła naprzód, chwytając obie dłonie agenta. Była jedną z nielicznych kobiet w podziemiu, i Flandry pomyślał sobie, że ryzykowanie, iż ktoś o takiej urodzie mógłby zostać zastrzelony, to prawdziwa zbrodnia. Była wysoka, miała długie kasztanowe włosy i wspaniałą cerę; z jej pełnej twarzy o wydatnych ustach spoglądały senne brązowe oczy; jej figura wspaniale wypełniała szorty i bolerko. — Zupełnie nie sądziłam, że jeszcze pana zobaczę — powiedziała. — Ale wrócił pan z pierwszym prawdziwym sukcesem, jaki przyniosła nam ta wojna.

— Jedna jaskółka wiosny nie czyni — ostrzegł Flandry. Złożył jej najbardziej dworski ukłon, na jaki było go stać. — Nawet jeśli lata nisko nad ziemią. Skoro już o tym mowa, przydałoby mi się coś płynnego i nie wyobrażam sobie wspanialszego dostarczyciela pucharu. Ale najpierw zajmijmy się naszym przyjacielem Temulakiem. Tędy, prawda?

Gdy mijał Kit, jej zmęczone oczy zwróciły się ku niemu. Po twarzy dziewczyny powoli spływały łzy.

— Dominicu, ty żyjesz — wyszeptała. — To sprawia, że wszystko inne wydaje się nieważne. — Podniosła się na chwiejne nogi. Rzucił jej zaabsorbowany uśmiech i szedł dalej, a jego mózg przekopywał się przez kwestie techniczne.

Mając odpowiednie laboratorium biopsychiczne, mógłby dowiedzieć się, w jaki sposób wydobyć z Temulaka prawdę, przy pomocy narkotyków i urządzeń elektronicznych. Teraz jednak nie miał wystarczających danych na temat tego gatunku. Musiał polegać wyłącznie na pewnych powszechnie stosowanych, jeśli nie uniwersalnych, zasadach psychologii.

Na jego polecenie, w pomieszczeniu, w bocznej części piwnicy przygotowano wygodne łóżko. Rozebrał Temulaka i związał go, mocno, ale miękkimi więzami, które go nie obcierały. Więzień zaczął się poruszać. Gdy Flandry skończył, a Temulak znieruchomiał, szare oczy obcego były

już otwarte, a pysk nad białymi zębami zaczynał się marszczyć. W gardle Temulaka wzbierał warkot.

— Czujesz się lepiej? — spytał obłudnie człowiek.

— Nie tak dobrze, jak będę się czuł wtedy, gdy wywleczemy cię na ulicę. — Jego anglic był twardo akcentowany, lecz płynny, a w głosie obcego brzmiała twarda jak stal wyniosłość.

— Już się trzęsę. — Flandry zapalił papierosa. — Cóż, mój drogi kolego, jeśli zechcesz odpowiedzieć nam teraz na kilka pytań, zaoszczędzi to wszystkim tu zebranym kłopotów. Przypuszczam, że skoro żyjesz, nie znasz współrzędnych twojego macierzystego słońca. Lecz zachowałeś w głowie wiele wskazówek. — Wydmuchnął w zamyśleniu kółko dymu. — Są też rzeczy, o których wiesz w sposób oczywisty, bo wymaga tego twoja ranga. Och, różne rzeczy, mój najdroższy, co do których moja strona aż umiera z niecierpliwości, aby się doczekać. — Zaśmiał się. — Nie mówię tego dosłownie. Jeśli chodzi o umieranie, dotyczy to wyłącznie twojej osoby.

Temulak zesztywniał.

— Jeśli myślisz, że pozostanę przy życiu za cenę zdrady orbekha…

— Nie myślę o niczym tak oczywistym.

Rude futro zjeżyło się, ale Temulak warknął:

— Ból w żadnym stopniu mnie do niczego nie zmusi. I nie sądzę, byś rozumiał psychofizjologię mojej rasy na tyle dobrze, by podejmować się jej całkowitego przewarunkowania.

— Nie — przyznał Flandry — jeszcze nie. Jednak i tak nie mam czasu na zmianę uwarunkowania, a tortury są tak uciążliwe… poza tym nie dają gwarancji, że kiedy zaczniesz mówić, nie będziesz kłamał. Nie, nie, mój drogi przyjacielu, wkrótce sam będziesz chciał mi się wygadać. Kiedy będziesz już miał dość, po prostu mnie wezwij, a ja przyjadę cię wysłuchać.

Skinął głową w stronę doktora Reineke. Lekarz przyniósł sprzęt, który na prośbę Flandry'ego pobrał ze szpitala Garth General. Temulakowi założono na oczy kaptur zasłaniający oczy, uszy wypełniono woskiem tłumiącym dźwięki i zatkano nos, jedna maszyna zaczęła podawać dożylnie pokarm, a inna usuwać z organizmu odpady. Pozostawiono go bez możliwości ruchu i, z wyjątkiem delikatnego, stałego nacisku więzów i łóżka, zamkniętego w ciemności, podobnej do śmierci. Z zewnątrz nie docierały do niego żadne wrażenia zmysłowe. Było to bezbolesne, nie wyrządzało trwałej szkody, ale umysł nie jest przygotowany do takiej izolacji. Kiedy nie ma niczego, dzięki czemu mógłby się orientować, szybko traci wszelką wiedzę o czasie; godzina wydaje się dniem, a później tygodniem lub rokiem. Przestrzeń i materialna rzeczywistość, znikają. Pojawiają się halucynacje, a wola zaczyna się rozpadać. Jest to szczególnie częste, gdy ofiara znajduje się wśród wrogów, z napięciem wyczekując na użycie bata lub noża, z których jego własna dzika kultura z pewnością by skorzystała.

Flandry zamknął drzwi.

— Pilnujcie go — polecił. — Gdy zacznie krzyczeć, dajcie mi znać. — Zdjął tunikę. — Od kogo mogę wyżebrać coś suchego do ubrania?

Judith długo przyglądała się jego torsowi.

— Myślałam, że wszyscy Terranie są słabi, sir Dominicu — mruknęła. — Co do tego też się myliłam.

Popatrzył na nią badawczo.

— A pani, moja droga, dobitnie pokazuje, że Vixenici również tacy nie są — mruknął.

Chwyciła go za ramię.

— Co planuje pan robić dalej?

— Rozejrzeć się. Obserwować. Przekształcić waszą gromadę maquis w coś efektywnego. Jest tyle sztuczek, których można was nauczyć. Żeby wymienić tylko jedną, w każdej chwili, gdy nie ma nic innego do roboty, można wstrzymać pracę w fabryce wojennej na pół dnia, anonimowym telefonem z ostrzeżeniem, że podłożono bombę zegarową oraz że personel powinien się wynosić. Dalej, jest cała reszta planety do zorganizowania. Nie wiem, ile będę miał czasu do dyspozycji, ale pracy jest tyle, że starczyłoby mi na cały rok. — Flandry przeciągnął się wygodnie: — Teraz jednak miałbym ochotę na tego drinka, o którym mówiłem wcześniej.

— Proszę bardzo, panie kapitanie — Bryce wyciągnął flaszkę.

Judith popatrzyła na niego z pogardą.

— Czy te białe szczyny, to wszystko, co możesz zaoferować kapitanowi? — Włosy zalśniły jej na plecach, gdy odwróciła się, by znów uśmiechnąć się do Flandry'ego. — Wiem, że pomyśli pan sobie, iż jestem strasznie szybka, ale mam w domu dwie butelki prawdziwego Bourgogne. To tylko kilka przecznic stąd i znam bezpieczną drogę.

„Oho!” — Flandry oblizał się w myśli ze smakiem.

— Jestem zachwycony — oświadczył.

— Zaprosiłabym resztę z was — rzuciła słodko Judith — ale jest tego za mało dla wszystkich, a sir Dominic zasługuje na to najbardziej. Myślę, że nic nie jest dla niego za dobre. Po prostu nic.

— Co do tego, pełna zgoda — stwierdził Flandry. Ukłonił się reszcie na dobranoc i wyszedł z nią.

Kit spoglądała przez chwilę za nimi. Gdy zamykał drzwi, usłyszał jej szloch.

XI

Minęły trzy 22-godzinne okresy obrotu Vixen i część czwartego, zanim nadeszła wiadomość, że Temulak się załamał. Flandry zagwizdał.

— Najwyższy czas! Jeśli oni wszyscy są tacy twardzi…

Judith przytuliła się do niego.

— Musisz już iść, kochanie? — wymruczała. — Tyle czasu cię nie było… chodzisz po okolicy, szpiegujesz, a na ulicach wciąż jest pełno sfor polujących na tego, kto zaatakował tamten oddział - boję się o ciebie.

Jej spojrzenie było bardziej zachęcające niż zaniepokojone. Flandry pocałował ją z roztargnieniem.

— Jesteśmy przecież patriotami i takie tam rzeczy — odparł. — Nie mógłbym cię tak kochać, kochanie, i tak dalej. A teraz puść mnie. — Był już za drzwiami, zanim zdążyła się odezwać.

Droga między jej domem a siedzibą podziemia prowadziła głównie od ogrodu do ogrodu, ale musiał też pokonać odcinek drogi o bardziej publicznym charakterze. Flandry włożył ręce do kieszeni i szedł pod szumiącymi pierzastymi palmami, jakby ani się niczym nie przejmował, ani nigdzie nie spieszył. Inni otaczający go ludzie, poruszający się pieszo lub na wozach, wyglądali na przygnębionych, a głód i nędza już dawały im się we znaki. Raz przejechała grupa Ardazirho na jednokołowcach; ich ostre, czerwone pyski rozcinały powietrze niczym dzioby statków, pozostawiając za sobą pełną strachu ciszę. Zimowe słońce płonęło nisko na północnym zachodzie, wielkie i oślepiająco białe na bladym niebie, pośród szybko przemykających po nim chmur burzowych. Kiedy Flandry wszedł do piwnicy, byli tam tylko Emil Bryce i Kit Kittredge. Łowca stał na straży. Spoza znajdujących się za nim zamkniętych drzwi dobiegało wycie i szloch.

— Coś tam bełkotał, że będzie mówił — poinformował Flandry’ego Bryce. — Ale czy można ufać temu, co powie?

— Przesłuchiwanie to również sztuka — odparł Flandry. — Jeśli Temulak jest tak bardzo podobny do człowieka, że załamał się w izolacji, nie będzie w stanie dostatecznie szybko wymyślać spójnych kłamstw, kiedy zacznę zadawać mu pytania. Macie ten dyktafon, o który prosiłem?

— Tu jest. — Kit pokazała mu urządzenie. Wyglądała na bardzo małą, samotną i pełną smutku. Bezsenność przekrwiła jej oczy. Zaniosła urządzenie do Flandry'ego, który odebrał je, wychodząc ku niej na kilka metrów od Bryce'a. Nachyliła się do niego, wspinając się na palce i wyszeptała drżącym głosem:

— Co teraz zrobisz?

Flandry zmierzył ją wzrokiem. Myślał, że dobrze ją poznał w czasie podróży na tę planetę. Ale obserwował ją wtedy tylko w jednym zestawie warunków – no i jak dobrze jeden człowiek może poznać drugiego, pomimo tej całej udawanej psychologii? Od czasu schwytania Ardazirho widział ją tylko raz, podczas jednej krótkiej wizyty w tej piwnicy. Spędzili kilka chwil sam na sam, lecz nie rozmawiali o niczym specjalnie osobistym. Nie było na to czasu. Widział, że drży.

— Idę przepytać naszego drogiego brata Temulaka — powiedział jej. — A potem przyda mi się kolacja i coś mocniejszego do picia.

— Z Judith Hurst? — Zaskoczyło go, z jaką wściekłością wypluła z siebie te słowa.

— To zależy — powiedział ostrożnym tonem.

— Dominicu… — Przytuliła się rozpaczliwie do niego, aby powstrzymać dreszcze. Jej spojrzenie zamgliło się, szukając jego. — Nie. Proszę, nie zmuszaj mnie do zrobienia… tego, czego nie chcę…

— Zobaczymy. — Ruszył w stronę wewnętrznych drzwi. Kit zaczęła płakać, tym razem bezradnie.

Bryce wstał.

— Co się stało? — spytał.

— Jest przemęczona — Flandry otworzył drzwi.

— Tu chodzi o coś gorszego. — Łowca powiódł wzrokiem od niego do dziewczyny i z powrotem. W jego warknięciu zatliła się uraza: — Może to nie moja sprawa… — zaczął.

— I faktycznie, nie jest. — Flandry wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

Temulak leżał, trzęsąc się i dysząc. Flandry ustawił rejestrator i odsłonił uszy Ardazirho.

— Chciałeś ze mną rozmawiać? — spytał łagodnie.

— Wypuśćcie mnie! — wrzasnął Temulak. Wypuśćcie mnie, mówię! Zamara shammish ni ulan! — Otworzył usta i zawył. Tak bardzo przypominało to wycie zwierzęcia, że Flandry'emu aż ciarki przeszły po kręgosłupie.

— Zobaczymy, jak będziesz współpracował. — Człowiek usiadł koło łóżka.

— Nigdy nie sądziłem, że… wy, szarzy ludzie… szare serca… — wyjęczał Temulak. Spomiędzy kłów wypłynęła mu stróżka krwi.

— W takim razie dobranoc — powiedział Flandry. — Słodkich snów.

— Nie! Nie, pozwól mi widzieć! Pozwól mi wąchać! Ja… zamara, zamara…

Flandry zaczął go przesłuchiwać.

To wymagało czasu. Podstawową zasadą było nieustanne uderzanie, zadawanie pytania, wyszarpywanie odpowiedzi, rzucanie kolejnego pytania, atakowanie najmniejszych rozbieżności; zawsze uderzanie i uderzanie, bez sekundy przerwy, pozwalającej ofierze na zastanowienie się. Bez pomocy partnera Flandry szybko się zmęczył. Po pierwszej godzinie stracił rachubę czasu.

W końcu, mając pełną taśmę nagrań, na chwilę się rozluźnił. Powietrze było niemal gęste od dymu. Pod ubraniem czuł lepki pot. Zaciągnął się

kolejnym papierosem i z roztargnieniem zauważył drżenie ręki. Ale Temulak jęczał i drgał, bliski popadnięcia w szaleństwo z powodu psychicznego wyczerpania.

„Obraz, jaki mamy, to tylko sam zarys” — pomyślał Flandry w ponury, nieobecny sposób. — „Jak wiele można komuś powiedzieć w ciągu jednej nocy, o całym świecie, o jego wielkości i różnorodności, o wielu ludach i ich dziejach? Ile do dziś tak naprawdę wiemy o Terrze?” — Ale taśma zawierała informacje warte wielu statków.

Gdzieś tam leżało słońce, jaśniejsze nawet niż Cerulia, i planeta zwana przez jej najważniejszy naród, Ardazirem. („Naród” było to słowo z anglicu; Flandry miał wrażenie, że termin orbekh można by lepiej przetłumaczyć jako „sojusz klanowy” lub „zagregowane stado"). Kraj ten osiągnął niezależnie poziom podróży międzyplanetarnych. Potem, jakieś piętnaście standardowych lat temu, na Ardazirze wybuchła wiedza o grawitacji, nadświetlnych pseudoprędkościach i całej nowoczesnej aparaturze galaktyki. Władcy wojenni (wodzowie, mówcy, przywódcy stada?) Urdahu, dominującego orbekha, szybko wykorzystali je do całkowitego podporządkowania sobie własnej planety. Następnie zwrócili się w kosmos. Ich łowcy wtargnęli do tuzina zacofanych układów, plądrując i zniewalając; za nimi podążyli inżynierowie, organizując podbite planety w celu dalszej wojny.

A teraz rozpoczął się atak na ludzkie imperium. Władcy Urdahu zapewnili swoich zwolenników, że Ardazir ma sprzymierzeńców, potężnych mieszkańców światów tak obcych, że nie trzeba było obawiać się ich ataku - choć obcy ci od dawna byli zirytowani ludzkością i znaleźli w Ardazirze narzędzie do zniszczenia i zastąpienia Imperium Terrańskiego przez nowych partnerów… Temulak nie dociekał głębiej, nie zastanawiał się nad tym. Ardazirho wydawali się z natury nieco bardziej lekkomyślni i fatalistycznie nastawieni, niż ludzie, a także nieco mniej ciekawscy. Jeśli okoliczności dawały szansę na przygodę, chwałę i bogactwo, to im wystarczało. Środki ostrożności można było pozostawić mądrym, starym kobietom z orbekh.

Flandry zapalił w gęstej ciszy. Jeśli Ymir rzeczywiście stał za Ardazirem, byłoby naturalne, że Ymir tymczasowo współpracował z Merseią, rozciągając uwagę Terry między kryzysy na Syrax i Vixen. Być może Merseia była następna na liście Ymira. Później Ardazir raczej nie byłby specjalnie kłopotliwym obiektem do zniszczenia.

Ale jaką urazę mógł mieć Ymir do tlenowców, czy nawet do samej Terry? Miały miejsce pewne niewielkie tarcia, jasne, nieuchronnie - lecz nie było to nic poważnego, z pewnością potwory ścierały się między sobą bardziej niż… A jednak Horx zrobił wszystko, co był w stanie, aby mnie zabić. Dlaczego? Do czego mógł zostać wynajęty? Jaka materialna rzecz z ziemiopodobnej planety nie rozpadłaby się w jego dłoniach, na Jowiszu? Jaki mógł mieć powód, poza rozkazami własnego gubernatora, który realizował politykę opracowaną na samym Ymirze…?

Flandry zacisnął pięść. Istniała odpowiedź na to pytanie, ale nie ośmielił się na niej opierać bez dalszych dowodów. Zmusił swój umysł do skupienia się na praktycznych aspektach sytuacji. Taśma zawierała

głównie tego rodzaju szczegóły: liczbę statków i oddziałów Ardazirho w tym układzie, sygnały rozpoznawcze, rozmieszczenie wojsk na Vixen, układ fortów, a zwłaszcza wielkiej kwatery głównej; całkowitą populację Ardaziru, zasoby, przemysł, armię i marynarkę wojenną… Temulak nie znał wszystkich tajemnic państwowych, ale udzielił wystarczająco wielu wskazówek, by przyprawić Flandry'ego o gęsią skórkę. Vixen okupowało około dwóch milionów wojowników; sto milionów wciąż przebywało w domach lub na wcześniej podbitych planetach, gdzie szybko gromadzono materiały wojenne; wszyscy oficerowie zostali poinformowani, że istnieje wiele innych wrażliwych imperialnych placówek, kolonii ludzkich lub światów macierzystych rozmaitych gatunków sprzymierzonych z Terranami. Tak, Ardazir z pewnością planował uderzyć ponownie, w innym miejscu Imperium, i to wkrótce. Jeszcze jeden lub dwa takie ciosy, i Imperialna Marynarka Wojenna będzie musiała oddać Syrax Merseii, zwrócić się do wewnątrz i bronić macierzystej planety. A wtedy…

To nieprawda, że armia maszeruje głównie na żołądkach, pomyślał Flandry. Informacji potrzebuje jeszcze bardziej nawet niż jedzenia. Maszeruje oparta na głowach. Bez wątpienia to dlatego właśnie Imperialne Naczelne Dowództwo ma tak wielu głupców o płaskich umysłach.

Zaśmiał się. Żart był może kiepski, lecz dodał mu sił. A siły będą mu potrzebne.

— Pozwolisz mi widzieć? — spytał Temulak cichym, łamiącym się głosem.

— Nie będę już cię pozbawiać mojego pięknego widoku — odparł Flandry. Odwiązał rudą głowę i wyciągnął mu z nosa woskowe zatyczki. Temulak zamrugał oślepiony dymem i jednym matowym światełkiem. Flandry odłączył maszyny, które podtrzymywały go przy życiu. — Oczywiście nadal pozostaniesz naszym gościem — oznajmił. — Jeśli okaże się, że kłamałeś, wrócisz do ciemnej szafy.

Temulak syknął. Jego zęby szczęknęły, o centymetry chybiając ramię człowieka.

— Niegrzeczny! — Flandry zrobił krok do tyłu. — Za coś takiego, zostaniesz na razie w więzach.

Temulak warknął z pryczy:

— Ty bezwłosy robaku o szarej skórze, jeśli myślisz, że twoje sztuczki valkuzy uratują cię przed Czarnymi Ludźmi, to ja sam osobiście wyrwę ci przełyk i uduszę cię twoimi własnymi jelitami!

— I jeszcze spłacisz moją hipotekę — dorzucił Flandry. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Bryce i Kit zaczęli się podnosić. Zasnęli w swoich fotelach. Łowca przetarł oczy.

— Boże galaktyki, był pan tam tak długo! — wykrzyknął.

— Masz. — Flandry rzucił mu szpulę z taśmą. — To musi dotrzeć do floty admirała Waltona. To konieczne, jeśli nie wystarczające, do waszego wyzwolenia. Dacie radę?

— Wróg przechwyci transmisję radiową — powiedział Bryce z powątpiewaniem. — Wciąż mamy kilka ukrytych statków kosmicznych, ale

Kit miała najszybszy. A od tego czasu wilcza osłona w przestrzeni kosmicznej została zaciśnięta tak mocno, że aż trzeszczy.

Flandry westchnął.

— Obawiałem się tego. — Nabazgrał coś na kartce papieru. — Oto mapa, która zaprowadzi was do miejsca, w którym znajduje się mój osobisty flitter. Znasz tę melodię? — Zagwizdał. — Nie? To dowodzi, że masz czysty umysł. Cóż, naucz się jej. Przećwiczył Vixenitę, aż był zadowolony. — Dobrze. Podejdź do flittera gwiżdżąc w ten sposób, a Chives nie zastrzeli cię bez zbadania sprawy. Daj mu tę notatkę. Ma zabrać taśmę do Waltona. Jeśli ktokolwiek jest w stanie pokonać tę blokadę bez złapania pocisku, to jest to Chives na *Hooliganie*.

Kit stłumiła westchnienie.

— Ale wtedy ty, Dominicu… Nie uciekniesz

Flandry wzruszył ramionami.

— Jestem za bardzo zmęczony, by dbać o cokolwiek poza miękkim łóżkiem.

Bryce, wsuwając szpulę pod tunikę, uśmiechnął się:

— Czyim?

Kit stanęła jak wryta.

Flandry skinął lekko głową w jej stronę.

— Tak to już jest. — Zerknął na swoje chrono. — Prawie lokalna północ. Spadaj już, Bryce, chłopcze. Ale wpadnij po drodze i powiedz doktorowi Reineke, żeby przeniósł swoją aparaturę i więźnia gdzie indziej. Kiedy ktoś cię poszukuje, zawsze najlepiej jak najczęściej się przemieszczać. I nikt, poza pigularzem i tymi, którzy mu pomagają, nie może wiedzieć, gdzie ukrywają Temulaka. Jasne?

Kit zacisnęła pięści, aż pobielały jej kostki. Wpatrywała się w podłogę; widział tylko jej krótkie, jasne włosy.

Powiedział łagodnie:

— Muszę się przespać albo padnę na nos, dziewczyno. Spotkamy się w południe przy Rakietowej Fontannie. Myślę, że mamy kilka prywatnych spraw do omówienia.

Odwróciła się i uciekła na górę.

Flandry również wyszedł. Nocne niebo migotało zorzą; wydawało mu się, że słyszy syk jej jonów w ciemnej ciszy miasta. Raz wspiął się na dach i poczekał na patrol Ardazirho. Niebieskie światło Wan odbijało się od ich metalowych pancerzy i zębów.

Judith powitała go serdecznie.

— Tak się martwiłam, kochanie…

Zastanowił się przez chwilę. Zmęczenie ciążyło mu jak skała. Ale przygotowała kolację, z winem i zimną dziczyzną, taką jaką wiedziała, że lubił, a jej włosy lśniły czerwienią w blasku świec. Do diabła ze snem, postanowił Flandry. Jutro może zasnąć już na zawsze.

Zdrzemnął się przez kilka porannych godzin i wyszedł przed południem. Plac Odkrywców był niegdyś wesołym miejscem, gdzie ludzie siadywali spokojnie w otaczających go ogródkach, popijając kawę, słuchając szumu harf na wietrze i obserwując płynące obok nich życie. Teraz było tutaj pusto. Metalowa fontanna w kształcie starożytnej rakiety

kosmicznej wciąż tryskała z ogona różnokolorowymi, pozbawionymi ciepła płomieniami, które jednak wydawały się blade na tle ponurego zimowego nieba.

Flandry wyjął papierosa, usiadł na obramowaniu fontanny i czekał. Kilka pierwszych kropel deszczu zmoczyło jego na wpół uniesioną twarz.

Z opustoszałej ulicy wyjechała wojskowa ciężarówka i zatrzymała się. Z kabiny wyskoczyło trzech Ardazirho. Była z nimi Kit. Wskazała na Flandry'ego. W tej samej chwili w górze rozbłysła błyskawica, i nagły grzmot zagłuszył jej słowa. Lecz ton głosu był wyraźnie mściwy.

— Stój, człowieku!

Musiał to być jedyny zwrot w anglicu, jaki znał którykolwiek z trójki najeźdźców. Warknęli jeszcze raz i jeszcze raz, podczas gdy Flandry rzucił się przez plac. Pochylił się i zaczął biec zygzakiem.

Nie padły żadne strzały. Ardazirho wrzasnęli z radości i otworzyli obudowę ciężarówki. Flandry usłyszał trzask skórzastych skrzydeł. Rzucił okiem za siebie. Kilkanaście metrowych wężowych ciał wyłaniało się właśnie z ciężarówki. Zobaczyły go, zagwizdały i pochyliły się.

Flandria biegł. Serce zaczęło mu mocniej bić, wskutek dzikiego irracjonalnego, niekontrolowanego strachu. Nietowęże dogoniły go. Usłyszał szczękanie zębów za karkiem. Szczupłe ciało owinęło na jego prawym ramieniu. Szarpnął kończyną w górę, szaleńczo. Skrzydła stawiły opór powietrzu. Kły wbiły mu się w ciało. Reszta stada odwróciła się, rzuciła w jego stronę i chłostała go ogonami.

Znowu zaczął biec. Za nim podążyła trójka Ardazirho, długimi susami, które niosły ich nad ziemią szybciej niż był w stanie biec człowiek. Zawyli, a w ich wyciu słychać było radość. Ulica była pusta, bruk dudnił pod butami.

Zasłonięte okna spoglądały w dół, nie widząc. Drzwi były zamknięte i zaryglowane.

Flandry zatrzymał się. Obrócił się. Jego prawe ramię było nadal wykręcone. Lewa ręka schowała się pod tuniką. Wyłoniła się z igłowcem. Wycelował w najbliższego ze śmiejących się, rumianych diabłów. Nietowąż rzucił się na jego rękę z bronią. Wgryzł się z wyćwiczoną precyzją w palce. Flandry upuścił broń. Pochwycił nietowęża – żeby skręcić choć jedną z tych ich przeklętych szyi…!

Wykręcił się i wyrwał na wolność. Jego gadzie szczęki uśmiechnęły się do niego. Potem podeszli Ardazirho.

XII

Przez większą część roku północna część Vixen była po prostu pustynią, bagnem lub prerią, gdzie życie roślinne rozwijało się błyskawicznie, a zwierzęta, pozostające w stanie snu letniego, wychodziły sporadycznie ze swoich nor. Na terenach arktycznych występował nawet śnieg, gdy zapadała zimowa noc. Ale latem śniegi topniały, zmieniając się w szalone rzeki, rzeki te rozlewały się i stawały jeziorami, a jeziora wysychały. Gdy woda ponownie skraplała się w chłodniejszych częściach planety, wokół równika i na półkuli południowej szalały burze. Z wyjątkiem niewielkich mórz, ponuro rozlewających się pośród słonych równin, na północy panowała susza. Wybuchały potężne pożary i pampasy z powrotem zmieniały się w jałowe pustynie, w ciągu kilku zaledwie gorących dni. W tak erozyjnych warunkach na tych ziemiach nie było gór. Większa ich część miała charakter równinny, gdzie pył i popiół unosiły się swobodnie na wietrze. Gdzieniegdzie tylko wznosiły się zdeformowane pasma pozbawionych życia wzgórz, poskręcanych skał, wąwozów wyrzeźbionych przez gwałtowne powodzie, tworzących ogromne blizny w ziemi.

Ardazirho założyli swoją siedzibę w takim właśnie regionie, nieco poniżej koła podbiegunowego. Tysiące kilometrów śmiercionośnych terenów, zabezpieczały ją przed atakiem naziemnym ludzi; zniszczona kraina zapewniała kamuflaż i ochronę przed statkami kosmicznymi. Nie żeby próbowali całkowicie ukryć swoją fortecę. To byłoby niemożliwe. Ale wkopali się głęboko w ziemię i pozostawili niewiele konkretnych celów.

Tu i ówdzie Flandry dostrzegał okręt wojenny stojący bezczelnie na otwartej przestrzeni, stanowisko rakietowe, stację detektorów, jakąś wieżę obserwacyjną odbijającą się czarną i smukłą sylwetką na tle oślepiająco jasnego nieba. Zewnętrzne mury bazy wiły się przez wąwozy i nagie grzbiety; wartownicy Ardazirho przemierzali je, niezrażeni suchym, okrutnym upałem, niebiesko-białym piekielnym blaskiem i potokami promieniowania ultrafioletowego. Głównie jednak forteca rozpościerała się we wnętrzu wzgórz, w długich wysoko sklepionych tunelach, gdzie buty stukały głośno o podłoże, a głosy odbijały się echem w pomieszczeniach przypominających jaskinie. Budowa przebiegała zgodnie ze standardowymi metodami prowadzenia prac ziemnych: obfite wykorzystanie energii atomowej do łączenia żywej skały w pożądane struktury, a potem szybka instalacja niezbędnych mechanizmów przez roboty. Lecz wygląd końcowy bazy był bardziej toporny, bardziej wymuszony i miał mniej prywatny charakter, niż pragnąłby tego człowiek

czy Merseianin. Przodkowie Ardazirho mieszkali w jaskiniach i polowali w sforach.

Flandry został zawleczony do niewielkiego pomieszczenia pełniącego funkcję laboratorium. Para wojowników unieruchomiła go. Zgarbiony technik zaczął przygotowywać przyrządy.

W okresie następnego dnia lub dwóch, Flandry często krzyczał. Nie mógł się powstrzymać. Uczenie elektroniczne nie powinno przebiegać tak szybko. Ale w końcu, chory i wstrząśnięty, potrafił warczeć w języku Urdahu. Rzeczywiście, pomyślał, Ardazirho byli dokładnie poinformowani. Rozumieli ludzki układ nerwowy tak dobrze, że potrafili w ciągu niewielkiej liczby godzin, wtłoczyć do niego nowy wzorzec językowy, nie doprowadzając przy tym jego właściciela do szaleństwa.

A przynajmniej, nie do końca.

Flandry’ego poprowadzono niekończącymi się, dudniącymi korytarzami. Ich jaskrawe, niebieskawe oświetlenie fluorescencyjne raniło mu oczy; musiał je nieustannie mrużyć. Mimo to pilnie obserwował wszystko, co mijał. Była to albo ciężarówka pełna amunicji, prowadzona z szaloną prędkością przez wojownika, który wykrzykiwał przekleństwa na napotkanych pieszych. Albo też pomieszczenie pełne nagich, postaci o rudym futrze: leżących w warkotliwej, kłótliwej wspólnocie; grających w czworościenne kości o stawki sięgające roku niewoli; oglądających mecz zapaśniczy, podczas którego używano zębów i pazurów; testujących swe nerwy, stając kolejno pod ścianą, podczas gdy reszta rzucała toporami. Albo mogło to być coś w rodzaju kaplicy, w której samotny poznaczony bliznami wojownik tarzał się w cuchnących liściach przed wielkim płonącym kołem. Albo była to mesa i grupa żołnierzy leżących na futrzanych dywanach, zajadających surowe mięso i wyjących w chórze z jednym, który walił pałkami na monstrualnym bębnie.

W końcu człowiek dotarł do odpowiedniego biura. To również była sztuczna jaskinia, z grubą warstwą słomy na podłodze, mrokiem w kątach, cienkim strumieniem wody spływającym rowkiem w jednej ze ścian. Na włochatym podwyższeniu leżał wielki Ardazirho, opierając się na łokciach przed pochyłym pulpitem. Nosił na sobie tylko spódnicę ze skórzanych pasków, krzywy nóż i zupełnie nowoczesny blaster. Znajdujący się przed nim teleekran i interkom również były nowe, a strażnicy Flandry’ego dotknęli w jego obecności swych czarnych nosów.

— Odejdźcie — powiedział w Urdahu. — Zaczekajcie na zewnątrz. — Strażnicy wykonali polecenie. Skinął na Flandry'ego. — Usiądź, jeśli chcesz.

Człowiek usiadł. Wciąż czul się słabo po tym, co przeszedł, był brudny, źle odżywiony i obdarty. Automatycznie przygładził włosy i podziękował ludzkiemu lenistwu za wynalezienie długotrwałego enzymu przeciw zarostowi. Potrzebował takich czynników podnoszących morale.

Jego obolałe mięśnie napięły się. Znów był w akcji.

— Jestem Svantozik z Janneer Ya — oznajmił szorstki głos. — Poinformowano mnie, że ty jesteś kapitan Dominic Flandry z terrańskiego wywiadu marynarki wojennej. Możesz uznać, że mój status jest mniej więcej taki sam.

— Jako kolega dla kolegi — wychrypiał Flandry, — dasz mi coś do picia?

— Jak najbardziej. — Svantozik wskazał gestem na artezyjski strumyk.

Flandry rzucił mu pełne wyrzutu spojrzenie, ale za bardzo potrzebował jeszcze innych rzeczy, by rozwodzić się nad tą.

— Byłoby uprzejmym uczynkiem i zasługującym na moją wdzięczność, gdybyś jak najszybciej zaopatrzył mnie w ciemne soczewki i papierosy. — Ostatnie słowo pochodziło z konieczności z anglica. Zdołał się uśmiechnąć. — Później powiem ci, jakie inne uprzejmości powinny być jeszcze zwyczajowo podjęte.

Svantozik wybuchnął śmiechem.

— Spodziewałem się, że oczy będą cię boleć — powiedział. — Proszę. — Sięgnął do biurka i rzucił mu parę zielonych gogli polaryzujących, niewątpliwie zdjętych z jakiegoś poległego Vixenity. Flandry założył je i odetchnął z ulgą. — Tytoń jest zabroniony — dodał Svantozik. — Tylko gatunek z na wpół martwymi narządami węchu jest w stanie go znieść.

— No cóż. Nie zaszkodziło zapytać. — Flandry objął kolana i oparł się plecami o ścianę jaskini.

— Nie. A teraz chciałbym ci pogratulować śmiałych wyczynów. — Uśmiech Svantozika wyglądał dosyć niepokojąco, lecz wydawał się przyjazny. — Szukaliśmy twojego statku, ale musiał uciec z planety.

— Dzięki za informację — odparł Flandry całkiem szczerze. — Obawiałem się, że dotrzecie do niego na tyle wcześnie, że zdążycie go rozwalić. — Przekrzywił głowę. — W zamian za to… posłuchaj mnie, mój przyjacielu [dosłownie: pomocy-w-mej-ślepocie], kiedy ma się do czynienia z moim gatunkiem, zwykle lepiej jest go zniechęcać. Powinieneś twierdzić, że przechwyciłeś moją łódź, zanim zdążyła uciec, tworząc fałszywe dowody, jeśli to konieczne, aby mnie co do tego przekonać. To sprawiłoby, że byłbym bardziej skłonny poddać się twojej woli.

— Doprawdy? — Svantozik nadstawił uszu. — U Czarnych Ludzi efekt byłby odwrotny. Dobre wieści odprężają nas, sprawiają, że jesteśmy wdzięczni i ulegli wobec ich przekaziciela. Złe wieści podnoszą współczynnik buntu.

— Oczywiście to nie takie proste — powiedział Flandry. — Najczęstszą techniką przełamywania oporu człowieka jest karcenie go przez dłuższy czas, a następnie zatrzymanie tego procesu, przemówienie do niego uprzejmie - najlepiej, aby zrobił to ktoś inny.

— Ach. — Svantozik opuścił powieki na zimno spoglądające oczy. — Czy nie jesteś nierozsądny, mówiąc mi o tym - jeśli to prawda?

— To podręcznikowa wiedza — stwierdził Flandry, — co z pewnością potwierdzi rasa, która poinstruowała was o faktach dotyczących Imperium Terrańskiego. Nie zdradzam żadnej tajemnicy. Ale jak zapewne wiesz, podręczniki mają niewielką wartość w sprawach praktycznych. Zawsze istnieją pewne subtelności danej jednostki, które wymykają się wszystkiemu poza bezpośrednią intuicją opartą na szerokim, osobistym doświadczeniu. A ty, nie będąc człowiekiem, nie możesz mieć takiego doświadczenia w odniesieniu do ludzi.

— To prawda. — Długi łeb skinął potwierdzająco. — Faktycznie, pamiętam, że czytałem o tych ludzkich cechach, o których wspominasz… ale przed Wielkim Polowaniem, na którym teraz jesteśmy, było tak wiele do nauczenia się, że wyleciało mi to z pamięci. A więc, kusisz mnie faktem, który powinienem wykorzystać - gdybym był po twojej stronie! — Nagły, głęboki chichot rozległ się w jego gardle. — Polubiłem cię, kapitanie, a niech mnie pożre Jaskinia Niebios.

Flandry odwzajemnił uśmiech.

— Moglibyśmy mieć dobrą zabawę. Ale jakie są teraz twoje zamiary wobec mnie?

— Dowiedzieć się, czego tylko zdołam. Na przykład, czy byłeś zamieszany w morderstwo czterech wojowników w Garth i porwanie piątego, nie tak dawno temu. Informatorka, która nas do ciebie doprowadziła, użyła histerii - prawdziwej lub symulowanej - aby uniknąć szczegółowego przesłuchania. Ponieważ schwytany Ardazirho był panem klanu, a zatem posiadał cenne informacje, podejrzewam więc, że maczałeś w tym swoje palce.

— Przysięgam na Złotego Osła Apulejusza, że nie.

— Co to jest?

— Jedna z naszych najbardziej szanowanych książek.

— Potężni polują tylko nocą — zacytował Svantozik. — Inaczej mówiąc, słowa są tanie. Osobiście nie chcę cię nadmiernie krzywdzić, bo i tak jestem sceptycznie nastawiony, co do wartości tortur. I wiem, że oficerowie tacy jak ty są uodpornieni na tak zwane serum prawdy. Dlatego konieczne byłoby ponowne przewarunkowanie: to długi, żmudny proces, zaś odpowiedzi, gdy w końcu zechcesz ich udzielić, będą już nieaktualne, a ty sam pozbawiony wartości zarówno dla nas, jak i dla siebie. — Wzruszył ramionami. — Lecz niedługo wracam na Ardazir, aby złożyć raport i czekać na zmianę przydziału. Wiem, kto mnie tu zastąpi: oficer bardzo pragnący przećwiczyć niektóre z technik, o których mówiono nam, że są skuteczne w stosunku do Terran. Zamiast tego sugerowałbym współpracę ze mną.

„To musi być jeden z ich najlepszych agentów polowych” — pomyślał Flandry, czując narastający chłód. — „Wykonał całą podstawową pracę wywiadowczą na Vixen. Teraz, gdy Vixen znalazło się w ich ręku, zostanie wysłany do wykonania tej samej pracy, kiedy zaatakowana zostanie następna planeta Terran. A stanie się to już niedługo!”

Flandry wyglądał na zrezygnowanego.

— No dobrze — oznajmił matowym tonem. — To ja schwytałem Temulaka.

— Ha! — Svantozik przysiadł na podwyższeniu na czterech łapach. Sierść wzdłuż kręgosłupa sterczała mu dęba, a oczy o barwie stali, płonęły. — Gdzie on teraz jest?

— Nie wiem. Na wszelki wypadek kazałem przenieść go gdzie indziej i nie pytałem o miejsce.

— Mądrze. — Svantozik odprężył się. — Czego się od niego dowiedziałeś?

— Niczego. Nie pękł.

Svantozik wpatrywał się we Flandry'ego.

— Wątpię w to — stwierdził w końcu. — Nie to, żebym pogardzał Temulakiem - to odważny człowiek - ale ty jesteś niezwykłym przedstawicielem cywilizacji starszej i bardziej uczonej niż moja. Byłoby dziwne, gdybyś nie… — powiedział.

Flandry usiadł sztywno wyprostowany. Jego śmiech zabrzmiał ostro.

— Niezwykłym? — zawołał z goryczą. — Pewnie tak… sposób, w jaki dałem się złapać - jak szczeniak!

— Żadna ziemia nie jest pozbawiona dołów o które można się potknąć — mruknął Svantozik. Przez chwilę rozmyślał. W końcu: — Dlaczego ta samica cię zdradziła? Poszła do naszej kwatery głównej, oświadczyła, że jesteś terrańskim agentem i zaprowadziła naszych wojowników na miejsce spotkania. Co chciała zyskać?

— Nie wiem — wyjęczał Flandry. — Co za różnica? Wiesz, że ona jest teraz całkowicie w twoich rękach. Sam fakt, że raz ci pomogła, daje ci moc, aby zmusić ją do tego ponownie - w przeciwnym razie potępisz ją przed jej własnymi rodakami. — Svantozik skinął głową, uśmiechając się. — Jakie znaczenie mają jej pierwotne motywy? — Człowiek odchylił się do tyłu i zaczął skubał słomę.

— Po prostu, interesuje mnie to — odparł Svantozik. — Być może ten sam sposób postępowania zadziała ponownie na innych ludziach.

— Nie. — Flandry pokręcił głową jakby w oszołomieniu. — To była sprawa osobista. Przypuszczam, że uważała, iż to ja ją zdradziłem jako pierwszy… Dlaczego ci to w ogóle mówię?

— Zostałem poinformowany, że wy, Terranie, często żywicie silne uczucia do osobników płci przeciwnej — powiedział Svantozik. — Powiedziano mi, że czasami doprowadza was to do desperackich, bezsensownych czynów.

Flandry przesunął zmęczoną dłonią po czole.

— Zapomnij o tym — wymamrotał. — Po prostu bądź dla niej miły. Tyle chyba możesz zrobić, co?

— Prawdę mówiąc… — Svantozik urwał. Siedział przez chwilę, wpatrując się w pustkę.

— Wielkie nienarodzone planety! — wyszeptał.

— Co? — Flandry nie uniósł wzroku.

— Nieważne — powiedział Svantozik pośpiesznie. — Czy słusznie zakładam, że z twojej strony jej uczucie było odwzajemnione?

— To nie twoja sprawa! — Flandry usiadł prosto i krzyknął. — Nie będę więcej tego słuchał! Mów co chcesz, ale trzymaj swój brudny nos z dala od mojego życia!

— A więc — odetchnął Svantozik. — Tak-k-k-k… W takim razie porozmawiajmy o innych sprawach.

Chwilę poboksował Flandry'ego, ale nie z taką bezwzględnością, jaką człowiek okazał Temulakowi. Wręcz przeciwnie, przejawiał pewien rodzaj rycerskości: był w nim szacunek, współczucie, a nawet wyraźna sympatia dla człowieka, na którego duszę polował. Raz czy dwa Flandry’emu udało się odwrócić uwagę od głównego tematu rozmowy - rozprawiali krótko o napojach alkoholowych i ujeżdżaniu zwierząt; wymienili kilka niestosownych żartów, podobnych w obu kulturach.

Niemniej jednak, Svantozik polował. To było kilka ciężkich godzin.

W końcu Flandry został wyprowadzony. Był za bardzo zmęczony, aby wiele zauważyć, lecz trasa wydawała się okrężna. W końcu wepchnięto go do pomieszczenia, które nie różniło się niczym od biura Svantozika, z tą różnicą, że znajdowały się w nim ludzkie meble oraz światło. Drzwi zatrzasnęły się za nim.

Stała tam Kit, czekając na niego.

XIII

Przez chwilę myślał, że dziewczyna zacznie krzyczeć. Potem, bardzo szybko, jej oczy zamknęły się. Otworzyła je ponownie. Pozostawały suche, jakby zapas jej łez uległ już wyczerpaniu. Zrobiła krok w jego stronę.

— O Boże, Kit — wykrztusił.

Jej ręce zamknęły się w uścisku wokół jego szyi. Przytulił ją do siebie. Wzrok Flandry'ego błądził po pokoju, aż natrafił na małe, pudełko wytworzone przez ludzi, z kilkoma kontrolkami, które rozpoznał. Kiwnął lekusieńko głową do siebie samego i wziął nierówny oddech. Lecz wciąż nie był pewny.

— Dominic, kochanie — usta Kit odnalazły jego wargi.

Podszedł do pryczy, usiadł i zakrył twarz.

— Nie — wyszeptał. — Nie zniosę już więcej.

Dziewczyna usiadła obok niego. Położyła mu głowę na ramieniu. Czuł, jak drży. Ale jej słowa zabrzmiały niesamowicie nie na temat:

— To urządzenie zakłócające podsłuch jest absolutnie idealne, Dominicu.

Miał ochotę odchylić głowę do tyłu i ryknąć nagłym, radosnym śmiechem. Miał ochotę zatańczyć z przytupem, zagrać na nosie i zacząć wywijać salta przez całą długość celi. Powstrzymał się jednak, pozwalając jedynie, by z ust, które skrył pod jej policzkiem wydobył się cichutki śmiech.

Był bardziej niż pewny, że Svantozik da jej zakłócacz podsłuchu. Nawet początkujący agent wywiadu mógłby się odprężyć i swobodnie rozmawiać, wyłącznie mając pewność, że wszelkie urządzenia podsłuchowe są zagłuszane przez zakłócenia elektroniczne i akustyczne. Podejrzewał jednak, że jakaś ukryta kamera przekazuje niemy obraz. Mogli więc rozmawiać, lecz musieli kontynuować pantomimę.

— Jak było, Kit? — zapytał. — Ciężko?

Przytaknęła, swoim zachowaniem kompletnie nie zdradzając przepełniającej ją niedoli.

— Ale nie musiałam podawać żadnych nazwisk — wyszeptała. — Jeszcze nie.

— Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie — pocieszał ją Flandry.

Jak powiedział jej w piwnicy, schronie przeciwko huraganom – ile to już wieków temu?... „To rozpaczliwe zagranie. Nie mam zamiaru robić tego, co zrobiłby każdy kompetentny tajny agent, i czego spróbują ludzie Waltona, zaraz gdy tylko uda mu się ich tu przemycić. Ja mam na myśli coś znacznie bardziej szalonego. Wielce prawdopodobne, że nas to zabije, ale może też zadać nieprzyjacielowi cios wart całej floty. Wchodzisz w to,

mała? To oznacza ryzyko śmierci, tortur lub dożywotniej niewoli na obcej planecie. Najgorsze jest jednak ryzyko, że będziesz musiała sprzedać własnych towarzyszy, wydać ich wrogowi, by nie stracił do ciebie zaufania. Czy jesteś na tyle dzielna, aby poświęcić dwadzieścia istnień ludzkich dla jednej planety? Wierzę, że tak, ale to najokrutniejsza rzecz, o jaką mógłbym prosić jakąkolwiek żywą istotę."

— Przyprowadzili mnie prosto tutaj — powiedziała Kit, obejmując go. — Chyba nie do końca wiedzą, co ze mną zrobić. Kilka minut temu jeden z nich przybiegł tu z zakłócaczem i kazał mi potraktować cię… — na jej twarz powoli wypłynął rumieniec — …miło. Wyciągnąć od ciebie wszystkie informacje, jakie się uda, za pomocą dowolnych środków, które uznam za stosowne.

Flandry zaczął wymachiwać pięścią w melodramatycznej rozpaczy, podczas gdy z jego wykrzywionych ust, wydobywały się spokojne słowa:

— Spodziewałem się czegoś takiego. Sprawiłem, że Svantozik, herszt miejscowych szpiegów, pomyślał sobie, że łagodne potraktowanie przez kogoś z mojego gatunku, po ostrym grillowaniu urządzonym przez niego, mogłoby mnie złamać. Zwłaszcza jeśli chodziłoby tu o ciebie. Svantozik z pewnością nie jest głupi, ale ma do czynienia z obcą sobie rasą, której psychologię zna głównie z pobieżnych relacji z drugiej ręki. Mam tu nad nim znaczną przewagę: Ardazirho są dla mnie czymś nowym, ale przez całe życie miałem do czynienia z innymi gatunkami, o różnych kształtach i rozmiarach. Już teraz widzę, że Ardazirho mają sporo wspólnego z kilkoma ludami, z którymi miałam do czynienia w przeszłości.

Dziewczyna przygryzła wargę, aby nie zaczęła jej za bardzo drżeć. Rozejrzała się po pomieszczeniu o kamiennych ścianach, i zdawał sobie sprawę, że pomyślała o kilometrach tuneli, wałach i działach twierdzy, wilczych łowcach i pustyni, na której ludzie nie byli w stanie przeżyć. Jej słowa były rozedrgane i przerażone:

— Co teraz zrobimy, Dominicu? Nigdy mi nie mówiłeś, co planujesz.

— Ponieważ tego nie wiedziałem — odpowiedział. — Kiedy znalazłem się tutaj, musiałem improwizować. Na szczęście moja wiara w to, że zawsze uda mi się spaść na cztery łapy, zbliża się do poziomu czystej zarozumiałości, a przynajmniej byłoby tak, gdybym miał jakikolwiek wady. Nie idzie nam źle, Kit. Nauczyłem się ich podstawowego języka, a ciebie udało się przemycić w ich szeregi.

— Jeszcze mi nie ufają.

— Nie. I wcale się nie spodziewałem, że będą ci ufać – a przynajmniej jakoś bardzo mocno… Na razie kontynuujmy nasze przedstawienie wizualne. Nie przeszedłbym na stronę wroga tylko z tego powodu, że ty się tu znalazłaś, Kit, ale przeżyłem ogromny wstrząs, i przez to stałem się niedyskretny i utraciłem swą zwykłą ostrożność. Svantozik to zaakceptuje.

Przyciągnął ją do siebie. Odpowiedziała mu łapczywie. Poczuł, że do jego znękanej głowy wraca wiele z niego samego, że jego mózg zaczyna iskrzyć, rzucając pomysłami i sprawdzając je, następnie odrzucając stare i generując nowe, jak w jakimś pokazie pirotechnicznym, jak w szalonym piekiełku.

W końcu powiedział, podczas gdy ona drżała na jego kolanach:

— Chyba mam pewien pomysł. Będziemy musieli grać tak, jak nam pozwolą okoliczności, i przygotować kilka sygnałów, ale oto właśnie, czego spróbujemy. — Poczuł, jak dziewczyna sztywnieje w jego ramionach. — O co chodzi?

Zapytała cicho i gorzko:

— Myślałeś o pracy... przez cały ten czas?

— Nie tylko o niej. — Pozwolił sobie na króciutki uśmiech. — Albo raczej, moja praca niezmiernie mnie cieszy.

— Ale i tak... nieważne. Mów dalej. — Przygarbiła się.

Flandry skrzywił się. Ale nie odważył się przerywać, aby zejść na kwestie poboczne. Kontynuował więc:

— Powiedz Svantozikowi, czy też komukolwiek, kto się tobą zajmuje, że w mojej obecności udawałaś skruszoną, ale tak naprawdę nienawidzisz mojego wnętrza, a także generalnie mnie całego, z powodu...

— Judith! — warknęła.

Miał przynajmniej na tyle przyzwoitości, by się zarumienić.

— Przypuszczam, że to równie wiarygodny powód jak każdy inny, przynajmniej w oczach Ardazirho.

— Albo ludzi. Gdybyś wiedział, jak blisko byłam... Nie. Mów dalej.

— Powiedz wrogom, że zdradziłeś mnie w przypływie złości, a teraz bardzo tego żałujesz. A ja, będąc w tobie szaleńczo zakochany - co znowu jest dosyć wiarygodne — w żaden sposób nie zareagowała na jego banalną galanterię — powiedziałem ci, że istnieje możliwa droga ucieczki dla ciebie. Mówiłem ci tak: Ardazirho są przekonani, że za nimi stoi Ymir. W rzeczywistości Ymir skłania się raczej ku Terrze, ponieważ jesteśmy bardziej pokojowo nastawieni, a przez to mniej kłopotliwi. Ymiryci skłonni są pomagać nam w drobnych sprawach; utrzymujemy ten fakt w tajemnicy, ponieważ od czasu do czasu ratuje nas to w sytuacjach kryzysowych. Gdybym tylko zdołał ustawić sygnał statku kosmicznego na określony wzorzec rozpoznawczy, mogłabyś spróbować ukraść ten statek. Ardazirho założyliby, że kierujesz się do floty Waltona i ruszyliby za tobą w tamtą stronę. Mogłabyś więc umknąć przed ich pościgiem, dotrzeć do Ogre'a, przesłać sygnał z wzorcem i poprosić o transport w bezpieczne miejsce statkiem z bańką pola siłowego.

Oczy rozszerzyły się jej z przerażenia.

— Ale jeśli Svantozik to usłyszy... a to przecież nieprawda...

— Nie dowie się, że to nieprawda, dopóki nie spróbuje tego zrobić, co nie? — odpowiedział jej wesołym tonem Flandry. — A poza tym, jeśli kłamałem, to nie twoja wina. Tak naprawdę, to skoro pośpieszyłaś do niego z donosem, nawet na temat czegoś, co wydawało się dla ciebie sposobem na ucieczkę, przekona go to, że jesteś rzeczywiście zdecydowana na kolaborację z nimi.

— Ale... nie, Dominicu. To... Nie ośmielę się...

— Nie opowiadaj mi takich bzdur, Kit. Jesteś fenomenalną dziewczyną i nie ma rzeczy, na którą byś się nie odważyła.

Wtedy zaczęła szlochać.

Gdy odeszła, Flandry spędził znacznie mniej radosne chwile, czekając. Wciąż mógł tylko zgadywać, jak zareaguje wróg: doświadczony człowiek

prawdopodobnie nie dałby się oszukać, zaś ignorancja Svantozika na temat ludzkiej psychologii mogła wcale nie być aż tak głęboka, jak się spodziewał. Flandry zaklął i spróbował odpocząć. Zmęczenie ostatnimi dniami dawało mu się już we znaki.

Kiedy drzwi jego celi otworzyły się, poderwał się z szarpnięciem, które zdradziło mu, w jak kiepskim stanie są jego nerwy.

W wejściu stał Svantozik, a za nim czterech strażników. Oficer Ardazirho błysnął zębami w uśmiechu.

— Dobrego polowania, drogi kapitanie — przywitał się. — Czy twoja jama jest wygodna?

— Ujdzie — odparł Flandry — dopóki nie zdobędę czegoś z pudełkiem cygar, butelką whisky i kobietą.

— Przynajmniej kobietę starałem się zapewnić — odciął się Svantozik.

Flandry dodał swoim najsurowszym tonem:

— A tak, chciałbym też dywan ze skóry Ardazirho.

Jeden ze strażników warknął. Svantozik zachichotał.

— Ja również muszę prosić o przysługę, drogi kapitanie — powiedział. — Moi bracia z działu inżynieryjnego są zainteresowani zmodyfikowaniem paru statków kosmicznych tak, by były łatwiejsze w obsłudze przez ludzi. Rozumiesz, jak różnice, takie jak umiejscowienie kciuka czy budowa lędźwi, sprawiająca, że wygodniej nam jest leżeć opierając się na łokciach, niż siedzieć, wpłynęły na projekt naszych pulpitów ze sterami. Człowiek miałby trudności ze sterowaniem statkiem Ardazirho. Jednak z biegiem czasu, jeśli Wielkie Polowanie zakończy się sukcesem i pozyskamy ludzkich poddanych - zdarzą się okazje, by niektórzy z nich pilotowali jakieś nasze pojazdy. Na przykład samica Kittredge mogłaby mieć własny statek, ponieważ spodziewamy się, że będzie przydatna jako pośrednik między nami a ludzkimi kolonistami. Gdybyś jej pomógł - po prostu sprawdzając jeden z naszych statków i przygotowując sugestie…

Flandry zesztywniał.

— Dlaczego miałbym wam w ogóle pomagać? — wycedził przez zaciśnięte zęby.

Svantozik wzruszył ramionami.

— To bardzo niewielka pomoc. Moglibyśmy zrobić to sami. Ale może ci to umilić czas. — Rzucił złośliwie: — Wcale nie jestem pewien, czy dobre traktowanie, jest na pewno lepszym sposobem na złamanie człowieka, niż znęcanie się nad nim. Poza tym, drogi kapitanie, jeśli mogę podpowiedzieć jakieś usprawiedliwienie dla duszy, to proszę pomyśleć: oto szansa na przyjrzenie się z bliska jednemu z naszych statków. Jeśli później w jakiś sposób udałoby ci się uciec, twoja Służba będzie bardzo zainteresowana tym, co zobaczysz.

Flandry przez chwilę stał w kompletnym milczeniu. Myśli galopowały mu przez głowę: „Kit sprzedała im moją historyjkę. Svantozik naturalnie woli, żebym nie wiedział, co im przekazała. Wymyślił więc tę propozycję - oferując mi to, co, jak ma nadzieję, uznam za świetną okazję do zaaranżowania ucieczki Kit…”

Zaś na głos powiedział, wytwornie:

— Jest pan bardzo uprzejmy, mój drogi przyjacielu z Janneer Ya. Ale panna Kittredge i ja nie czulibyśmy się swobodnie, kiedy tacy paskudni strażnicy jak wy, ślinili się nam nad ramionami.

Tym razem warknęło na niego aż dwóch wojowników. Svantozik uciszył ich.

— Łatwo temu zaradzić — oznajmił. — Strażnicy mogą trzymać się z dala od wieżyczki sterowniczej.

— Doskonale. W takim razie, jeśli macie jakieś ludzkie narzędzia…

Ruszyli pustymi korytarzami, koło stanowisk, w których artyleria drzemała jak dinozaury w gniazdach, następnie wyszli na zewnątrz, na blask gwałtownego arktycznego dnia, docierając w końcu do statku kosmicznego, spoczywającego w pobliżu jednej z wyrzutni. Człowiek przyjrzał się przez gogle jego lśniącemu kształtowi. Mniej więcej odpowiednik terrańskiej klasy *Comet*. Szybki, lekko uzbrojony, z około piętnastoosobową załogą, ale w razie potrzeby mógłby sobie dać z nim radę jeden człowiek.

Nagie wzgórza za nimi falowały w upale. Kiedy przeszedł przez śluzę powietrzną, poczuł zawroty głowy z powodu tej krótkiej ekspozycji na warunki zewnętrzne.

Svantozik zatrzymał się przy wejściu na wieżyczkę.

— Nie przeszkadzaj sobie — zaprosił serdecznie. — Moi wojownicy poczekają tutaj, aż zechcecie wrócić - wtedy ty i kobieta zjecie ze mną kolację, a ja dostarczę wam terrańskie przysmaki. — W jego oczach pojawił się uśmiech. — Oczywiście, silniki zostały chwilowo odłączone.

— Oczywiście — skłonił się Flandry.

Kit spotkała się z nim, gdy zamykał drzwi wieżyczki. Jej palce zacisnęły mu się na ramieniu.

— Co teraz zrobimy? — wyszeptała.

— Spokojnie, dziewczyno. — Odsunął się od niej. — Nie widzę tu żadnego zakłócacza podsłuchu. Pamiętaj, Svantozik myśli, że ja uważam cię ciągle za lojalną wobec mnie. Graj swoją rolę, Kit, nie zapomnij się, albo oboje będziemy skończeni! Na dole siedzi czterech gburowato wyglądających strażników — mówił dalej. — Nie sądzę, aby Svantozik marnował swój cenny czas w ich towarzystwie. Bardziej efektywny będzie bezpośredni podsłuch w biurze osoby, która zna anglic. Przyjmij, że wykonałem obsceniczny gest w twoją stronę, o moja wielka, niewidzialna publiczności. Ale wiesz może, czy ktoś jeszcze jest na pokładzie?

— N-nie. — Jej oczy pytały go ze strachem: Zapomniałeś? Czy chcesz zdradzić im swój plan?

Flandry przeszedł obok stołu nawigacyjnego do głównego nadajnika radiowego.

— Nie chcę ryzykować, że ktoś zacznie się czepiać — wymamrotał. — Widzisz, najpierw chciałbym rzucić okiem ich system łączności. Jego najłatwiej będzie zmodyfikować, gdyby zaszła taka potrzeba. Mogłoby to źle wyglądać, gdybyśmy zostali zaskoczeni podczas czegoś, co jest w zasadzie jedynie nieszkodliwą inspekcją.

„Mam nadzieję” — pomyślał z diabelskim śmiechem, — „że oni nie wiedzą, że ja wiem, że oni wiedzą, że jestem tu by zainstalować obwód z hasłem dla Kit.”

To był ten rodzaj gry, jaki uwielbiał. Przypomniał sobie jednak, z zimnym dreszczem, że pocisk był ciągle ostatecznym, prościutkim środkiem, który przerywał najbardziej nawet skomplikowane gry.

Zdjął pokrywę i zaczął badać urządzenie. Nie mógł tak po prostu podać Kit częstotliwości i kształtów fal w sygnale rozpoznawczym, ponieważ sprzęt Ardazirho nie był zbudowany w taki sam sposób jak terrański, ani skalibrowany w jednostkach metrycznych. Musiał przebadać rzeczywisty zestaw, zdemontować pewne części, przetestować je za pomocą oscyloskopu i mierników zakłóceń - i skrycie zmodyfikować je tak, aby po załączeniu pojedynczego ukrytego obwodu emitowany był wymagany wzorzec.

Obserwowała go, tak jak powinna to robić, jeśli spodziewała się, że on faktycznie sądzi, iż to umożliwi jej ucieczkę. I bez wątpienia szpieg Ardazirho również obserwował ją na ekranie. Kiedy zadanie Flandry'ego zostanie wykonane, to Svantozik zabierze statek na Ogre, wygeneruje sygnał i zobaczy, co się stanie.

Ponieważ kwestia tego, po czyjej stronie naprawdę było Rozproszenie Ymirytów, była ważniejsza od wszystkiego innego. Jeśli Flandry mówił Kit prawdę, władcy Urdahu musieli zostać o tym poinformowani bez chwili zwłoki.

Człowiek kontynuował swą pracę, układając w myślach wzorzec i zastanawiając się, jak miło byłoby, gdyby Ymir naprawdę sprzyjał Terrze. Pół godziny później zamknął z powrotem urządzenie. Następnie spędził kolejną godzinę, ostentacyjnie przechadzając się po wieżyczce i badając wszystkie elementy sterowania.

— No cóż — oznajmił w końcu — chyba możemy już wracać do domu, Kit.

Widział, jak kolory znikają z jej twarzy. Wiedziała, co oznacza to zdanie. Ale skinęła głową.

— Chodźmy — szepnęła.

Flandry wyprowadził ją przez drzwi. Gdy schodziła zejściówką, strażnicy u jej podstawy, wstali. Wycelowali broń obok niej, na Flandry'ego, który kroczył z tygrysim spokojem.

Kit przepchnęła się przez linię strażników. Flandry, wciąż na zejściówce, szarpnął ręką za kieszeń. Cztery karabiny natychmiast podskoczyły i skupiły się na nim. Roześmiał się i uniósł puste ręce.

— Chciałem się tylko podrapać — zawołał.

Kit wyciągnęła nóż zza uprzęży jednego ze strażników i pchnęła go w żebra.

Flandry wyskoczył w powietrze. Wyładowanie z karabinu przeleciało tuż koło niego, przypalając mu tunikę. Uderzył zgiętymi kolanami o pokład i odbił się od niego. Kit zdążyła w tym czasie wyrwać karabin wrzeszczącemu wojownikowi, którego wcześniej zraniła. Zahuczał w jej dłoniach. Kolejny Ardazirho upadł. Flandry odtrącił na bok broń trzeciego. Czwarty z nieprzyjaciół rzucił się w stronę Kit. Był odwrócony plecami do

Flandry'ego. Kapitan uniósł kant dłoni i uderzył nim w podstawę czaszki Ardazirho. Usłyszał, jak pękają kości jego szyi. Trzeci ze strażników odskoczył do tyłu, szukając miejsca do strzału. Kit zastrzeliła go. Pierwszy z Ardazirho, ten pchnięty nożem, klęcząc, sięgnął ręką po upuszczony karabin. Flandry kopnął go w krtań.

— Szalupa ratunkowa na sterburcie! — wydyszał.

Wpadł z powrotem do wieżyczki. Jeśli obserwator Ardazirho opuścił już ekran na którym ich inwigilował, miał kilka minut czasu. W przeciwnym razie pocisk nuklearny prawdopodobnie zafunduje mu prywatny dzień zagłady. Chwycił podręcznik nawigatora i ponownie wyskoczył na zewnątrz.

Kit była już w łodzi ratunkowej. Mały silnik mruczał, rozgrzewając się. Flandry przeleciał przez śluzę i zatrzasnął za sobą jej właz.

— Ja polecę — wysapał. — Jestem bardziej przyzwyczajony do paneli sterów, innych niż terrańskie. Sprawdź, czy znajdziesz jakiś sprzęt ewakuacyjny. Będziemy go potrzebować.

Gdzie do diabła był przełącznik zwalniający szalupę? Obserwator, który ich inwigilował, najwyraźniej poszedł sobie w porę, ale lada chwila zacznie się zastanawiać, dlaczego Flandry i reszta grupy nie wyszli jeszcze ze statku kosmicznego…

Jest! Nacisnął dźwignię. Otaczający ich panel kadłuba otworzył się. Ostre światło słoneczne buchnęło z ekranu stateczku. Flandry obrzucił wzrokiem przyrządy sterujące. Zasadniczo podobne do tych, którym właśnie się przyjrzał we wieżyczce. Dotknął przycisku startu. Silnik zawył. Łódź wyskoczyła ze statku-matki, strzelając w niebo.

Flandry skierował się na południe. Widział, jak twierdza zawrotnie wiruje i znika za horyzontem. I wciąż żadnego pościgu, nawet pocisku naprowadzanego. Musieli być zbyt mocno oszołomieni. To oczywiście nie potrwa długo… Odrzucił głowę do tyłu i wykrzyczał cały swój skumulowany śmiech, którego potężne tony wypełniły kabinę i odbiły się echem wśród wrzasku rozcinanej atmosfery.

— Co ty wyprawiasz? — Głos Kit był niewyraźny z rozgorączkowania. — Tym kursem nie uciekniemy. Kieruj się w przestrzeń kosmiczną, zanim nas zniszczą!

Flandry przetarł oczy.

— Wybacz mi — odparł. — Śmiałem się, póki mogłem. — Dodał otrzeźwiająco: — Mając przed sobą blokadę i dysponując powolnym statkiem, który nie został zaprojektowany do sterowania przez ludzi, nie pokonamy nawet 10 000 kilometrów, zanim nas przygwożdżą. Musimy z niej wyskoczyć i pozwolić lecieć łodzi dalej na automatyce. Przy odrobinie szczęścia będą ją gonić tak długo, że nie dadzą rady nas złapać. Przy jeszcze większym szczęściu zniszczą łódź i założą, że my też zostaliśmy zabici.

— Wyskoczyć? — Kit popatrzyła w dół na rozciągającą się pod nimi krainę kamieni i rozwiewanego popiołu. Niebo nad nią przypominało roztopioną stal. — W to? — wyszeptała.

— Jeśli zorientują się, że wyskoczyliśmy — powiedział Flandry — sądzę, że dojdą do wniosku, iż zginęliśmy na pustyni. Jestem pewien, że

to naturalny wniosek, skoro nasze nogi nie są na tyle sprawne, byśmy mogli nosić skafandry Ardazirho. — Przybrał tak ponurą minę, jakiej jeszcze u niego nie widziała. — Przez cały czas musiałem improwizować. Prawdopodobnie popełniłem błędy, Kit, które mogą nas kosztować bolesną śmierć. Ale jeśli tak się stanie, to mam nadzieję, że nie zginiemy na próżno.

XIV

Nawet lecąc w dół, na repulsorze grawitacyjnym, Flandry czuł, jak powietrze smaga go gorącem. Kiedy uderzył o ziemię i przewrócił się, parzyła go ona w skórę.

Podniósł się, już chory. Przez gogle zobaczył, że Kit również wstaje. Zasłaniała ją mgiełka pyłu, niesionego przez gorący jak żar z pieca wiatr. Przez kilka kilometrów za nią pustynia rozciągała się przez wyschniętą ziemię i kościste skały, a potem gorąca mgła przesłaniała widok. Północny horyzont wydawał się wręcz rozpalony, niemożliwy do zbadania wzrokiem.

Od strony opuszczonej łodzi ratunkowej rozległ się grzmot. Flandry potykając się podszedł do dziewczyny. Oparła się o niego.

— Bardzo mi przykro — powiedziała. — Chyba skręciłam kostkę.

— Widzę, że też ją poparzyłaś. Chodźmy, to niedaleko.

Przedzierali się przez zwały szarych głazów. Wieża kontroli pogody falowała im przed oczyma, jakby widziana przez wodę. Wiatr palił i jęczał. Flandry poczuł, jak skóra piecze go od ultrafioletu i wysycha, w miarę dalszego marszu. Ciepło zaczęło przenikać nawet przez buty.

Byli już prawie na stacji, gdy powietrze przeciął przeszywający gwizd. Flandry uniósł obolałe oczy. Nad nimi przeleciały cztery torpedy, w kilka sekund dolatując do horyzontu. To Ardazirho w pogoni za pustą szalupą ratunkową. Gdyby zobaczyli ludzi w dole… Nie. Już ich nie było. Flandry próbował się uśmiechnąć, ale wykrzywienie ust sprawiało zbyt wiele bólu.

Wyposażenie stacji znajdowało się w betonowym baraku pod wieżą nadajnika radiowego. Cień, kiedy przeszli przez drzwi, był dla nich jak nadzieja na niebo. Flandry odkorkował butelkę z wodą. To było wszystko, co odważył się zabrać ze statku kosmicznego; jedzenie obcych mogło zawierać jakieś niekompatybilne białka. Jego gardło za bardzo przypominało przełyk mumii, by był w stanie coś powiedzieć, ale podał Kit butelkę, a ona pociągnęła z niej, spragniona. Kiedy i on wziął łyk wody, poczuł się trochę lepiej.

— Bierz się do roboty, dziewucho — powiedział. — Czy to nie szczęście, że pracowałaś w dziale inżynierii pogodowej Vixen, więc wiedziałaś, gdzie znaleźć stację i co robić, gdy tu dotrzemy?

— Gadaj zdrów — próbowała się roześmiać. Trochę grzechotało jej w ustach. — Zbudowałeś swój pomysł na dostarczonych przeze mnie danych. Pomyślmy teraz, narzędzia trzymają w szafce przy każdej jednostce… — przerwała. Cień w szopie był tak głęboki, w kontraście do szaleńczego blasku wpadającego przez jedno małe okienko, że prawie nie mógł jej dostrzec. — Bez trudu mogę trochę pogrzebać przy nadajniku — powiedziała. W jej głosie słychać było budzący się powoli strach. — Jasne,

jestem w stanie sprawić, że zamiast telemetrycznych danych pogodowych nadamy twoją wiadomość. Ale… dopiero teraz przyszło mi to do głowy… może odbiorą ją Ardazirho? A może nikt jej nie odbierze? Nie wiem, czy obecnie moja służba w ogóle jeszcze działa. Możemy tu czekać i czekać, i czekać…

— Spokojnie. — Flandry stanął za nią, położył jej dłonie na ramionach i zacisnął lekko palce. — Wszystko jest możliwe. Uważam jednak, że szanse są na naszą korzyść. Ardazirho nie mogą marnować ludzi na coś tak rutynowego i nieistotnego dla nich, jak korygowanie pogody. Jednocześnie inżynierowie-ludzie najprawdopodobniej nadal pracują. Ludzkość zawsze stara się w jak największym zakresie działać według utartych schematów, ludzie zgłaszają się do swojej zwykłej pracy, wokół może panować piekło, ale każdy trawnik w mieście musi być skoszony… Prawdziwe ryzyko naszego planu polega na tym, czy ten kto zauważy nasze wezwanie, będzie miał na tyle rozumu, odwagi i lojalności, aby na nie zareagować.

Przytuliła się na chwilę do niego.

— Myślisz, że jest jakiś sposób na to, by wydostać nas stąd pod nosem nieprzyjaciela?

Jego duszę przeszył dziwny ból.

— Wiem, że to niesprawiedliwe, Kit — powiedział. — Osobiście jestem zatwardziałym grzesznikiem, przy tym to wszystko to moja praca i tak dalej, ale narażać te wszystkie radości, porywy serca i dokonania, które na ciebie czekają, to nie w porządku. Trzeba to było jednak zrobić. Największą nadzieją jaką w ogóle mogłem mieć, była kradzież ich podręcznika nawigacji. Czy nie rozumiesz, że on nam wyjawi, gdzie leży Ardazir!

— Wiem. — Jej westchnienie było cichutkie, niemal zatonęło w szumie suchego, gorącego wiatru za drzwiami. — Lepiej zabierzmy się do pracy.

Podczas gdy ona włączyła nadajnik i odłączała obwody mierników, Flandry nagrał wiadomość: prostą prośbę o skontaktowanie się z Emilem Brycem i zorganizowanie akcji ratunkowej ze Stacji 938 dla dwójki ludzi posiadających istotne materiały dla admirała Waltona. Sam nie miał pojęcia, jak można by to zrobić. Pojazd powietrzny Vixenitów miał niewielkie szanse na dotarcie tak daleko na północ, unikając wykrycia i zniszczenia. Wiadomość radiowa - nie, była zbyt łatwa do przechwycenia, chyba że miałoby się do dyspozycji bardzo specjalną aparaturę… Kurier do floty - a jeśli jeden zostanie utracony, kolejny i kolejny…

Kiedy skończyła, Kit sięgnęła po drugą butelkę wody.

— Lepiej nie — powiedział Flandry. — Czeka nas długie oczekiwanie.

— Jestem odwodniona — wychrypiała.

— Ja też. Ale nie mamy soli; udar cieplny to realne zagrożenie. Picie tak mało, jak to tylko możliwe, wydłuży nasz czas przeżycia. Dlaczego, do diabła, te stacje nie są klimatyzowane i zaopatrzone w racje żywnościowe?

— Nie ma takiej potrzeby. One przechodzą tylko rutynową inspekcję… wtedy gdy w tych stronach panuje środek zimy.

Kit usiadła na małej ławce. Flandry dołączył do niej. Oparła mu się o ramię. Dziki podmuch zatrząsł ścianami szopy, okno na chwilę pociemniało od przelatującego piasku.

— Czy Ardazir też taki jest? — zastanawiała się. — W takim razie to prawdziwe piekło, odpowiednie dla tych diabłów.

— Och, nie — odparł Flandry. — Temulak wspominał, że ich planeta ma rozsądną orbitę. Bez wątpienia przeciętnie jest tam cieplej niż na Terrze, ale jestem pewien, że wytrzymalibyśmy temperaturę w większości jej stref klimatycznych. Gorąca gwiazda, emitująca silne promieniowanie UV, rozbija cząsteczki wody i wyrzuca wolny wodór w przestrzeń kosmiczną, zanim zdążą one się ponownie połączyć. Warstwa ozonowa mogłaby stanowić pewną ochronę dla hydrosfery, lecz niewystarczającą. Tak więc Ardazir musi być znacznie bardziej suchy niż Terra, mieć morza zamiast oceanów. Jednocześnie, sądząc po sile mięśni jego mieszkańców, a także fakcie, że nie przeszkadza im ciśnienie powietrza na Vixen, Ardazir musi być także nieco większy. Grawitacja powierzchniowa może tam wynosić jeden i pięć dziesiątych ziemskiej. To pozwoliłoby na utrzymanie atmosfery podobnej do naszej, pomimo oddziaływania słońca.

Zrobił krótką przerwę. Następnie podjął wątek:

— To nie są żadne diabły, Kit. To wojownicy i myśliwi. Możliwe, że mają trochę mniej wrodzonej życzliwości, niż nasz gatunek. Ale nawet tego nie jestem pewien. Kilka wieków temu my też byliśmy dosyć hałaśliwi. Być może znów będziemy, kiedy nadejdzie Długa Noc i trzeba będzie zapuścić gdzieś korzenie albo zginąć. Tak naprawdę Ardazirho nie są nawet jednym ludem. To cała planeta pełna rozmaitych ras i kultur. Urdahu podbili resztę planety zaledwie kilka lat temu. To dlatego możemy oglądać na nich te wszystkie różne stroje - ustępstwo na rzecz lokalnych partykularyzmów, jak w dawnych regimentach Highlanderów. I założyłbym się, że pomimo wszystkich swoich sukcesów, Urdahu nie są u siebie zbytnio lubiani. To bardzo świeże imperium, narzucone innym przez przytłaczającą siłę; można by je ponownie podzielić, gdybyśmy użyli odpowiednich narzędzi. Prawie mi ich żal, Kit. Są ofiarami kogoś innego - i Panie, co to za gracz! Co za geniusz!

Przerwał, bo nieustępliwe gorąco i brak wilgoci, wysuszyły mu przełyk. Dziewczyna powiedziała cicho i z wyraźną goryczą:

— Mów tak dalej. Współczuj Ardazirowi i podziwiaj kunszt tego X-a, który za tym wszystkim stoi. Ty też jesteś zawodowcem. A ludzie mojego pokroju muszą umierać.

— Przepraszam. — Potargał jej włosy.

— Nadal nie powiedziałeś mi, czy myślisz, że uda nam się przeżyć.

— Nie wiem. — Zebrał siły, aż mógł dodać: — Wątpię. Spodziewam się, że potrwa to parę dni, a my zdołamy wytrzymać tylko parę godzin. Ale jeśli statek przyleci - nie, do cholery, kiedy przyleci! - ten podręcznik dla pilotów będzie tutaj czekał.

— Dzięki za szczerość, Dominicu — powiedziała. — Dziękuję ci za wszystko.

Pocałował ją z ogromną delikatnością.

Potem już tylko czekali.

Słońce zaszło. Zapadła krótka noc. Wiatr wciąż hulał, północne niebo wciąż płonęło. Kit miotała się w gorączkowym oszołomieniu obok Flandry'ego. Sam nie był w stanie już zbyt jasno myśleć. Przez głowę

przewijały mu się mgliste wspomnienia innej białej nocy w lecie na znacznej szerokości geograficznej - ale to było na Terrze, na chłodnej, wyżynnej łące w Norwegii, a u jego boku była inna blondynka - jej usta smakowały jak róże…

Gwizd spadający z nieba, wstrząsające ziemią łupnięcie lekkomyślnie szybkiego lądowania, tupot stóp, pędzących po pękających skałach i ręce, które uderzały w drzwi – wszystkie te rzeczy ledwie przebijały się przez zwęgloną ciemność głębin umysłu Flandry'ego. Ale kiedy drzwi otworzyły się i do środka wpadł wiatr, Flandry wypłynął w górę przez fale bólu. Czekała tam na niego szczupła twarz Chivesa.

— Tutaj, proszę pana. Niech pan usiądzie. Jeśli mogę sobie pozwolić…

— Ty zielony draniu — wychrypiał Flandry, wyrwany z głębin koszmaru. — Rozkazałem ci…

— Tak, proszę pana. Dostarczyłem taśmę. Ale potem wydawało mi się wskazane, aby wrócić tu i pozostać w kontakcie z panem Brycem. Spokojnie, proszę pana, jeśli można. Jesteśmy w stanie ominąć blokadę bez większych problemów. Naprawdę, proszę pana, myślał pan, że jacyś tam tubylcy będą potrafili zablokować pański osobisty statek kosmiczny? Przygotuję lekarstwa dla młodej damy, a w pańskim saloniku czeka herbata.

XV

Admirał floty, sir Thomas Walton, był wysokim mężczyzną o siwych włosach i ponurych, wyblakłych oczach. Rzadko nosił swe odznaczenia, a Terrę odwiedzał tylko w interesach. Nie biorzeźba, lecz geny, wojna i niewylane łzy, gdy patrzył, jak jego ludzie giną, a potem Imperium pozwala wyciec przez palce temu, co zdobyli, ukształtowały jego twarz. Kit uważała go za najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek spotkała. Lecz w jej obecności jego usta zamykały się, z nieśmiałością starego kawalera. Nazywał ją panną Kittredge, przydzielił jej prywatną kajutę na swoim okręcie flagowym i znajdował wszelkie możliwe wymówki, aby unikać mesy oficerskiej, w której jadała.

Nie przydzielono jej żadnej pracy, poza nie wchodzeniem w drogę. Samotni młodzi porucznicy kręcili się wokół niej, starając się ją oczarować i zabawić. A Flandry rzadko przebywał na pokładzie pancernika.

Flota orbitowała w ciemności, pośród ostrych, sardonicznych gwiazd. Niewiele można było w tej chwili zrobić. Trzeba było obserwować także Ogre, a ta gigantyczna planeta stanowiła prawdziwą zagadkę. Siły Ardazirho nie dążyły do bitwy, lecz trzymały się blisko Vixen, gdzie miały wsparcie naziemne i gdzie zdobyte zrobotyzowane fabryki dzień za dniem powiększały ich siłę. Od czasu do czasu Terranie podejmowali wypady. Ale Walton powstrzymywał się przed decydującą próbą. Wciąż jeszcze mógł wygrać, gdyby wykorzystał całą swoją siłę i gdyby Ogre pozostał neutralny. Lecz Vixen, nagroda za zwycięstwo, zmieniłaby się w martwy grobowiec.

Ludzie Waltona pomrukiwali na swoich okrętach z niepokojem i niezadowoleniem.

Po trzech tygodniach kapitan Flandry został wezwany do admirała. Zagwizdał z ulgą.

— Nasz statek zwiadowca musiał zameldować się z powrotem — powiedział do swojego asystenta. — Może teraz zdejmą mnie z tego przeklętego śmieciowego oddziału.

Problem polegał na tym, że tylko on znał Urdahu. Znajdowało się tu kilkuset więźniów Ardazirho, zabranych przez grupy abordażowe z uszkodzonych statków. Lecz oficerowie zniszczyli wszystkie wskazówki nawigacyjne i zginęli z upiorną odwagą wymuszoną przez uwarunkowanie. Żaden z ocalałych marynarzy nie znał anglica ani nie chciał współpracować z terrańskimi lingwistami. Flandry drogą elektroniczną przekazywał swoją znajomość podstawowego języka nieprzyjaciół, ale nie chcąc ponownie ryzykować zdrowia psychicznego, robił to w standardowym, wolniejszym tempie. Resztę dnia spędzał na przesłuchaniach - pewien procent

więźniów podatny był na przesłuchania prowadzone we własnym języku. Obecnie, dwóch innych ludzi posiadło już znajomość Urdahu: stanowili oni wystarczający materiał siewny. Dopóki jednak nie wrócili pierwsi agenci wysłani na sam Ardazir, Flandry osobiście zajmował się grillowaniem jeńców. Rozsądne, lecz wyczerpujące i śmiertelnie nudne.

Chętnie wskoczył na skuter grawitacyjny i przeleciał ze statku wywiadu na pancernik. Był to okręt klasy *Nova*; jego kadłub zakrzywiał się wysoko ponad jego głową, monstrualny jak góra, a działa wstrząsały Drogą Mleczną. Poza pancernikiem widać było tylko gwiazdy, dalekie słońce Cerulię i czarną mgławicę. Trudno było uwierzyć, że w promieniu miliona kilometrów kłębiły się setki okrętów z magazynami pełnymi paliwa atomowego.

Wszedł do śluzy nr 7 i szybkim krokiem skierował się do biura flagowego. Za plecami powiewała mu szkarłatna peleryna; jego tunika błyszczała pawim błękitem, a bielutkie jak śnieg spodnie, wsunięte były w półbuty z autentycznej kordowańskiej skóry. Kąt nachylenia czapki urągał wszelkiej oficjalnej godności. Czuł się jak wypuszczony ze szkoły chłopiec.

— Dominicu!

Flandry zatrzymał się.

— Kit! — wykrzyknął radośnie.

Podbiegła korytarzem na jego spotkanie, mała, samotna postać w krótkim terrańskim stroju. Jej włosy wciąż wyglądały jak złoty hełm, ale zauważył, że wyszczuplała. Położył ręce na jej ramionach i przytrzymał ją na dystans.

— Tym razem wyglądasz znacznie lepiej — zaśmiał się. A potem trzeźwo dodał: — Ciężko ci?

— Jestem samotna — odparła. — Pusta. Niczego do roboty, można tylko się zamartwiać. — Odsunęła się od niego. — Nie, cholera, nienawidzę ludzi, którzy użalają się nad sobą. Nic mi nie jest, Dominicu.

Wbiła wzrok w pokład i przetarła zgiętym palcem jedno oko.

— Chodź! — powiedział.

— Co? Dominicu, dokąd idziesz? Nie mogę… to znaczy…

Flandry klepnął ją w najbardziej odpowiednie miejsce i zagonił korytarzem.

— Będziesz siedzieć w tym wszystkim po uszy! Dam ci coś, nad czym będziesz mogła rozmyślać. Marsz!

Strażnik przed drzwiami Waltona był wyraźnie zszokowany.

— Panie kapitanie mam rozkaz wpuszczać tylko pana.

— Stanowimy jeden zespół, żołnierzu. — Flandry chwycił marine za pas i przestawił go metr dalej. — Ta młoda dama jest moim przenośnym ekspertem od hipersquidgeroniki. Poza tym jest ładna. — Zamknął drzwi przed nosem strażnika.

Admirał Walton wyskoczył zza swojego biurka.

— Co to ma znaczyć, panie kapitanie?

— Pomyślałem sobie, że może nam nalewać piwo — burknął Flandry.

— Ja nie… — zaczęła bezradnie Kit. — Nie chciałam…

— Siadaj. — Flandry popchnął ją na stojące w rogu krzesło. — W końcu możemy potrzebować informacji z pierwszej ręki o Vixen. — Jego

spojrzenie zderzyło się ze wzrokiem Waltona. — Myślę, że zasłużyła na miejsce przy ringu — dodał.

Admirał przez chwilę siedział bez ruchu. Potem jego usta zmarszczyły się.

— Jest pan niepoprawny — oznajmił. — I proszę darować sobie tę sztampową odpowiedź: „Nie, jestem Flandry”. No dobrze, panno Kittredge. Rozumie pani, że to wszystko jest ściśle tajne. Kapitanie Flandry, zna pan komandora Sugimoto.

Flandry uścisnął dłoń drugiemu z Terran, który dowodził pierwszą potajemną ekspedycją na Ardazir. Usiedli. Flandry zapalił papierosa.

— I jak tam wygląda, w porządku? — spytał.

— Żadnych problemów — odparł Sugimoto. — Kiedy przekazał mi pan korelacje między ich tablicami astronomicznymi a naszymi i wyjaśnił stosowany przez nich system liczbowy, reszta była już elementarna. Ich gwiazdy nie ma w naszych katalogach, ponieważ znajduje się po drugiej stronie tej ciemnej mgławicy, a w tym kierunku nigdy jeszcze nie były prowadzone żadne działania eksploracyjne. Zaoszczędziliśmy więc może nawet i rok poszukiwań. Nawiasem mówiąc, po zakończeniu wojny naukowcy będą zainteresowani również mgławicą. Widziana z drugiej strony lekko świeci: to protosłońce. Nikt nawet nie podejrzewał, że pierwsza populacja gwiazd może mieć tę młodą damę w najbliższym galaktycznym sąsiedztwie Sol! Chociaż jednak, to musi być jakiś wybryk natury.

Flandry zesztywniał.

— O co chodzi? — ostro rzucił Walton.

— O nic, panie admirale. A może o coś. Nie wiem. Proszę mówić dalej, panie komandorze.

— Nie ma potrzeby powtarzać szczegółów — wtrącił Walton. — Przeczyta pan sobie pełny raport. Ogólny obraz warunków panujących na Ardazirho, uzyskany podczas przesłuchań, jest dosyć dokładny. Słońce to karzeł A4 – prawdę mówiąc położony nie dalej niż kilkanaście parseków stąd. Planeta jest ziemiopodobna, przyduża, raczej sucha, dosyć górzysta, ma trzy satelity. Wszystko wskazuje na to - znasz pan te techniki, skryte lądowania, szpiegowanie teleskopowe z dalekiego zasięgu, ukryte kamery, losowe próbki - że hegemonia Urdahu jest tworem młodym i niezbyt stabilnym.

— Jeden z naszych ksenologów zaobserwował coś, co jak się zaklinał, było typową rebelią — dodał Sugimoto. — Dla mnie te filmy, to po prostu mnóstwo rudowłosych stworzeń ubraniach w jednego rodzaju, strzelających z broni prochowej do nowocześnie wyglądającej fortecy, w której noszone są inne ubrania. Ścieżka dźwiękowa nie będzie dla nas nic znaczyła, dopóki pańscy ludzie jej nie przetłumaczą. Ale ksenolog twierdzi, że jest wystarczająco dużo innych oznak, świadczących, że to powstanie jakiegoś zacofanego plemienia przeciwko bardziej cywilizowanym zdobywcom.

— Szansa, by ich rozgrywać między sobą — przytaknął Flandry. — Oczywiście, zanim będziemy w stanie to zrobić, wywiad musi najpierw zebrać znacznie więcej informacji. Reklamujemy się.

— Ma pan coś do dodania, panie kapitanie? — zapytał Walton. — Czegoś pan się dowiedział, od ostatniego raportu?

— Nie, panie admirale — odpowiedział Flandry. — Wszystko to całkiem dobrze się składa razem. Oczywiście z wyjątkiem głównego pytania. Urdahu nie mogli wynaleźć tych wszystkich nowoczesnych urządzeń, które dały im kontrolę nad Ardazirem. Nie tak szybko. Dwie dekady temu byli ciągle jeszcze we wczesnej erze nuklearnej. Ktoś przekazał im wyposażenie, nauczył ich i wysłał na podbój. Kto?

— Ymir — oznajmił bez ogródek Walton. — Nasz problem polega na tym, czy Ymiryci działają niezależnie, czy jako sojusznicy Mersei?

— I czy w ogóle działają? — mruknął Flandry.

— Piekło i pioruny! Statki i ciężki sprzęt Ardazirho mają od Ymirytów. Gubernator Ogre wiąże połowę naszych sił, po prostu odmawiając rozmowy. Jowiański kolonista próbował pana zamordować, gdy był pan na oficjalnej misji, prawda?

— Statki mogły celowo zostać wykonane w ten sposób, aby wprowadzić nas w błąd — zauważył Flandry. — Wie pan, że Ymirici nie są specjalnie uprzejmą rasą, ale nawet gdyby byli, jakie miałoby to znaczenie, skoro nie jesteśmy w stanie ich szczegółowo sprawdzić? Co do mojego małego zatargu z Horxem…

Przerwał.

— Panie komandorze — powiedział powoli — Dowiedziałem się, że w układzie Ardazir znajdują się planety jowiszowe. Czy któraś z nich jest skolonizowana?

— Z tego co wiem, nie — odpowiedział Sugimoto. — Oczywiście, przy tym gorącym słońcu… To znaczy, my nie skolonizowalibyśmy Ardazira, więc Ymir…

— Słońce nie robi zbyt dużej różnicy, gdy atmosfera jest tak bardzo gęsta — zauważył Flandry. — Moje własne śledztwo doprowadziło mnie do wniosku, że w regionie opanowanym przez Ardazir nie ma kolonii Ymirytów. Nie sądzi pan, że gdyby mieli tam jakieś interesy, to by tam zamieszkali?

— Niekoniecznie. — Pięść Waltona uderzyła w biurko. — Wszystko to jest „niekoniecznie" — warknął jak rzucający się na przynętę lew. — Poruszamy się we mgle. Gdybyśmy zaatakowali w jakimkolwiek miejscu, narazilibyśmy się na ewentualne działania Ymirytów. Ta flota jest silniejsza niż siły Ardazirho wokół Vixen - ale słabsza niż cała flota całego królestwa Ardazirho - a gdybyśmy ściągnęli posiłki z Syrax, Merseia wchłonęłaby Gromadę! Ale nie możemy też wiecznie tu siedzieć i czekać na jakiś następny ruch!

Wpatrywał się w swoje wielkie dłonie.

— Wyślemy więcej szpiegów na Ardazir — zahuczał. — Oczywiście niektórzy z nich zostaną złapani, a wtedy Ardazir dowie się, że znamy jego położenie, i zaczną na nas naprawdę naciskać… Na Boga, może najlepiej będzie natychmiast rozbić ich tutaj, na Vixen, a potem udać się prosto na Ardazir i mieć nadzieję, że nasze statki przetrwają wystarczająco długo, aby wysterylizować tę całą piekielną planetę!

Kit zerwała się na nogi.

— Nie! — wykrzyknęła.

Flandry ponownie zmusił ją siłą, aby usiadła. Walton popatrzył na nią pełnymi udręki oczyma.

— Bardzo mi przykro — wymamrotał. — Wiem, że to byłby koniec Vixen. Nie chcę być też rzeźnikiem Ardazira… wszystkie te ich małe dzieci, które nawet nie słyszały o tej wojnie… Ale co ja mogę zrobić?

— Chwileczkę — powiedział Flandry. — Mam pewne przeczucie.

Cisza zapadała, warstwa po warstwie, aż atmosfera w kabinie zrobiła się gęsta od jej nadmiaru. W końcu Walton zapytał, najciszej jak tylko potrafił:

— O co chodzi, panie kapitanie?

Flandry popatrzył na nich wszystkich.

— Może to nic — odparł. — A może bardzo wiele. Niektórzy z Ardazirho używają określenia: Jaskinia Niebios. To coś w rodzaju czarnej dziury. Niektóre religie uważają ją za wejście do piekła. Czy to możliwe? Pamiętam też pewne słowa mojego przyjaciela Svantozika. Zaskoczyłem go, a on rzucił je jako przekleństwo, o wielce niestandardowym charakterze. Wielkie nienarodzone planety. Svantozik zajmuje wysoką pozycję. Wie więcej niż jakikolwiek inny Ardazirho, którego spotkaliśmy. To niewiele, ale… czy może mi pan przydzielić flotyllę okrętów, panie admirale?

— Pewnie nie — powiedział Walton. — I nie zdołałaby ona wymknąć się niepostrzeżenie. Jeden okręt na raz, tak, możemy to zrobić w tajemnicy. Ale kilka… Wróg wykryłby ich ślady, zauważyłby, w którą stronę lecą, i zacząłby się zastanawiać. Chyba że w tym przypadku nie miałoby to znaczenia?

— Obawiam się, że jednak by miało. — Flandry przerwał. — W takim razie, czy mógłby pan mi pożyczyć kilku ludzi? Wezmę własny flitter. Jeśli szybko nie wrócę, zrobi pan, co uzna za najlepsze.

Nie chciał lecieć. Wydawało się aż za bardzo prawdopodobne, że mit miał rację, i Jaskinia Niebios prowadziła do piekła. Lecz Walton siedział i patrzył na niego, Walton, który był jednym z ostatnich odważnych i absolutnie honorowych ludzi w całym Imperium Terry. Kit też go obserwowała.

XVI

Wyruszyłby natychmiast, lecz łut szczęścia - najwyższy czas, pomyślał niewdzięcznie - sprawił, że postanowił poczekać jeszcze kilka dni. Spędził je na *Hooliganie*, nie mówiąc Kit, że wciąż przebywa we flocie. Gdyby wiedziała, że ma wolny czas, nigdy nie nadrobiłby zaległości w tak bardzo mu potrzebnym śnie.

To prawda, że Ardazirho nie wiedzieli, iż ktokolwiek z ludzi zna ich język, poza paroma więźniami i świętej pamięci Dominicem Flandrym. Wysyłali więc wszystkie wiadomości otwartym tekstem. Do tego czasu Walton miał już na Vixen odpowiednią liczbę współpracujących z podziemiem agentów, wyposażonych w sprzęt umożliwiający niewykrywalną łączność z jego flotą. Wrogie transmisje były monitorowane z coraz większą dokładnością. Flandry przypomniał sobie, że Svantozik miał odlecieć z planety, i poprosił o specjalny monitoring w poszukiwaniu jakichkolwiek informacji na ten temat. Skaner został ustawiony w taki sposób, aby wykrywać wystąpienie tego nazwiska na taśmie rejestrującej. Tak też się stało; zawartość taśmy została natychmiast przesłana przez przestrzeń kosmiczną, a Flandry z zainteresowaniem wysłuchał jej zawartości.

Były to całkiem zwykłe polecenia, odnoszące się do pewnych przygotowań. Łowca Umysłów Svantozik z Janneer Ya odlatywał do domu zgodnie z rozkazem. Nie chciał ryzykować, że jakiś Terranin namierzy go i prześledzi jego trasę na Ardazira, użyje więc tylko małego, ultraszybkiego flittera. (Flandry podziwiał jego tupet. Większość ludzi wzięłaby przynajmniej statek klasy *Meteor*). Godzina i data odlotu zostały podane w języku Urdahu.

— Na stanowiska — rzucił Flandry. *Hooligan* wkroczył do akcji.

Nie zbliżył się do Vixen. To byłoby ryzyko dla statku łącznikowego. Potrafił dokładnie przewidzieć sposób startu Svantozika: istniało tylko jedno logiczne rozwiązanie tego problemu. Flitter znajdować się będzie w środku eskadry, która z pełną szybkością wystartuje w kosmos w celu wykonania jakiegoś nagłego ataku. W odpowiedniej chwili Svantozik da swojej małej łodzi potężne uderzenie napędu głównego, a następnie, orbitując na zimnych silnikach zacznie oddalać się od pozostałych, i pozwoli by dystans ten stopniowo się powiększał.

Kiedy upewni się, że żaden Terran go nie śledzi, zacznie ostrożnie poruszać się na grawach, dopóki nie oddali się na bezpieczną odległość, po czym przełączy się na napęd nadświetlny i przekroczy prędkość światła. Tak mały statek nie mógłby zostać wykryty, tak daleko od baz Waltona, zwłaszcza że atakująca eskadra odwracałaby uwagę nieprzyjaciela.

Chyba, że nieprzyjaciel zasadziłby się w tamtym rejonie, wiedząc o celu Svantozika i posiadając czułe detektory impulsów, działające na pełną moc.

Kiedy zabrzęczał alarm, a wskazówki przyrządów zaczęły falować, Flandry pozwolił sobie na okrzyk.

— Jest nasz bobasek! — Jego palec wcisnął przycisk. *Hooligan* przeszedł na najwyższy bieg z zawodzeniem nadmiernie obciążonych konwerterów. Gdy ekrany się ustabilizowały, Cerulia wyraźnie przygasła. Przed nimi, obrysowana diamencikami gwiazdozbiorów, poszarpaną czernią jarzyła się mgławica. Flandry wpatrywał się w przyrządy. — Nie jest taki duży jak my — zauważył — ale pędzi jak błyskawica. Myślisz, że damy radę go dogonić?

— Tak jest, proszę pana — odparł Chives. — W pobliskim regionie kosmosu, który jest bardziej zapylony niż przeciętnie, przy tych olbrzymich pseudo-prędkościach, tarcie staje się znaczącym czynnikiem. Mamy bardziej aerodynamiczną budowę niż on. Szacuję, że potrzebne nam będzie dwadzieścia godzin. A teraz, jeśli pan mi wybaczy, przygotuję kolację.

— Acha — powiedział stanowczo Flandry. — Nawet jeśli jeszcze o nas nie wie, może próbować taktyki unikowej na ogólnych zasadach. Autopilot ma losowy predyktor na takie przypadki, lecz brak mu odpowiedniej finezji.

— Panie kapitanie? — Chives uniósł brwi, których nie miał.

— Brakuje mu wyczucia… intuicji… czy jakkolwiek chciałbyś to nazwać. Svantozik jest artystą wywiadu. Może być też artystą w fotelu pilota. Ty też, mój mały. Ty i ja będziemy tu siedzieć i czuwać. Przydzieliłem do gotowania tego wielkiego włochatego starszego bosmana.

— Ależ, proszę pana! — wykrzyknął Chives.

Flandry skrzywił się.

— Wiem. Kuchnia marynarki wojennej. To należy do poświęceń, jakie my, niedoceniani bohaterowie, musimy cierpieć dla sprawy Terry!

Przeszedł na rufę, aby zapoznać się z załogą. Walton osobiście wybrał do tej misji dwanaście osób: ośmiu ludzi; Skothanina, wyglądającego prawie jak człowiek, z wyjątkiem rogów w jego żółtych włosach; dwójkę dużych, czterorękich Gorzuni o szarych futrach i kudłatych pyskach; fioletowo-niebieskiego olbrzyma z Donarr, mgliście przypominającego centauroida z tułowiem goryla na ciele nosorożca. Wszyscy mieli terrańskie obywatelstwo, wszyscy byli zawodowymi żołnierzami, wszyscy potrafili walczyć każdą bronią, od topora po analizator operacyjny. Byli najlepszym zespołem, jaki można było znaleźć w całej znanej galaktyce. Flandry'ego smuciło tylko to, że żaden z nich, poza nim samym, nie pochodził z Terry.

Mijały godziny. Jadł, drzemał, zabawiał się pilotażowymi sztuczkami. W końcu zbliżyli się do okrętu Ardazirho i rozkazał założyć pancerze bojowe. Sam wszedł do wieżyczki razem z Chivesem.

Ich celem był przysadzisty, brzydki statek, odcinający się ciemnym kształtem na tle odległych gwiezdnych chmur. Ekran pokazywał smukłe działo strumieniowe i wyrzutnię torped cięższą niż posiadana przez

większość łodzi tego rozmiaru. Pociski, które wysyłał, musiały mieć wystarczającą siłę, by przebić się przez potencjalne osłony *Hooligana*, wziąć namiar i zamienić cel w parę jednym wybuchem nuklearnym.

Flandry dotknął przycisku odpalającego. Błysnął pocisk smugowy, rysując linię ognia przez łódź Svantozika. A raczej przez przestrzeń, w której pocisk i łódź współistniały z różnymi częstotliwościami. Z konwencjonalnego sygnału do zatrzymania się, zrezygnowano.

— Zbliż się — polecił Flandry. — Możesz nas fazować?

— Tak jest.

Chives zatańczył szczupłymi palcami po pulpicie. *Hooligan* rzucił się jak nurkujący rybołów. Przeniknął wrogą jednostkę w taki sposób, że Flandry patrzył przez chwilę prosto przez jej wieżyczkę. Rozpoznał za sterami Svantozika, we własnej osobie, i roześmiał się z radości. Ardazirho wcisnął pseudo-hamulec. Mniej zręczny pilot przeleciałby koło Svantozika i znalazłby się milion kilometrów dalej, zanim zorientowałby się, co się stało. Flandry i Chives, działając jak jeden mąż, dopasowali się do tego manewru. Przez kilka minut śledzili każdy skręt i unik. Potem Svantozik, zawzięcie, zaczął kontynuować lot po linii prostej. *Hooligan* przeleciał bokiem, aż skierował się na równoległy kurs, dwadzieścia metrów od przeciwnika.

Chives uruchomił regulator fazowy. Przez chwilę panował spokój, podczas gdy napęd nadświetlny przeskakiwał przez tysiąc różnych wzorców częstotliwości. Potem jego czas w przestrzeni i poza nią dopasował się do czasu wroga. Detektor masy poinformował o tym robota w ciągu kilku mikrosekund i regulator wstrzymał dalszą pracę. Wiązka holownicza szybko zacisnęła się na solidnym kadłubie drugiego statku. Svantozik spróbował innego fazowania, lecz *Hooligan* bezbłędnie się z nim zrównał.

— Czy nie powinniśmy podejść mu do burty, proszę pana? — spytał Chives.

— Lepiej nie — odparł Flandry. — Mogliby się wysadzić, a my wylecielibyśmy w powietrze razem z nimi. Rura abordażowa.

Rozwinęła się z bojowej śluzy powietrznej i przylgnęła mocno do drugiego kadłuba, przymocowana magnetycznymi przyssawkami niczym pijawka. Działka energetyczne Ardazirho nie mogły zostać wycelowane pod tym kątem. Wystrzelono pocisk z wyrzutni. Został zdezintegrowany przez wiązkę z działka *Hooligana*. Donarrianin, ogromny w swoim pancerzu, poprowadził przez rurę abordażową do przeciwległego kadłuba „robaka”. Energetyczny pysk maszyny zaczął przegryzać się przez metal.

Flandry raczej wyczuł niż zobaczył słabą zmarszczkę, która oznaczała przełączenie się na napęd podświetlny. Wcisnął swój własny przełącznik. Oba statki jednocześnie powróciły do prędkości podświetlnej. Różnica wielkości pięćdziesięciu kilometrów na sekundę niemal rozerwała je na strzępy. Ale wiązka holownicza wytrzymała, podobnie jak pola kompensatora. Lecieli dalej, ramię w ramię.

— Mamy go na haczyku! — krzyknął Flandry.

Mimo to ich ofiara mogła spróbować jeszcze jakiegoś wyskoku. Musiał pozostać ze Chivesem, parując wszystkie takie sprawy, podczas gdy jego

załoga miała przyjemność wejść na pokład nieprzyjaciela. Mięśnie Flandry'ego wręcz płonęły od żądzy osobistej walki. W interkomie rozległy się głosy:

— Robal się przebił, panie kapitanie. Nasza grupa wchodzi w wyrwę. Czterech nieprzyjaciół w pancerzach bojowych, z bronią mobilną…

Rozpętało się piekło. Wiązki energii rozbijały się rozbłyskiem o utwardzoną stal. Wybuchowe pociski rozrywały się, rzucały ludzi do tyłu, ich wyjące odłamki przebijały się przez grodzie. Terrańscy marynarze bezlitośnie wbili się w obronę, zanim ta zdołała zniszczyć ich pancerze. Starli się z Ardazirho ręka w rękę. Nie był to tak bardzo nierówny pojedynek: sześciu na czterech, gdyż połowa załogi Flandry’ego musiała obsadzać działka broniące ich przeciwko ewentualnym pociskom. Ardazirho byli nieco silniejsi fizycznie od ludzi. Nie miało to większego znaczenia, gdy pięści biły o płyty pancerzy. Lecz ogromny Gorzuni, barbarzyńsko wrzeszczący Scothanin ze swym morderczym prętem z wygiętego kawałka metalowego stopu, oraz Donarrianin wydający pełne szczęścia ryki, szalejący i, rozdający ciosy, które ogłuszały pomimo każdej stosowanej izolacji – szybko zakończyli walkę. Nawigator wroga, wstępnie uwarunkowany, zginął. Reszta została wyciągnięta z pancerzy i wrzucona do ładowni *Hooligana*.

Flandry nie był pewien, czy Svantozik również nie został poddany uwarunkowaniu, więc schwytanie go mogłoby skończyć się dla niego śmiercią. Ale wątpił w to. Urdahu raczej nie byli tak rozrzutni w stosunku do swoich najlepszych oficerów, którzy wzięci do niewoli mogli zostać wymienieni lub z niej uciec. Prawdopodobnie Svantozik po prostu miał blokadę uniemożliwiającą mu przypomnienie sobie współrzędnych ojczystego słońca, gdy nie miał przed sobą otwartej książki pilota.

Terranin westchnął.

— Opróżnij salon, Chives — polecił ze znużeniem. — Przyprowadź do mnie Svantozika, postaw strażnika na zewnątrz i przynieś nam coś do picia. — Gdy mijał jednego z członków grupy abordażowej, mężczyzna uśmiechnął się i zasalutował. — Cholerni bohaterowie — mruknął.

Poczuł się nieco bardziej szczęśliwy, kiedy wszedł Svantozik. Ardazirho szedł dumnie, z rudą głową wyprostowaną, a jego kilt jakimś cudem znów wyglądał absolutnie schludnie. Lecz z wilczych oczu wyglądał wewnętrzny chłód. Kiedy zobaczył, kto siedzi przy stole, natychmiast zesztywniał. Futro na całym jego szczupłym ciele uniosło się, a w gardle zabulgotał warkot.

— To tylko ja — powiedział człowiek. — Nie wróciłem też z Jaskini Niebios. Klapnij sobie. — Machnął ręką w stronę ławki stojącej naprzeciw jego krzesła.

Powoli, mięsień po mięśniu, Svantozik opadł na ławkę. W końcu powiedział:

— Jest takie przysłowie: „Rogaty kozioł może biec szybciej, niż myślisz.” Dotykam pana nosem, kapitanie Flandry.

— Cieszę się, że moi ludzie nie zrobili ci krzywdy. Mieli specjalne rozkazy, żeby schwytać cię żywcem. Na tym polegał cały ten pomysł.

— Czy wyrządziłem ci aż taką krzywdę w Den? — z goryczą zapytał Svantozik.

— Wręcz przeciwnie. Byłeś znacznie bardziej troskliwym gospodarzem niż ja. Może uda mi się za to odwdzięczyć. — Flandry wyjął papierosa. — Wybacz mi. Ale mój mózg pracuje na nikotynie. Włączyłem wentylację.

— Przypuszczam… — wzrok Svantozika powędrował na ekran i rozpościerającą się na nim galaktyczną ciemność — że wiesz, która z tych gwiazd jest nasza.

— Tak.

— Będziemy jej bronić do ostatniego statku. Aby nas przełamać, potrzeba większych sił, niż jesteście w stanie wycofać ze swoich granic.

— Zatem jesteś świadom sytuacji w Syrax. — Flandry wdmuchnął smużkę dymu nosem. — Powiedz mi, czy moje wrażenie jest słuszne, że zajmujesz wysoką pozycję w służbach kosmicznych Ardazira i w samym orbekh Urdahu?

— Wyższą w pierwszym niż w drugim — odparł ponuro Svantozik. — Panowie Stada i stare kobiety będą mnie słuchać, ale nie mam nad nimi żadnej władzy.

— Mimo to, popatrz jeszcze raz tam w kosmos. Na Jaskinię Niebios. Powiedz mi, co widzisz?

Odlecieli już tak daleko, że widzieli z boku cieńszą część mgławicy, przez którą przenikało jej wewnętrzne światło. Tak więc, wśród konstelacji na niebie złowieszczo dominował kształt czarnego cumulusa; przyćmiona czerwona poświata wzdłuż jednej z jego krawędzi dotykała plątaniny plam i włókien, jak gdyby w jakiejś pełnej pajęczyn grocie tlił się dogasający ogień. Kilka stopni od niej rozbłyskiwało ostrym błękitem słońce Ardazira.

— Oczywiście samą Jaskinię Niebios — odparł ze zdumieniem Svantozik. — Wielką ciemność. Bramę Umarłych, jak nazywają ją wyznawcy… — Jego głos, który miał zabrzmieć sardonicznie, zawahał się.

— A więc, nie widzisz światła? Dla ciebie jest czarna? — Flandry powoli skinął głową. — Spodziewałem się tego. Wasza rasa nie widzi koloru czerwonego. Widzicie dalej we fiolecie niż my, ale w waszych oczach jestem szary, a wy sami jesteście czarni. Wszystkie te okropnie dobrane czerwone kwadraty na twoim kilcie wyglądają dla ciebie na równie ciemne.

Słowo urdahu, którego użył na określenie „czerwonego”, w rzeczywistości oznaczało pasmo żółto-pomarańczowe; lecz Svantozik zrozumiał.

— Nasi astronomowie od dawna wiedzą, że z Jaskini Niebios dolatuje niewidzialne promieniowanie, fale radiowe i krótsze — przyznał. — I co z tego?

— Tylko to — powiedział Flandry, — że otrzymujecie z tej mgławicy rozkazy.

Svantozikowi nie drgnął nawet jeden mięsień. Flandry jednak dostrzegł, że jego futro znowu mimowolnie się zjeżyło, a uszy położyły mu się na płask do tyłu.

Człowiek obracał papierosa w palcach, wpatrując się w niego.

— Myślicie, że za waszą nagłą ekspansją kryje się Rozproszenie Ymira, nieprawdaż? — powiedział. — Podobno dostarczyli wam broń, roboty,

wiedzę i wszystko, czego potrzebowaliście, abyście mogli wkroczyć na ścieżkę podboju. Ich celem było uwolnienie galaktyki od Imperium Terry, dzięki czemu to wy staniecie się dominującym ludem wśród tlenodysznych. Dali wam do zrozumienia, że ludzie i Ymiryci po prostu się nie dogadują. Czy eksperci techniczni na Ardazirze, którzy pomogli wam wystartować, byli Ymiritami?

— Kilku z nich — wyjaśnił Svantozik. — Oczywiście, głównie były to istoty tlenodyszne. Tak było o wiele wygodniej.

— Myśleliście, że to po prostu klienci Ymiritów, prawda? — podążał dalej Flandry. – Pomyśl jednak. Skąd wiecie, czy naprawdę jacyś Ymiryci w ogóle byli na Ardazirze? Musieliby cały czas pozostawać na statku zawierającym bańkę pola siłowego. Tylko, czy aby na pewno na tego rodzaju statku musiało być cokolwiek więcej, poza panelem do zdalnego sterowania? Może do tego jakiś udawany Ymiryta? Nie byłoby trudno was w ten sposób oszukać. W konstrukcji tego typu statków nie tkwią żadne sekrety, w ogóle nie są one trudne w budowie, tyle tylko, że rasom takim jak nasza, zwykle aż tak wyszukana dodatkowa aparatura do niczego się nie przydaje – pola negagrawowe zapewniają taką samą ochronę przed cząstkami materialnymi, a nic nie ochroni przed nuklearnym pociskiem, który wejdzie w kontakt z kadłubem.

— A nawet jeśli paru Ymirytów rzeczywiście odwiedziło Ardazir… skąd wiecie, że to oni tam rządzili? Jak możecie mieć pewność, że to nie ich oddychający tlenem „wasale" byli tam prawdziwymi panami?

Svantozik uchylił wargę i zgrzytnął kłami:

— Odważnie snujesz swe sieci, drogi kapitanie. Ale to tylko zwykła hipoteza…

— Oczywiście, że mówię jedynie hipotetycznie. — Flandry zgasił papierosa. Jego oczy tak mocno starły się ze spojrzeniem Svantozika, krzemiennoszarym, przechodzącym w stalową szarość, że zdawało się, iż poszły iskry. — Macie cywilizację naukową, więc wiecie, że lepiej wybrać hipotezę prostszą. A ja, potrafiłem objaśnić fakty znacznie prościej niż wciągając w te wyjaśnienia jakieś niezbyt prawdopodobne interesy Ymira, który niby to zdecydował się na ingerencję w sprawy mieszkańców bezużytecznych dla niego planet karłowatych. Przecież Ymir i Terra nigdy wcześniej nie mieli żadnych poważnych problemów, które by ich dzieliły. Nie jesteśmy sobą zainteresowani! Oni wiedzą, że żadna rasa typu ziemskiego nie mogłaby stać się dla nich poważnym zagrożeniem. Ledwie dostrzegają różnicę między Ziemianinem a Merseianinem, czy to w wyglądzie zewnętrznym, czy pod względem umysłowym. Dlaczego miałoby ich obchodzić, kto wygra?

— Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, dlaczego — upierał się Svantozik. — Mój mózg nie opiera się na związkach amonowych, jak ich. Faktem jednak jest...

— Że paru pojedynczych Ymirytów tu i ówdzie dopuściło się kilku wrogich wybryków — dokończył Flandry. — Sam byłem wrzodem na tyłku dla jednego z nich. Ponieważ nie było w oczywisty sposób wiadome, dlaczego mieliby to zrobić, chyba że byli agentami swojego rządu, my również założyliśmy, że taki właśnie był powód. Jednak przez cały czas

mieliśmy przed oczyma również inne możliwe motywacje. Ja to wręcz wiedziałem. Takie rzeczy, sam od czasu do czasu aranżowałem w tym naszym brudnym fachu. Po prostu brakowało mi dowodów. Mam nadzieję, że wkrótce takie dowody znajdę. Jeśli kogoś nie uda ci się przekupić - zaszantażuj go!

Svantozik drgnął. Podniósł się z łokci na dłonie, nozdrza mu zadrżały i zapytał szorstko:

— Jak? Jakim sposobem można poznać jakieś brudne sekrety z prywatnego życia istoty oddychającej wodorem? Nie wierzę nawet, że udało ci się dowiedzieć, co ta rasa w ogóle uznaje za zbrodnię.

— Nie — odparł Flandry. – Ale to nie ma znaczenia. Jest pewna istota, która jest w stanie się tego dowiedzieć. Z niewielkiej odległości potrafi czytać w każdym umyśle bez żadnych wstępnych badań, niezależnie od tego, czy podmiot ma umysł naturalnie telepatyczny, czy nie. Wydaje mi się, że musi on być wrażliwy na jakąś podstawową energię życiową, której istnienia nasza nauka jeszcze nawet nie podejrzewa. Na Terrze wymyśliliśmy ekran umysłowy, wyłącznie z jego powodu. Przez wiele tygodni przebywał w Układzie Słonecznym, zarówno na Ziemi, jak i na Jowiszu. Mógł wysondować najskrytsze myśli swojego przewodnika Ymirity. Jeśli sam Horx nie okazał się być wrażliwy na szantaż, mógł to być ktoś bliski Horxowi. Ten telepata, Aycharaych, jest tlenodyszny. Przechodzą mnie zimne dreszcze, gdy wyobrażam sobie, jakie to musiało być uczucie, kiedy odbierał w swym protoplazmatycznym mózgu myśli Ymirity. Ale on to zrobił. W ilu innych miejscach jeszcze był, przez ile lat? Jak silny haczyk ma na panów Urdahu?

Svantozik leżał zupełnie bez ruchu. Za jego plecami płonęły gwiazdy, całymi lodowatymi milionami.

— Mówię — dokończył Flandry — że twoi rodacy byli jedynie narzędziami w rękach Mersei. Przygotowywano to przez piętnaście lat. A może nawet dłużej. Nie wiem, ile lat ma Aycharaych. Zostaliście rzuceni przeciwko Terrze w dokładnie wybranym momencie – kiedy postawiło nas to przed wyborem: utrata istotnej Gromady Syrax lub zgoda na rabunek i zniszczenie w naszej własnej sferze. Ty osobiście, jako rozsądny łowca, współpracowałeś z Ymirem, który, jak zrozumiałeś, nigdy nie byłby w stanie zagrozić bezpośrednio Ardazirowi i który prawdopodobnie pozostałby w sojuszu z twoim ludem po wojnie, chroniąc was w ten sposób na zawsze. Ale czy odważysz się współpracować z Merseią? Musi być dla ciebie jasne, że Merseianie są waszymi rywalami w takim samym stopniu, w jakim mogłaby być Terra. Gdy Terra zostanie zniszczona, Merseia szybko upora się z waszym skleconym naprędce imperium. Mówię ci, Svantozik, że stałeś się pionkiem swoich władców, a oni są bezradnymi, zdradzieckimi narzędziami w rękach Aycharaycha. Myślę, że wymykają się w kosmos, aby otrzymywać rozkazy od merseiańskiej bandy, na którą chyba się wyprawię i zapoluję!

XVII

Kiedy dwa flittery zbliżyły się do mgławicy, Flandry usłyszał wycie uwięzionych Ardazirho. Nawet Svantozik, który był tu wcześniej i twierdził, że jest agnostykiem, postawił kryzę oraz oblizywał suche wargi. Dla istot, które nie widziały czerwieni, musiało być naprawdę czymś strasznym, patrzeć, jak ta ogromna ciemność rośnie, aż wreszcie pochłania wszystkie gwiazdy i tylko przyrządy są w stanie pokazać cokolwiek z absolutnej nocy na zewnątrz. A prastare mity tak łatwo nie umierają: w podświadomości każdego Urdahu, to wciąż była Brama Umarłych. Z pewnością był to jeden z powodów, dla których Merseianie wybrali ją na kryjówkę. Kontrolując z niej los Ardazira. Demoralizujący strach sprawiał, że Panowie Stad w jeszcze większym stopniu stali się ich marionetkami.

Zaś na poziomie praktycznym, ci, którzy byli tu wzywani aby zdawać raporty z postępów prac i otrzymywać kolejne instrukcje, byli ślepi. To, czego nie było widać nie mogło zostać zobaczone przez kogoś, kto mógłby zacząć zastanawiać się nad jakimiś niezgodnościami.

Sam Flandry dostrzegał złowrogą wspaniałość panoramy: wielkie ściany i chmury czerni, wyłaniające się z każdej strony w kompletnej ciszy; przepaście, kaniony i stromizny, których kształty podkreślane były przez czerwoną poświatę ze środka chmury. Obiektywnie wiedział, że mgławica jest prawie próżnią, nawet w swych najgęstszych częściach: tylko ogromne rozmiary i odległość tworzyły obrazy kolejnych skał i pieczar. Lecz oczy nieustannie mówiły mu, że leci do Krainy Cieni, między ścianami i skałami większymi niż całe układy planetarne, a jego własna małość wręcz nim wstrząsała.

Mgławica gęstniała, w miarę jak statki zanurzały się w nią coraz głębiej. Światło również było coraz silniejsze, aż w końcu Flandry stanął przed zestalonym kręgiem protosłońca. Była to szeroka, zamglona tarcza w kolorze głębokiego szkarłatu, pełna plam i ciemnych pasm, utkana na krawędziach mgiełką niesamowicie delikatnych arabesek koronalnych. Tutaj, w sercu mgławicy, pył i gaz ulegały zgęstnieniu, a nowa gwiazda nabierała kształtu.

Na razie świeciła jedynie dzięki energii grawitacyjnej, ogrzewając się w miarę kurczenia. Większa część jej tytanicznej masy była wciąż straszliwie rozrzedzona. Ale już teraz gęstość jej rdzenia musiała zbliżać się do progu kolapsu kwantowego, a temperatura we wnętrzu dochodziła do megastopni. W krótkim czasie (za kilka milionów lat, kiedy ludzkość obróci się już w proch i nawet wiatr nie będzie o niej pamiętał) zapłonie atomowym ogniem i niebo rozświetli nowy blask.

Svantozik popatrzył na przyrządy swojego flittera.

— Orientujemy się według tych trzech kosmicznych źródeł radiowych… — powiedział, wskazując na nie. Jego głos utonął w pełnej napięcia ciszy. — Kiedy znajdziemy się w pobliżu… centrali… emitujemy nasz sygnał wywoławczy, a regularna wiązka kontroli naziemnej naprowadza nas na miejsce.

— Dobrze. — Flandry popatrzył na obcego wzrokiem na poły przerażonym, na poły gniewnym, a na poły współczującym. — Wiesz, co musisz zrobić po wylądowaniu.

— Tak. — Jego wynędzniała, ponura głowa uniosła się. — Nikogo już nie zdradzę. Ma pan moje słowo, kapitanie. Nie złamałbym też przysięgi Panom Stada, ale myślę, że masz rację i że sprzedali Urdahu.

Flandry skinął głową i poklepał Ardazirho po ramieniu. Ciało obcego lekko zadrżało pod jego dłonią. Czuł, że Svantozik jest szczery, lecz zostawił dwóch uzbrojonych ludzi na pokładzie pryzu, aby upewnić się, że ta szczerość będzie uczuciem trwałym. Oczywiście, Svantozik mógłby poświęcić swoje życie, aby przekazać jakieś ostrzeżenie – lub też mógł kłamać, że w całej mgławicy jest tylko jedna taka instalacja - ale trzeba było podjąć pewne ryzyko.

Flandry wrócił na swój statek. Rura abordażowa została zwinięta. Przez pewien czas obie jednostki leciały równolegle.

Wielkie nienarodzone planety. Była to tak nieznaczna wskazówka i Flandry nie zdziwiłby się, gdyby okazała się ona fałszywym tropem. Ale… od wielu stuleci wiadomo, że gdy obracająca się masa przyszłego słońca skondensuje się wystarczająco mocno, zaczynają wokół niego kształtować się planety.

W matowych promieniach nabrzmiałego słońca Flandry dostrzegł swój cel. Jak dotąd, był to niewiele więcej niż pełen pyłu, gazowy pas skał, rozciągniętych wzdłuż wydłużonej orbity w lokalnych węzłach koncentracji, jak koraliki. Stopniowo siły grawitacyjne, magnetyczne i ruchy wirowe łączyły je ze sobą; lód i pierwotne węglowodory, skondensowane na srogim mrozie w stałe cząstki, sprawiały, że zlepiały się one przy zderzeniach, a nie rozpadały się, czy odbijały od siebie. Niewiele z tego embrionu planety było już widoczne: tylko największy zalążek jądra, szorstkie asteroidowe ciało, ciemne, pokryte bliznami, poplamione tu i ówdzie lodem, szaleńczo wirujące. Wokół niego taniec świetlików mniejszych meteorów, które powoli na nie opadały, od wielkich jak góry, po te rozmiarów drobinek pyłu.

Flandry usadowił się w wieżyczce obok Chivesa.

— Z tego, co wiem — powiedział — będzie to planeta typu ziemskiego.

— Czy mamy zostawić notatkę dla jej przyszłych mieszkańców, proszę pana? — spytał Shalmuanin, ze śmiertelną powagą.

Flandry parsknął śmiechem, głównie wskutek ogromnego napięcia.

— Ten widok jednak prowadzi do refleksji na temat tego, co mogło się dziać, zanim narodziła się Terra… — dodał powoli.

Chives uniósł rękę. Wlewające się do środka czerwone światło zmieniło kolor jego zielonej skóry na wręcz odrażający.

— Wydaje mi się, że to wiązka naprowadzająca Merseian, proszę pana.

Flandry zerknął na przyrządy.

— Zgadza się. Lepiej się pośpieszmy.

Nie chciał, by radar nieprzyjaciela ujawnił obecność dwu statków. Poczekał aż Svantozik poleci dalej, znikając mu z pola widzenia, podczas gdy on sam przeskoczył *Hooliganem* dookoła skupiającej się gwiazdy.

— Najlepiej będzie, jeśli zbliżymy się na odległość jakichś dziesięciu kilometrów od ich bazy, aby znaleźć się bezpiecznie poniżej ich horyzontu — stwierdził. — Zlokalizowałeś ich, Chives?

— Myślę, że tak, proszę pana. Nieregularność centralnej asteroidy utrudnia identyfikację, ale… Pozwoli pan, panie kapitanie, że będę podawał kurs, podczas gdy pan będzie nas podprowadzał bliżej.

Flandry przejął stery. To było tak bliskie ręcznego pilotażu opartego na oku i ręku pilota, jak to tylko było możliwe w kosmosie. Przyrządy oraz roboty, szybsze i bardziej precyzyjne niż ludzkie ciało mogłoby w ogóle pomarzyć, nadal wykonywały większość pracy; lecz w nieznanym, zmiennym regionie, takim jak ten, za sterami musiał być obecny również i mózg, nieustannie podejmujący podstawowe decyzje. Czy powinniśmy uchylić się przed tamtym rojem skał, za cenę wpadnięcia w tę chmurę lodu?

Aktywował ekrany negagrawowe i ruszył prosto na cel. Żaden miejscowy obiekt nie miał wystarczająco dużej prędkości, by pokonać ich potencjał i uderzyć w kadłub. Ale samo uderzenie w uginające się pole siłowe mogło odrzucić mały statek w niekontrolowany sposób, niebezpiecznie nadwyrężając jego metalową konstrukcję.

Na tle mgławicowych zasłon Flandry dostrzegł nagle dwa meteory. Kręciły się i obracały jak żelazne kości do gry. Uderzył silniejszym ciągiem hamującym, wytracając część prędkości do przodu, i jednocześnie zastosował wektor przyśpieszenia „w dół”. *Hooligan* prześlizgnął się obok obu skał. Przed nim znalazł się postrzępiony stożek o długości pięciu kilometrów. Flandry przeleciał kilka metrów nad jego powierzchnią. Coś przemknęło obok nich, tak szybko, że jego oczy zarejestrowały tylko jakąś nierozpoznaną smugę ognia. Coś innego uderzyło w śródokręcie. Wstrząs uderzenia zagrzechotał mu zębami. Przelotna burza zamarzniętych gazów, jakaś kometa, rozjarzyła ekrany wizyjne na czerwono.

Po chwili pojawiła się już przed nimi główna asteroida. Chives wykrzykiwał kolejne liczby. *Hooligan* prześlizgiwał się tuż nad wirującą, chropowatą powierzchnią.

— Tutaj! — zawołał Chives. Flandry walnął w klawisz hamowania. — Panie kapitanie — dodał Shalmuanin.

Flandry z najwyższą uwagą zaczął wytracać wysokość. Wszystko ucichło. Na zewnątrz statku zapanowała czerń. Wylądowali.

— Czekaj w pogotowiu — polecił Flandry. Na zielonej twarzy Chivesa pojawił się bunt. — To rozkaz — dodał, zdając sobie sprawę z tego, że rani przyjaciela, ale nie miał wyboru. — Może zajść potrzeba szybkiej ucieczki. Albo szybkiego pościgu. Albo, jeśli wszystko pójdzie źle, ucieczki kogoś, kto zda raport Waltonowi.

— Tak jest, proszę pana. — Głos Chivesa był ledwo słyszalny. Flandry zostawił go pochylonego nad panelem sterów.

Jego grupa, nie licząc dwóch ludzi, którzy zostali ze Svantozikiem, była już w pancerzach bojowych. Na centauroidalnym grzbiecie Donarriana zamontowano haubicę nuklearną, u jego boku stał człowiek, który miał z niej strzelać. Elementy wyrzutni rakiet spoczywały na podwójnych ramionach dwóch Gorzuni. Scothani wywrzaskiwał pieśń wojenną i wymachiwał swym z pozoru dziecinnym prętem, że aż świstało powietrze. Pozostała piątka uformowała oddział z pojedynczym szybkim metalicznym trzaskiem.

Flandry założył własny skafander i wyprowadził ich na zewnątrz.

Stał w bezgwiezdnej ciemności. Tylko słaby blask tarcz detektorów i plama światła rzucana w próżnię przez promień latarki, świadczyły o tym, że jego oczy wciąż były sprawne. Ale gdy przyzwyczaiły się do ciemności, mógł dostrzec najciemniejszą z rozmytych plam czerwieni nad sobą i iskry w kształcie kropli krwi w miejscach, gdzie satelitarne meteory chwytały światło słoneczne. Grawitacja pod nogami była tak niska, że nawet w pancerzu czuł się niemal nieważki. Jednakże jego bezwładność była taka sama jak zawsze. Czuł się, jakby szedł po dnie jakiegoś nieskończonego oceanu.

Sprawdził przenośny detektor neutrin. W tym kłębowisku mgławicowej materii wszystkie przyrządy były niespokojne, pył oddziaływał w każdym spektrum, jak trwający miliony lat krzyk narodzin. Ale wyraźnie widać było na nich znajdującą się przed nimi małą elektrownię jądrową. A to mogło oznaczać tylko jedno miejsce.

— Złapcie się za ręce — powiedział Flandry. — Nie chcemy się porozdzielać. No i oczywiście cisza radiowa. Idziemy.

Ruszyli po niewidzialnej powierzchni asteroidy. Była nieregularna, często śliska z powodu zamarzniętego gazu. W pewnej chwili grunt zadrżał, a przez zelówki ich butów przebił się ryk. W pobliżu rozbił się jakiś gigantyczny głaz.

Potem na horyzoncie wzeszło słońce, ogromne i rozmyte, rozlewając gorący blask po lodzie i żelazie. Wspinało się coraz wyżej z widoczną nawet gołym okiem prędkością. Ludzie Flandry'ego puścili ręce i ruszyli dalej stosując taktykę podejścia do nieprzyjaciela: przeskakując od zagłębienia terenu do jakiejś dającej osłonę skały, czekając, obserwując, a następnie wykonując kolejny długi płaski skok. W swych czarnych pancerzach byli tylko poruszającymi się cieniami skrytymi pośród wielu innych cieni.

Wreszcie w polu widzenia pojawiła się kopuła Merseian. Była to niebieska półkula, wyglądająca w tym świetle na purpurową, osadzona w szerokim, płytkim kraterze. Na wzniesieniach wokół niej przysiadły generatory negapola, utrzymujące zasłonę pola siłowego chroniącego przed deszczem kamieni. Zostały one chwilowo wyłączone, aby umożliwić lądowanie Svantozika: przysadzisty czarny flitter stał pod skarpą, dwa kilometry od kopuły. Dostrzegli też niewielki, szybki statek wojenny - ewidentnie Merseianin, ostateczny dowód - który zacumował obok schronu, przeznaczonego dla około dwudziestu istot, które mogły skryć się w środku. Działko dziobowe statku było wycelowane w łódź Ardazirho.

Rutynowe środki ostrożności, nie było innych środków obrony. Czego niby mieli obawiać się Merseianie?

Flandry przykucnął na krawędzi krateru i nastawił radio. Wiązka Svantozika rozproszyła się na tyle, że mógł podsłuchać rozmowę:

— Nie, szanowni władcy, ta wizyta odbywa się z mojej własnej inicjatywy. Spotkałem się na Vixen z sytuacją tak pilną, że uznałem, iż należy o niej poinformować od razu, zamiast zwlekać z zatrzymaniem się na Ardazirze…

Zwykły bełkot, mydlący oczy blef, aby zyskać czas do ataku Flandry’ego.

Kapitan sprawdził swoich ludzi. Jeden po drugim unieśli kciuki w górę. Poprowadził ich do przodu. Pole siłowe nie dotykało ziemi; prześlizgnęli się pod nim, zeszli po zboczu krateru i ruszyli w kierunku kopuły. Chropowata, poznaczona plamami cieni skała dawała wystarczającą osłonę.

Plan Flandry'ego był prosty. Podkradnie się blisko kopuły i przebije ją pociskiem o małej mocy. Powietrze wytryśnie ze środka, Merseianie zginą, a on będzie mógł w spokoju zbadać ich dokumenty. Mając przewagę liczebną i tak ważne zadanie do wykonania, nie mógł sobie pozwolić na rycerskie zachowanie.

— …a więc, widzicie, szanowni panowie, wydaje mi się, że Terranie…

— Wszyscy do pancerzy kosmicznych! Jesteśmy atakowani!

Słuchawki Flandry’ego rozdarł krzyk. Był on w głównym języku merseiańskim, lecz nie był to głos Merseianina. Jakimś absolutnie nieprawdopodobnym sposobem wykryto zbliżanie się jego ludzi.

— Ten Ardazirho jest po ich stronie! Zniszczyć go!

Ciało Flandry’ego plasnęło o ziemię. Chwilę później cała się zatrzęsła. Przez cały pancerz poczuł przyprawiające o mdłości uderzenie w brzuch. Wydawało mu się, że przez zaciśnięte powieki i osłonę ramienia widzi krótki rozbłysk wybuchu termojądrowego.

Bez powietrza, mogącego wywołać falę uderzeniową, strzał zniszczył jedynie łódź Svantozika. Parujące żelazo buchnęło w górę, skropliło się i opadło z powrotem. Asteroida zatrzęsła się i zamarła w bezruchu. Flandry poderwał się. W jego gardle wezbrał dziwny, suchy szloch. Z poczuciem winy stwierdził, że bardziej opłakuje Svantozika z Janneer Ya niż dwóch zabitych ludzi.

— Grupa atakująca znajduje się około szesnastu stopni na północ od punktu wschodu słońca, 300 metrów od kopuły.

Wieżyczka działowa merseiańskiego statku wojennego zaczęła się obracać.

Donarrianin był już w pełnym galopie. Opancerzony człowiek na jego plecach trzymał się mocno, przygotowując broń. W tej samej chwili gdy nieprzyjacielskie działko odnalazło swój cel odezwała się haubica nuklearna.

Tym razem wybuch był mniejszy. Lecz i tak słońce zatonęło w jego bezszelestnym, niebiesko-białym, piekielnym blasku. Połowa statku kosmicznego uniosła się w ognistej chmurze, kuli, która zmieniła kolor z białego na fioletowy i różowoczerwony, rozrosła się i zniknęła w mgławicowym niebie. Rufa zachwiała się, zmieniła się w roztrzęsiony

kikut, po którym spływała stopiona stal. Potem powoli opadła. Uderzyła w dno krateru i potoczyła się, wstrząsając ziemią ku ścianom, gdzie zadrżała i znieruchomiała.

Flandry ponownie otworzył oczy na zimne, słabe światło.

— Na nich! — wrzasnął.

Donarrianin skoczył w tył. Gorzuni przykucnęli, ich wyrzutnia rakiet w kilka sekund była gotowa do działania, a pocisk chemiczny wycelowany w kopułę.

— Strzelać! — krzyknął Flandry. Krzyk odbił się echem w jego hełmie. W tle jego rozkazu trzeszczał i mruczał kosmiczny szum radiowy.

W miejscu uderzenia eksplodowały płomienie i dym. W kopule powstała dziura, przez którą wydostało się powietrze. Woda zamarzła i krater wypełniła rzadka mgiełka. Potem zaczęła opadać, lecz w tym słabym polu grawitacyjnym powoli, tak że jej opary nadal wirowały wokół grupy Flandry'ego, gdy ta ruszyła do walki.

Z kopuły zaczęli wyskakiwać Merseianie. Flandry zauważył, że pozostało niemal dwudziestu nieprzyjaciół, którzy po ostrzeżeniu zdążyli założyć pancerze. Przykucali wielcy, czarni, zakuci w metal, przegubowe płyty ich ogonów wściekle chłostały o buty. Za pozbawionymi twarzy hełmami ich ciężkie pyski musiały być ściągnięte w wyrazie gniewu. Ich ochrypłe nawoływania rozbrzmiewały w słuchawkach ludzi.

Flandry rzucił się naprzód. Wiązki z ich broni bocznej niemalże go przesłoniły. Poczuł gorąco przebijające się przez izolację skafandra, jego nerwy skręciły się. Potem przebił się przez ich skoncentrowany ostrzał.

Naprzeciw niemu wyszła dinozaurza postać. Merseianin miał blaster, skupiony w wąski promień lasera. Jego płomień wgryzł się w pancerz Flandry'ego. Pistolet energetyczny człowieka plunął ogniem prosto w broń przeciwnika. Merseianin ryknął i próbował osłonić blaster opancerzoną dłonią. Flandry utrzymał swoją wiązkę nieruchomo. Rękawica bojowa zaczęła świecić. Merseianin upuścił blaster z okrzykiem bólu. W niskiej grawitacji wykonał skok w kierunku przeciwnika, obrócił się i uderzył ogonem.

Uderzenie trafiło Flandry'ego. Potoczył się po ziemi, uderzył o kopułę z siłą, która go ogłuszyła, i na chwilę niemalże omdlał. Merseianin zbliżył się do niego. Jego potężne ręce chwyciły dłoń z bronią Terranina. Flandry wykonał przewrót judo, wyrywając nadgarstek spomiędzy palców i kciuka Merseianina. Jego broń poruszała się, aż wbił lufę w oko przeciwnika. Pociągnął za spust. Merseianin zatoczył się do tyłu. Flandry podążył za nim, blisko, unikając wszystkich szaleńczych prób ucieczki przed nim. Sekunda, dwie sekundy, trzy, cztery, po czym jego promień przebił grube super-szkło. Merseianin upadł, makabrycznie powoli.

Oddech Flandry'ego palił go w gardle. Rozglądał się przez chwilę, poprzez unoszące się czerwone smugi mgły, starając się zrozumieć, co się dzieje. Jego ludzie wciąż mieli do czynienia z przewagą liczebną nieprzyjaciela, lecz ta szybko się zmniejszała. Donarrianin ciskał Merseianami o ziemię, rzucał nimi o skały, kopał i tupał z siłą wystarczającą do przebicia ich pancerzy. Gorzuni stali obok siebie z blasterami w rękach; żaden metal nie byłby w stanie wytrzymać takiej

koncentracji ognia. Scothanin podskakiwał, nieludzko szybki, jego niszczący pręt przeskakiwał i błyskał jak topór bojowy - uderzał, podważał, wbijał się we wrażliwe stawy i połączenia, aż w końcu coś się uginało i wypuszczało powietrze. Zaś ludzie zmienili się w żywe maszyny bojowe, zawzięcie dzierżące blastery i karabiny, rzucające granatami i odrzucające broń Merseian ciosami karate. Dwóch z nich upadło, martwych; jeden osunął się na kopułę, a Flandry słyszał jego krzyk bólu przez radio. W kraterze leżało jednak więcej ciał nieprzyjaciela. Terranie wygrywali. Mimo wszystko wygrywali.

Ale…

Spojrzenie Flandry'ego omiotło okolicę. Ktoś, w jakiś sposób, nagle zdał sobie sprawę, że grupa wyszkolonych kosmicznych żołnierzy podkrada się pod doskonałą osłoną, w stronę kopuły. Flandry nie miał sposobu, by się co do tego upewnić, bez przyrządów, których nie było pod ręką. Chyba, że…

Tak. Dostrzegł wysoką, chudą postać wspinającą się na zbocze krateru. Na krótko zarysowała się na tle krwawego słońca, po czym zniknęła z pola widzenia.

Aycharaych pomimo wszystko tu był.

Żaden człowiek nie mógł zostać wycofany z walki, nawet gdyby zdołał się z niej wyrwać. Flandry sam rzucił się w pościg.

Pokonał zbocze krateru trzema skokami. Przed nim rozciągała się czarna plątanina skał. Nie mógł dostrzec żadnej przemykającej się postaci, lecz w tej dziwnej, cienistej krainie oczy były prawie bezużyteczne, zwłaszcza na większe odległości. Wiedział jednak, w którą stronę zmierza Aycharaych. W chwili obecnej z mgławicy można było uciec tylko w jeden sposób, a Chereionita zdobył potrzebne mu informacje ma ten temat, z ludzkich umysłów.

Flandry ruszył w drogę. Skacz - nie wysoko, bo będziesz musiał przez całą wieczność opadać w dół - długimi, niskimi skokami, z ciemnym, metalicznym światem przepływającym pod tobą i ognistym słońcem, które znów zmierza ku nocy: dokoła tylko cisza, śmierć i samotność. Jeśli umrzesz tutaj, twoje ciało zostanie zmiażdżone pod opadającymi asteroidami-kontynentami nowej planety, a jego atomy na wieczność pozostaną zamknięte w jej jądrze.

Na hełmie rozbłysnął mu promień. Upadł na ziemię, zanim zdążył pomyśleć. Leżał w niewielkim kraterze spowitym w cieniu i wpatrywał się w czarną ścianę gigantycznego meteoru odwróconego tyłem do słońca. Gdzieś na jego zboczu…

Zabrzmiały łagodne słowa Aycharaycha w anglicu:

— Jest pan w stanie poruszać się szybciej niż ja. Zdołałby pan dotrzeć do swojego statku przede mną i ostrzec swojego podwładnego. Oczywiście mogę dostać się na pokład jedynie podstępem. Usłyszy, jak mówię przez radio przyciszonym głosem o rzeczach znanych tylko jemu i panu, i nie zobaczy mnie, dopóki nie zostanę wpuszczony na statek. A wtedy będzie dla niego już za późno. Lecz najpierw muszę zakończyć pańskie życie, kapitanie Flandry.

Człowiek przyczaił się głębiej w mroku. Poczuł, jak niemal absolutne zimno skały przenika przez pancerz i dotyka jego skóry.

— Próbował pan tego już dosyć często — powiedział.

Chichot Aycharaycha brzmiał jak czysta muzyka.

— Tak, naprawdę myślałem, że pożegnałem się z panem tamtej nocy na Kryształowym Księżycu. Wydawało się bardzo prawdopodobne, że zostanie pan wysłany na Jowisza - uważnie przyglądałem się admirałowi Fenrossowi - a Horx otrzymał polecenie zabicia następnego terrańskiego agenta, który się tam pokaże. Moje pojawienie się na uczcie miało w dużej mierze sentymentalny charakter. Był pan ozdobą mojej rzeczywistości i nie mogłem sobie odmówić tej ostatniej rozmowy z panem.

— Mój drogi przyjacielu — mruknął Flandry — jest pan równie sentymentalny co blok zestalonego helu. Chciał pan, żebyśmy wiedzieli o pańskiej obecności. Przewidział pan, że zaalarmuje to nas na tyle, by skupić naszą uwagę na Syrax, gdzie, jak pan zasugerował, uda się pan w następnej kolejności – ta wspaniała zmyłkowa operacja pochłonęła tę resztę naszej uwagi, która nie skoncentrowała się na Ymirze. Nasi ludzie z wywiadu zaroili się wokół Jowisza i w Gromadzie, gorączkowo poszukując śladów pańskiej pracy, a przez to pozostawiając panu wolną rękę w manipulowaniu Ardazirem.

— Moje ego będzie za panem tęskniło — przyznał chłodno Aycharaych. — Tylko pan, w tych zdegenerowanych czasach, jest w stanie w pełni docenić moje wysiłki lub inteligentnie je potępić, gdy zawiodę. Tym razem nieoczekiwaną rzeczą był fakt pańskiego przeżycia na Jowiszu. Późniejsze przydzielenie pana na Vixen okazało się dla nas katastrofalne. Mam obecnie nadzieję naprawić tę katastrofę, ale… — Obudził się w nim filozof. Flandry niemalże widział, jak rumiane oczy Aycharaycha wypełniają się wizją jakiejś nieskończoności, której ludzie nigdy nie pojmowali. — To nie jest pewne. Całość istnienia zawsze będzie się nam wymykać, a w tej tajemnicy tkwi samo jądro sensu. Jakże mi żal nieśmiertelnego Boga!

Flandry wyskoczył z krateru.

Broń Aycharaycha plunęła ogniem. Płomień spryskał pancerz człowieka. Ten odruch - był on błędem, bo teraz Flandry wiedział, gdzie jest Aycharaych, tak więc Chereionita nie mógł uciec - pocieszające było uświadomienie sobie w tej kotłowaninie kawałków planety, że wróg, który potrafi spoglądać dwadzieścia lat w przyszłość i kontrolować całe rasy niczym jakieś ukryte fatum, również mógł popełniać błędy.

Flandry spadł z powrotem na meteor. Zderzył się z Aycharaychem.

Blaster Chereionity wystrzelił na oślep. Ręka Flandry'ego uderzyła w dół. Nadgarstek Aycharaycha nie pękł, chronił go pancerz. Lecz jego broń poleciała gdzieś w ciemność. Flandry sięgnął po swoją. Aycharaych odczytał jego intencje i zbliżył się, stawiając na zapasy. Przetaczali się po meteorze trzymając się mocno w ramionach. Tworzące się słońce oblewało ich swym złowrogim światłem, w którym Aycharaych widział lepiej niż Flandry. Za kilka minut, gdy zapadnie noc, człowiek stanie się zupełnie ślepy, a Chereionita odniesie zwycięstwo.

Aycharaych wsunął nogę za nogę człowieka i pchnął. Flandry przewrócił się. Jego przeciwnik cofnął się. Lecz Flandry padał na tyle

wolno, że zdołał chwycić nieprzyjaciela w pasie. Razem stoczyli się w dół zbocza. Oddech Aycharaycha świstał w radiu, jak głos jastrzębia. Nawet w niezgrabnym skafandrze kosmicznym wydawał się płynny jak woda, prawie niemożliwy do utrzymania w uchwycie.

Uderzyli w dno krateru. Flandry oplótł nogami Chereionitę. Wykręcił się na plecy i zaczął macać ręką w poszukiwaniu wymachujących kończyn przeciwnika. Jedno przedramię trzymał owinięte wokół hełmu obcego - nie mógł go udusić, lecz mógł unieruchomić - jego dłonie zacisnęły się na nadgarstku. Szarpnął mocno.

W jego radiu rozległ się krzyk. Walka ustała. Leżał na swoim więźniu, łapczywie łapiąc powietrze. Słońce zaszło i otoczyła ich czerń.

— Obawiam się, że złamał mi pan staw łokciowy — oznajmił Aycharaych. — Jestem zmuszony się poddać.

— Przykro mi — odparł Flandry i był naprawdę szczery. — Nie chciałem tego.

— W końcu — westchnął Aycharaych, a Flandry nigdy wcześniej nie słyszał tak głębokiego zmęczenia duszy — zostałem pokonany nie przez wyższy umysł czy wyższą sprawiedliwość, lecz przez brutalny fakt, że pochodzi pan z planety większej niż moja, a zatem ma pan silniejsze mięśnie. Nie będzie łatwo dopasować mi tego do harmonii rzeczywistości.

Flandry odbezpieczył swój blaster i zaczął zgrzewać razem rękawy skafandrów. Złamana ręka czy nie, nie miał zamiaru ryzykować.

Wystarczająco trudne będzie, by mieć ten wielki, nieustannie obserwujący umysł, obok siebie, przez czas potrzebny na dotarcie do flittera.

Ton Aycharaycha znów zmienił się na lekki, niemal rozbawiony:

— Mam ochotę nacieszyć się pańską przyjemnością. Skoro i tak przeczyta pan o tym w naszych papierach, powiem panu od razu, że władcy Urdahu przybędą tutaj na naradę za pięć terrańskich dni.

Flandry zesztywniał. W jego głowie zapłonęła radość. Jeden pocisk i Ardazir pozostanie bez głowy!

Stopniowo jednak zarówno sztywność jak i radość zaczęły ustępować. Dokończył zabezpieczanie jeńca. Pomogli sobie nawzajem wstać.

— Chodźmy — powiedział człowiek. — Czeka mnie dużo pracy.

XVIII

Cerulia nie leżała w pobliżu szlaku łączącego Syrax z Sol. Ale Flandry wracał do domu właśnie tamtędy. Nie do końca wiedział dlaczego. Na pewno nie robił tego z jakąś ogromną ochotą.

Wylądował w głównym porcie kosmicznym Vixen.

— Pewnie wrócę za kilka godzin, Chives — powiedział. — Niech wszystko toczy się dalej. — Zszedł po trapie, przeszedł kwarantannę w wirze złota i szkarłatu, i złapał taksówkę powietrzną do Garth.

Miasto spoczywało spokojnie w środku lata. Teraz, w apastronie, przy atmosferze Vixen filtrującej promieniowanie gwiazdy, słońce mogło być prawie takie jak Sol: mniejsze, jaśniejsze, lecz łagodnie świecące na błękitnym niebie, po którym przechadzały się wysokie, białe chmury. Pola sięgały zielenią aż do Shaw, sama rzeka pięknie lśniła, a ośnieżone szczyty Ridge wznosiły się idyllicznie na krawędzi planety.

Flandry wyszukał potrzebny mu adres w publicznej budce telefonicznej. Nie zadzwonił wcześniej, tylko poszedł gwarnymi ulicami do małego domku. Wieńczący go dach lśnił złotem, ponad porośniętymi winoroślą ścianami.

Kit spotkała go w drzwiach. Długo stała bez ruchu. W końcu odetchnęła:

— Zaczęłam już się obawiać, że nie żyjesz.

— Raz czy dwa było blisko — odparł niezręcznie Flandry.

Chwyciła go za rękę. Jej dłoń zadrżała.

— Nie — oznajmiła. – C-c-ciebie nie da się zabić. Jesteś zbyt żywy. Wejdź, kochany!

Zamknęła za nim drzwi.

Wszedł za nią do salonu i usiadł. Światło słoneczne wpadało przez róże w okratowanym oknie, rzucając niebieskie cienie na ciepłe, schludne meble. Dziewczyna kręciła się, dzwoniąc na publiczne pneumo po drinki, gawędząc z szaloną wesołością. Jego oczy z przyjemnością ją śledziły.

— Mogłeś napisać — powiedziała, uśmiechając się zbyt wyraźnie, aby pokazać, że nie jest to wyrzut. — Kiedy Ardazirho wycofali się z Vixen, szybko wróciliśmy do normalności. Poczta z powrotem działała już po kilku godzinach.

— Byłem zajęty — odparł.

— A teraz, już skończyłeś? — Podała mu whisky i usiadła naprzeciwko niego, opierając swoją szklankę na gołym, opalonym kolanie.

— Chyba tak. — Flandry wyciągnął papierosa. — Dopóki nie pojawią się kolejne kłopoty.

— Nie bardzo rozumiem, co się stało — stwierdziła. — To wszystko było jednym wielkim zamieszaniem.

— Zwykle tak to wygląda — powiedział, ciesząc się, że może mówić o tym bezosobowo. — Ponieważ Imperium bagatelizuje wszelkie zagrożenia, nie mogło ogłosić chwalebnego zwycięstwa w najdrobniejszych szczegółach. Ale to wszystko było dosyć proste. Gdy tylko załatwiliśmy przywódców Ardazirho w mgławicy, wszystko na ich planecie legło w gruzach. Siły z Vixen wycofały się, aby pomóc w obronie macierzystego świata, ponieważ w całym ich małym imperium wybuchły bunty. Walton podążył za nimi. Nie dążył do decydującej bitwy, ponieważ jego flota była mniejsza niż ich, ale trzymał ich na dystans, podczas gdy nasze zespoły wojny psychologicznej rozniosły Ardazir na strzępy. Innym powodem unikania otwartej walki był fakt, że zależało nam na ich doskonałej flocie. Kiedy rekonstytuowali się w formie luźnej federacji równorzędnych orbekhów, klanów, plemion i tak dalej, byli już gotowi zaakceptować terrańską supremację - Pax będzie chronił ich przed sobą nawzajem!

— To takie proste. — Pod jasnymi włosami Kit pojawiła się zmarszczka gniewu. — Po tym wszystkim, co nam zrobili, nie zapłacili ani grosza. Nie żeby reparacje przywróciły nam zmarłych, ale czy powinni zostać puszczeni wolno?

— Och, sami się wykupili, nie ma sprawy. — Ton głosu Flandry'ego zmienił się na ponury. Spojrzał przez mgiełkę dymu na róże, które kiwały się na łagodnym letnim wietrze. — Zapłacili po dziesięćkroć za wszystko, co zrobili na Vixen: krwią, stalą i śmiercią, walcząc tak dzielnie, jak nikt inny, kogo wcześniej widziałem, o sprawę, która do nich nie należała. Rzuciliśmy ich na zatracenie. Nawet jeden statek Ardazirho na tuzin nie wrócił do domu. A jednak te biedne, dumne istoty myślą, że to było zwycięstwo!

— Co? Chcesz przez to powiedzieć…

— Tak. Połączyliśmy ich flotę z naszą w Gromadzie Syrax. To oni stanowili trzon ofensywy. To mieściło się w regułach gry. Technicznie rzecz biorąc, Terra nie przypuściła frontalnego ataku na bazy Merseian. Zrobił to Ardazir, podległa nam konfederacja! Ale nasza flota szła tuż za nimi. Merseianie się wycofali. Negocjowali. Syrax jest teraz nasza. — Flandry wzruszył ramionami. — Merseia mogła sobie na to pozwolić. Terra nie użyje Gromady jako bazy inwazyjnej. To będzie tylko bastion obronny. Nie jesteśmy na tyle odważni, by postąpić rozsądnie; utrzymamy pokój i do diabła z naszymi wnukami. — Palił papierosa krótkimi, gwałtownymi pociągnięciami. — Warunkiem była wymiana więźniów. Wszystkich więźniów, i Merseianie mieli tu na myśli dosłownie wszystkich. Mówiąc wprost, gdyby nie byli w stanie odzyskać Aycharaycha, nie wycofaliby się. Dostali go więc.

Spojrzała pytająco.

— Nieważne — rzucił Flandry pogardliwie. — To tylko szczegół. Nie uważam, by moja praca poszła na marne. Pomogłem zakończyć wojnę z Ardazirem i impas w Syrax. Osobiście, zupełnie sam, dostarczyłem Aycharaycha jako kartę przetargową. Nie powinienem żądać więcej,

prawda? — Opuścił twarz na jedną dłoń. — Boże, Kit, jaki jestem zmęczony!

Podniosła się, usiadła na oparciu jego krzesła i położyła dłoń na jego głowie.

— Możesz tu zostać i odpocząć? — spytała łagodnie.

Uniósł wzrok. Przez chwilę siedział, niepewny siebie samego. Potem żal wykrzywił mu wargi do góry

— Przepraszam. Wpadłem tylko się pożegnać.

— Co? — wyszeptała, jakby ją pchnął nożem. — Ale, Dominicu…

Pokręcił głową.

— Nie — przerwał jej. — To się nie uda, dziewczyno. Choćby odrobinę mniej niż wszystko, byłoby dla ciebie zbyt niesprawiedliwe. A ja po prostu nie jestem typem „na wieczność". Tak to już jest.

Odstawił drinka i wstał. Odejdzie teraz, nawet wcześniej niż planował, przeklinając siebie, że był tak nierozważny wobec nich obojga, by w ogóle tu wrócić. Uniósł jej podbródek i uśmiechnął się do jej piwnych oczu.

— To, co zrobiłaś, Kit — powiedział — twoje dzieci i ich dzieci będą wspominać z dumą. Ale przede wszystkim… dobrze się bawiliśmy, prawda?

Jego usta musnęły jej wargi i posmakowały łez. Wyszedł przez drzwi i odszedł ulicą, ani razu nie oglądając się za siebie.

Jakaś niejasna, kpiąca część jego umysłu przypomniała sobie, że nie rozliczył się jeszcze z Ivarem del Bruno. I dlaczego niby miałby to zrobić? Kiedy dotrze na Terrę, spróbuje jeszcze raz. To była rzecz warta by się nią zająć.

KONIEC